

SIECI



**ZAGADKA
ŚMIERCI
PRIGOŻYNA**

**NIEMIECKA
KAMPANIA
W POLSKICH
WYBORACH**



**DODATEK
W ROCZNICĘ
WYBUCHU II WOJNY
ŚWIATOWEJ**

**DOBRE
I ZŁE GRUBASY.
III RP ATAKUJE
OTYŁOŚCIĄ**



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 35 (561) 2023
28 sierpnia – 3 września 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

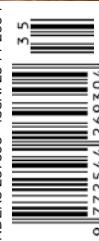
TYLKO U NAS

TUSK CHCE PIEKŁA GWAŁCONYCH KOBIEC?

**ZA MASOWĄ NIELEGALNĄ MIGRACJĄ
IDZIE SKOKOWY WZROST
NAPASCI SEKSUALNYCH. OPOZYCJA
I JEJ MEDIA O TYM MILCZĄ**

O TYM ZDECYDUJESZ W WYBORACH!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Telewizja Polsat Box z Disney+ + Światłowód Plusa



TYLKO TERAZ
razem

19 zł
/mies.

przez pierwszy rok
po rabatach

Telewizja Pakiet S – 55 kanałów z Disney+. Światłowód S – do 300 Mb/s.

Od 13. mies. 98,99 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 127,99 zł/mies. z rabatem.



Telewizja



Światłowód



Oglądaj teraz



Pobierz ulotkę

Oferta dotyczy wybranych wariantów ofert dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z pakietem podstawowym S i pakietem dodatkowym Disney+ z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny S** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S i pakietem dodatkowym Disney+ przez pierwszych 12 miesięcy bez opłat (dotyczy tylko pakietu S z pakietem dodatkowym Disney+ i nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet), od 13. do 24. mies. od 58,99 zł/mies. Od 25. mies. od 68,99 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na pilsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtel Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na pilsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 28.08.2023 r.
© 2023 Disney i podmioty powiązane.

Najbardziej niebezpieczny moment tej kampanii dla PiS

Socjologowie prowadzący na bieżąco i regularnie badania opinii publicznej nie mają wątpliwości, że ostatnie tygodnie przynoszą zmianę nastrojów społecznych na korzyść Prawa i Sprawiedliwości. Obóz Jarosława Kaczyńskiego umiał zorganizować debatę publiczną na temat bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego oraz kluczowych spraw społecznych i gospodarczych, takich jak wyprzedaż majątku narodowego za PO-PSL, ryzyko podniesienia wieku emerytalnego i wzrostu bezrobocia, gdyby władzę przejął Tusk. Spada inflacja, która przestała być tematem numer jeden, choć oczywiście nadal boli. Dużym sukcesem była defilada z okazji Święta Wojska Polskiego – pokaz dorobku w zakręcie odbudowy polskiej siły militarnej. Wicepremier Kaczyński zapowiedział rekordowo wysoką 14. emeryturę – w wysokości 2,2 tys. zł netto.

Opozycja nie jest w stanie budować swoich narracji wokół rozkręcanych ideologicznych sporów. Buksuje. Brak wspólnej listy opozycji, dziwaczne co najmniej listy wyborcze PO, szaleńcy i radykałowie na pierwszej linii – trudno to uznać za dobrą passę.

Do tego wyraźnie mija moment kulminacyjny fali poparcia dla Konfederacji. Dociera do Polaków, jak skrajnie egoistyczny, w istocie bliski Tuskowemu jest program tego ugrupowania.

Najnowszy sondaż pracowni Social Changes, przeprowadzony w ostatnich dniach, pokazuje, jak to wszystko wpłynęło na aktualny stan poparcia dla partii politycznych.

Poparcie dla Zjednoczonej Prawicy wynosi w nim 39 proc., dla Koalicji Obywatelskiej 29 proc. Konfederacja odzyskuje trzy punkty (poprzednio straciła 4) i ma obecnie 13 proc. Lewica nadal traci, obecnie chce na nią głosować 7 proc. wyborców. Na Polskę 2050 Szymona Hołowni chce głosować 5 proc. wyborców, a na PSL 4 proc. Gdy liczymy oba ugrupowania jako koalicję Trzecia Droga, otrzymuje ona poparcie 8 proc. Kukiz'15 i Porozumienie mogą liczyć na 1 proc. głosów.

Wyniki tego badania i ogólny obraz są dla Prawa i Sprawiedliwości bardzo dobre. A jednak media opozycyjne właśnie teraz rozpoczynają lansowanie przekazu o rzekomych spadkach poparcia dla PiS. Za chwilę znowu ogłoszą tezę o „sondażowej mijance”, rzekomym przegonięniu PiS przez PO – choć ogłaszano ją już kilkakrotnie, zawsze na chwilę. Niektóre ośrodki badawcze wstydu nie mają. Choć warto zauważyć, że nawet i te kręcone na siłę wyniki

(PiS zbity maksymalnie, opozycja podciągnięta, nawet Trzecia Droga odnosi sukces) wykazują bardzo niewielki „triumf” opozycji, ledwie minimalna większość w Sejmie. Wirtualna.

Cel tych działań jest jasny – zepchnąć obóz Jarosława Kaczyńskiego z kursu, który może dać trzecią kadencję. Zmusić do zmiany tematów na wygodne dla obozu III RP, odpuścić ofensywność, wciągnąć w pułapki debaty o sprawach wtórnych, emocjonalnych, ideologicznych. Zza opozycyjnych kulis słychać głosy, że jeśli tego nie wymuszają, będą mieli duży problem. Bo też widzą, że linia PiS działa.

To dlatego, gdy ogłoszono pytanie referendalne o wyprzedaż majątku narodowego, Tusk brutalnie uderzył w premiera Morawieckiego. To była próba zmuszenia do zejścia z tego tematu. Dlatego media III RP próbują szydzić, że te kluczowe sprawy to tematy z przeszłości. Może dla nich – Polacy, pytani o bólączki i obawy, właśnie je wskazują.

To dotychczas najbardziej niebezpieczny moment tej kampanii dla PiS. Musi wytrzymać tę presję, musi iść swoją drogą, musi grać według własnych reguł. I muszą to robić wszyscy w tym obozie, bo dziś nadal jest jakby kilka kampanii jednocześnie, wbrew temu, co niedawno mówił na łamach „Sieci” Jarosław Kaczyński o dokonanym już rozstrzygnięciu. Musi

też uruchomić skutecznie (to wciąż nie nastąpiło) wszystkie zasoby, jakimi dysponuje. Jeśli to się zdarzy, 15 października najważniejszy polityczny sondaż może mu dać trzecią kadencję.

Bardzo wiele zależy też od mobilizacji Polaków. Niestety, ale to nie będą zwykłe wybory. Rozstrzygnięcie się przyszłość Polski na pokolenia. Obecna opozycja nie reprezentuje żadnego programu pozytywnego, ma natomiast doskonale przemyślany program faktycznej likwidacji możliwości gospodarczych i obronnych państwa polskiego. Czy napisano

go w Warszawie, czy Berlinie, to sprawa wtórna. Najważniejsze, że po jego wdrożeniu mamy znowu stać się wyłącznie niemieckim zapleczem, obszarem, na którym Berlin z Moskwą dzielą się wpływami. Dobra przyszłość dla polskich rodzin ma znowu być wyłącznie w Niemczech.

Ten plan trzeba zablokować, tych ludzi trzeba zatrzymać.

Michał Karnowski




35

**Z Rafałem Wosiem
o symetrystach
rozmawia Goran
Andrijanić**


52

**Byki – namiętność
i powód do kłótni
Hiszpanów
Małgorzata Wolczyk**


**59-
-69**

**Dodatek na rocznicę
wybuchu II wojny
światowej**

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 AGROTURYSTYKA TUSKA**
Krzysztof Feusette
- 9 BEZ SKRUPUŁÓW**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 FÜR DEUTSCHLAND
UND FÜR RUSSLAND**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 UCIECZKA PRZED PESYMIZMEM**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA EMILA GOSKI**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 ENERGETYKI OD 18 LAT**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 PO CO MŁODYM WYBORY?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 PIEKŁO KOBIET**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 26 CZYSTKA TUSKA**
Stanisław Janecki
- 28 Z PROF. KRZYSZTOFEM SZCZUCKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 32 NIEMIECKA KAMPANIA
W POLSKICH WYBORACH**
Dariusz Matuszak
- 35 Z RAFAŁEM WOSIEM**
rozmawia Goran Andrijanić
- 38 STARZY KONTRA MŁODZI**
Konrad Kołodziejcki
- 41 WIDMO PALIKOTA KRĄŻY
NAD POLITYKĄ**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 44 ZAGADKA ŚMIERCI PRIGOŻYNA**
Marek Budzisz

- 48 KAMPANIA PREZYDENCKA
JAKO SERIAL KRYMINALNY**

Jan Rokita

- 52 BYKI – NAMIĘTNOŚĆ I POWÓD
DO KŁÓTNI HISZPANÓW**

Małgorzata Wolczyk

OPINIE

- 56 FANATYCZKA**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

- 71 NIEZŁOMNY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 74 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 76 A PO WYBORACH POTOP?**
Robert Tekieli
- 77 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 78 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

PODRÓŻE

- 84 MOJE SZLAKI: ALŻBETA LENSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 WRZESIEŃ**
Alina Czerniakowska
- 87 TUSK 2**
Wiktor Świetlik
- 88 PIOSENKA JEST DOBRA
NA WSZYSTKO**
Lech Makowiecki
- 88 RADIO GAGA**
Piotr Cywiński
- 89 WYBYWAM...**
Leszek Długosz
- 90 HIGH-END**
Katarzyna Zybortowicz

Dofinansujemy program „Moja Woda”

W piątek (25 sierpnia 2023 r.) minister klimatu i środowiska Anna Moskwa ogłosiła przekazanie dodatkowych 100 mln zł na realizację programu „Moja Woda”, który wśród Polaków cieszy się ogromną popularnością. To realne wsparcie, zwłaszcza dla mieszkańców regionów dotkniętych suszą

Program „Moja Woda” od początku cieszy się ogromnym zainteresowaniem, ale reakcja na trzecią edycję przeszła najśmielsze oczekiwania. Początkowo na ten cel przeznaczono 130 mln zł, ale w odpowiedzi na zapotrzebowanie społeczne Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej uruchomił dodatkowe 100 mln zł na dofinansowanie budowy przydomowych systemów małej retencji na prywatnych posesjach, co ogłosiła minister Anna Moskwa. To pokazuje, że rząd konsekwentnie realizuje strategiczny cel, jakim jest minimalizowanie skutków suszy.

– Celem programu „Moja Woda” jest zatrzymanie, jak najwięcej wody opadowej do ponownego użycia w przydomowym ogródku. Program ten ma również cel edukacyjny, a każdy z nas może przyczynić się do zwiększenia poziomu retencji wody i tym samym przeciwdziałać skutkom suszy. To jedno z kluczowych wyzwań ekologicznych, które zapisaliśmy w rządowych strategiach i planach – podkreśla Anna Moskwa, minister klimatu i środowiska.

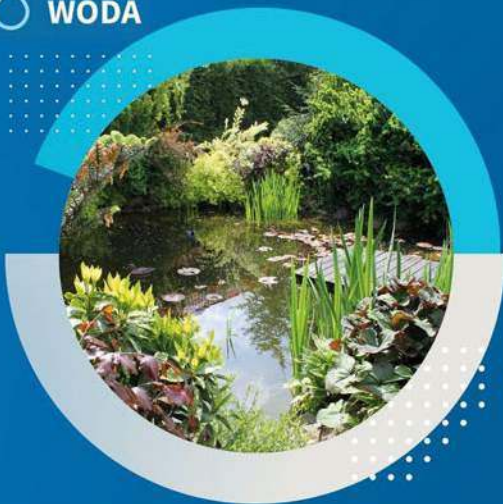
W trwającym obecnie trzecim naborze zwiększono nie tylko pulę środków, lecz także wysokość dofinansowania. Właściciele i współwłaściciele nieruchomości z domem jednorodzinnym mogą otrzymać do 6 tys. zł na utworzenie systemów zatrzymywania wód opadowych, nie może być to jednak więcej niż 80 proc. kosztów kwalifikowanych inwestycji. Środki mogą zostać wykorzystane m.in. na zakup i uruchomienie instalacji do zbierania wód opadowych, gromadzenie deszczówki w zbiornikach czy oczkach wodnych,

retencjonowanie jej i wód roztopowych w gruncie i na dachach oraz wykorzystywanie zebranej wody. Takie instalacje zatrzymują wody opadowe i odciążają system odprowadzania wód deszczowych.

Przedsięwzięcia uruchomione w ramach „Mojej Wody” pomogą gospodarstwom domowym w łagodzeniu skutków suszy i przeciwdziałaniu podtopieniom w następstwie gwałtownych zjawisk pogodowych. Jak ważny jest to problem może świadczyć przykład województwa łódzkiego, którego blisko 60 proc. terenów jest zagrożonych suszą. Jednym z wyzwań, przed jakimi stoi region, jest więc racjonalne gospodarowanie wodą, w tym wodami opadowymi w miejscu ich powstawania. Stąd tak duże zainteresowanie mieszkańców programem „Moja Woda”. Dziennie do wojewódzkiego oddziału NFOŚiGW wpływa średnio 70 wniosków.

W całym kraju na dwie poprzednie edycje programu „Moja Woda” rząd przeznaczył 236 mln zł, co pozwala gromadzić i zagospodarowywać na prywatnych posesjach ok. 2,5 mln m³ wód opadowych (i roztopowych) rocznie. Trzeci nabór i dofinansowanie w wysokości 260 mln zł ma sprawić, że wartość ta wzrośnie o kolejne 1,2 mln m³ deszczówki. Celem programu jest zbudowanie 67,6 tys. przydomowych instalacji retencyjnych i zagospodarowanie 3,38 mln m³ wody rocznie.

Dzięki temu każdy właściciel nieruchomości ma szansę poprawić jakość życia swojej rodziny i zadbać o swoje otoczenie. Jesteśmy dumni, że odpowiadając na potrzeby Polaków, zmieniamy też myślenie o ochronie klimatu i zasobów naturalnych kraju. ▀



**ZWIĘKSZAMY PULĘ
ŚRODKÓW W PROGRAMIE
MOJA WODA DO 230 MLN!**

Nie zwlekaj! Złóż wniosek
i uzyskaj dotację

do **6 tys. zł**
do 80% kosztów kwalifikowanych

Wspólnie minimalizujemy
efekt **suszy!**



Sygnalista nadaaje

Tabloidy poinformowały, że z list Konfederacji do sejmu szeroką ławą idzie rodzina Korwin-Mikkego. Sam **Janusz Korwin-Mikke**, jego żona, zięć i syn z pierwszego małżeństwa. Ten ostatni twierdzi, że ma jeszcze bardziej libertariańskie poglądy niż ojciec i jest przeciwnikiem ograniczeń i zakazów, bo większość z nich to biurokratyczne wymysły. Jeżeli Konfederacja dochrapię się kawałka władzy, może nas czekać bolesny społeczny eksperyment, w którym bogaci i silni wezmą wszystko, nie tylko miejsca na listach wyborczych.

Na listę wyborczą Koalicji Obywatelskiej wdrapała się mieszkająca w Polsce białoruska „aktywistka” Jana Szostak. W wywiadach ujawniła swój program: aborcja na życzenie nawet do dziewiątego miesiąca życia dziecka i rozebranie zapory granicznej chroniącej nas przed hybrydowym atakiem ze strony Łukaszenki i Putina. Pani Szostak proponuje, by zaporę rozebrać, a pozyskane materiały rozdać mieszkańcom Podlasia. Ostatni postulat można spróbować przeprowadzić częściowo (np. rozbierając jedno przęsło zapory) w ramach eksperymentu. Dochodzą bowiem do nas ostrzeżenia z Podlasia, że pozyskane tak stalowe elementy posłużyć by mogły jako narzędzia do przegonienia pani Szostak z Podlasia. Niewielu tam życzy sobie jej i jej pomysłów.

Chociaż zdaniem **Małgorzaty Kidawy-Błońskiej** panią Szostak jednak z listy KO pogonią. Jak zrozumielśmy, nie za same postulaty, ale za zbytnią, niekonsultowaną szczerość. Przy okazji wywiadu posłuchaliśmy

kolejnych prób uzyskania odpowiedzi na pytanie o wyborczy program PO. Stało na obietnicy, że Polska będzie w UE (dawno jest) i straszeniu, że jak wygra PiS, to „wolności nie będzie, demokracji nie będzie, będą podsłuchiwać nadal”. Świat opozycji to od dawna sen wariata, ale im bliżej wyborów, tym więcej tam szaleństwa.

I zwykłego chamstwa. Przytulony przez Tuska „działacz wiejski” **Michał Kołodziejczak** ogłosił, iż śp. Kornel Morawiecki na łożu śmierci miał ostrzegać lidera Agrouinii... przed swoim synem, premierem Mateuszem Morawieckim. Jak to zwykle w zderzeniu z chamstwem człowiekowi zapiera dech w piersiach, ale Paweł Kukiz znalazł w Polskim Radiu odpowiednie słowa. „To co on mówi, te jego teorie, to są bzdury totalne, to świństwo” – skomentował. Przypomniawszy, że Kornel Morawiecki opuścił Kukiz’15 właśnie z powodu syna, którego chciał wspierać w obozie Zjednoczonej Prawicy. „On był zakochany w swoim synu i był z niego dumny. Nawet gdy nie we wszystkim się z nim zgadzał, to mówił: Mateusz na pewno wie, co robi”. Zobaczyliśmy, gdzie naprawdę są cmentarne hieny.

Andrzej Celiński w wywiadzie dla „Przeglądu” ma jednak inną teorię. Jego zdaniem opozycja jest słabsza, bo jej zwolennicy to ludzie zdolni, którzy bez problemu zarobią sobie więcej niż „10 czy 15 tys. miesięcznie”, nie chcą więc zajmować się polityką. „Lepszy sort potrafi. Gorszy – idzie do PiS”. Szkoda tylko, że jak ten lepszy opozycyjny sort zabiera się za rządzenie, to zaraz w budżecie pieniędzy nie ma i mu-

szą wszystko wyprzedawać za bezcen. Może dlatego, że uwierzyli Celińskiemu w jeszcze jednej sprawie. Stwierdza on bowiem: „Gdyby nawet tak było, że Unia, Niemcy, chcą nas prowadzić politykę, a tak nie jest, to wtedy trzeba prowadzić politykę, która pasek rozluźnia”. Tak krótko w odpowiedzi: za wasz pasek dziękujemy, sami go sobie luzujcie. My wiemy, że wolność także się opłaca.

Chociaż trzeba jej bronić każdego dnia. „Przyjdą takie czasy, że ludzie będą szaleni, i gdy zobaczą kogoś przy zdrowych zmysłach, powstaną przeciw niemu, mówiąc: Jesteś szalony, bo nie jesteś do nas podobny” – te słowa św. Antoniego Pustelnika przywołał Oskar Szafarowicz, informując, że Komisji Dyscyplinarna Uniwersytetu Warszawskiego wszczęła przeciw niemu postępowanie za „aktywność publiczną nieliczącą z godnością studenta”. Z osobistej obserwacji wiemy, że można na UW być czerwonym radykałem, gadać antypolskie głupoty – w imię wolności słowa. Ale z PiS, legalną, umiarkowaną partią propolską, współdziałać nie wolno? Szafarowicz zapewnił, że „ani na krok się nie cofnie i nie ukorzy”. Obóz Polski i każdy z nas powinien go wesprzeć z całych sił.

Bronić trzeba także prawdy. Platforma Obywatelska poczuła się urażona spotem Prawa i Sprawiedliwości, w którym ludzie mówili o tragicznych osobistych doświadczeniach w czasie rządów Tuska, kiedy „bezrobocie było 15-procentowe”. PO nazwała to kłamstwem i zapowiedziała proces w trybie wyborczym. PiS doprecyzowało, że faktycznie „bezrobocie za Tuska sięgnęło w lutym 2013 r. JEDYNI 14,4 proc., czyli ponad 2,3 mln Polaków pozostawało wówczas bez pracy”. Rzecznik partii Rafał Bochenek dodał: „Prawie 2 mln ludzi pozostawało bez pracy, a ci, którzy mieli to wielkie szczęście, jak się okazuje, pracowali za 3–4 zł za godzinę. W wielu powiatach to bezrobocie było nawet kilkudziesięcioprocentowe”. Czy ludzie PO dobrze przemyśleli podejmowanie tego tematu?

Coś poszło nie tak także na froncie o nazwie Campus Polska. Dlaczego „symetryści” zostali z niego wyrzuceni? O kulisy wydarzeń z udziałem Donalda Tuska, Sławomira Nitrasa, Rafała Trzaskowskiego i Silnych Razem napisał w sieci Rafał Kalukin. Jak wskazał, jest to „komedia nieśmieszna w dobrej obsadzie i ze zwrotami akcji”. Tak w największym skrócie: poszło o słowa publicysty Grzegorza Sroczyńskiego, który nazwał działania radykalnych zwolenników Platformy Obywatelskiej Silnych Razem mianem „kundelków”. A te „kundelki” PO uważa za użyteczne narzędzie internetowego hejtu i przedłożyła ich sympatię nad

szacunek dla jakiejś tam wolności słowa. Swoją drogą, czy redaktor Kalukin opisze te kulisy w swoim macierzystym tygodniku „Polityka”, czy to byłoby za dużo wolności?

A jest co opisywać, bo historia ma ciąg dalszy. „Strategia symetrystów: przyjąć zaproszenie od Nitrasa, sponiewierać w audycji Tuska, PO i jej sympatyków, wyzywając ich od trolli i kundelków, a kiedy Nitras wycofa zaproszenie, rozjechać go i próbować skompromitować Campus” – orzekł **Zbigniew Holdys**, dodając: „Symetryści to współczesna wersja szmalcowników”. Znajomi Mellera, jednego z najbardziej znanych symetrystów, odpowiedzieli zdjęciem pradziadka Marcina Mellera Samuela, zamordowanego przez Niemców w Auschwitz. „Przekażcie temu skur...owi Holdysowi, który porównał Marcina do szmalcowników, że Ocaleńcy przesyłają mu... On już wie co i w co” – napisał Jarosław Papis-Rozenbaum. Przekazujemy, bez nadziei jednak na jakąkolwiek refleksję.

Z Holdysem mógłby podebatować **Donald Tusk**, najlepiej dodatkowo w towarzystwie Kołodziejczaka i Szostak. Stosują przecież ten sam język, mają podobną wrażliwość. Lider Platformy Obywatelskiej uparcie jednak domaga się rozmowy z premierem Jarosławem Kaczyńskim. „Drogi Jarosławie, nie ma się co bać. Nie ma się co wstydzić. Ze mną będzie po polsku. Godzinka debaty i po bólu” – wołał w ubiegłym tygodniu. Rozwijają tę kampanię także służalcze wobec niego media. A przecież już dostał odpowiedź: „Z [Manfredem] Weberem chętnie” – mówił prezes PiS. Poważnie przestrzegamy przed jakąkolwiek debatą z Tuskiem, bo to polityk, który nie dotrzyma elementarnej nawet umowy co do zasad dyskusji. Jedyne, o co mu chodzi, to okazja do kolejnej, cytując Waldemara Pawlaka, „gangsterskiej zagrywki”.

Pytania o przyzwoitość dogoniły też Bogusława Wołoszańskiego. Głośnym echem odbiła się rozmowa, którą przeprowadził z kandydatem z list Koalicji Obywatelskiej red. Wojciech Biedroń. „A czy to [dokumenty wskazujące na współpracę z wywiadem PRL] nie będzie przeszkodą dla pana działalności politycznej? Zamierza pan ją przecież podjąć jako kandydat na parlamentarzystę RP” – zapytał w rozmowie opublikowanej na portalu wPolityce.pl. „Od 20 lat mi to nie przeszkadza i nie sądzę, by teraz mi to przeszkadzało. Czuję, że pan szuka jakiejś sensacji” – odparł Wołoszański. I tu prawdę powiedział. W Platformie nie takie rzeczy nie przeszkadzają. To ludzie z innej gliny.



Agroturystyka Tuska



KRZYSZTOF FEUSETTE

– *Halo? Dzień dobry...*
– Cicho! Ja mówię! Kto mówi w ogóle?

– *Czy ja rozmawiam z je-*
dynką w Koninie?

– Kto mówi?! Ty czy ja? Cicho. To znaczy będę mówił cicho, jak mi się nie będzie przerywać. Od razu powiem, bo mnie pytają często na spotkaniach: nie korzystam z pomocy psychologów!

– *Przepraszam, ale ja chciałem rozmawiać z szefem Agrounii...*

– Agro-srunii. Nienawidzę ich. A oni mnie. Sprzedał się, gadają. Co sprzedał? Sprzedać można coś, co ma wartość! Dajmy na to, traktor na przykład, bo coś potrafi. A ja, skromny bismesmen, zaraz... jak się mówi... biznesman? Nieważne, Michał Kołodziejczak jest twardy. Twardy jak... jak... No, nie wiem.... Z ust mi wyleciało... A kto mówi?

– *Pan nie rozpoznaje? Hyży z tej strony.*

– Ojejku... ojej... No, nie, teraz to tak! Matko ziemio, co się stało?

– *Nic takiego, wszystko w porządku.*

Trochę dziennikarze popiszczeli, jak pana zgłosiłem na listę, ale my młodzi musimy trzymać się razem. Dobrze mówię?

– Pewnie. My nawet podobni jesteśmy.

– *Niby w czym?*

– Oczy. Pan ma takie same oczy. Wie pan, kiedy widać, że my kłamiemy? Mrugamy oczami. Aha, zapomniałem zapytać, czy to się nagrywa?

– *Nie. To znaczy, nie wiem. Czy mógłbym zająć panu do-*
słownie dwie minuty?

– Trochę dużo, ale dobra. Gdyby nie pan, to by mnie pies z kulawą nogą do sejmu nie zgłosił, a tak i nazwisko poszło w świat, i to miasto na K. Końskie? Kobylno?

– *Konin. Proszę sobie zapisać, żeby pan nie jechał bez sensu. A ja właśnie w związku z pana potencjalnym startem...*

– Jakim? Bo coś przerywa...

– *Potencjalnym.*

– A co to jest? Niebiorące?!

– *Nie, no biorące, jak najbardziej, ale trzeba pewne sprawy obgadać...*

– O, i już 30 sek. minęło. Musimy szybciej gadać. Mnie się wydaje, że pan Nitras mógłby zostać naszym łącznikiem. Bo on łączy nasze cechy.

– *Niby jakie?*

– Przywiązanie do ziemi, patriotyzm... Żartowałem. Wszyscy wszystko wiedzą. Za darmo by o panu, „nasz człowiek” w Moskwie nie pisali. Ja też wiadomo, jakie mam poglądy geograficzne, mnie nasze skłócenie z Rosją tak poruszyło, że „fucka” Amerykanom posyłałem cztery lata po aneksji Krymu.

– *Otóż to. I uważam, że dla naszego wspólnego dobra, a skoro ma pan podbić Konin, to nasze dobro jest wspólne, powinien pan się z tamtej wypowiedzi wycofać...*

– Kołodziejczak się nie cofa. Cicho! Ja mówię!

– *Proszę nie krzyczeć...*

– Mam ci obornik wywalić pod domem w Sopocie? Jak mówię, że ja mówię, to mówię ja! Powtarzam, nigdy nie korzystałem z pomocy psychologów!

– *...być może to też trzeba sko-*

rygować. Przecież, jak się okazuje, pan na mnie psy wieszał. Tusk despota, oszust, kłamca, najgorszy. Dlaczego pan o tym nie powiedział, kiedy panu, jedynkę dawałem?

– Kołodziejczak wytrwa. A kto mówi w ogóle?

– *Pan w ogóle kojarzy cokolwiek?*

– Prosię pana, nie możemy się kłócić. Ja panu podwyżki VAT nie wypominam.

– *Stucham?*

– Nic takiego. Powtarzam sobie kwestię przed spotkaniem wyborczym. Prosię...

– *Proszę...*

– Nic takiego. Powtarzam sobie kwestię przed spotkaniem wyborczym...

– *To może jednak zadzwonię później? Pan coś pewnie wysypuje teraz, więc nie chcę przeszkadzać...*

– Ty, Donald?! No, skąd! Ja w ciebie wierzę, ty się nie możesz poddawać. Zobacz, ty jeden miałeś odwagę wpuścić Tarzana na salony.

– *Jakiego znowu Tarzana?*

– No, przecież wiesz, chłopie, lepiej niż ja. Kto był dziki, a teraz je widelcem? Kogo do telewizji zapraszają, bo już się nie boją, że obornik w studiu zostawi?

– *Właśnie o to chodzi, że nie chciałbym żalować. Po korytarzach szepczą, że przesadziłem. Agrotusk na mnie wołają.*

– Dorwiemy ich. Cicho! Wiesz, co ja ludziom obiecałem? Że im te świńskie ryje przyniosę na tacy!

– *Ale czyje konkretnie?*

– No, świńskie. Polityków. Ty już wiesz, których. Ja bym się do was w życiu nie przykleił, ale czasem człowiek nie chce, a wdepnie i są konsekwencje. Najważniejsze, że razem mamy prawie 30 proc. Ciebie, być może, niedługo w polityce nie będzie, ale ja jestem młody i też umiem zaśpiewać: „Panowie, policzmy głosy”. Pomyśl, przecież nie zostawisz tej swojej dziaderskiej partii ani Budce, bo znowu zjedzie na Kidawie poniżej progu, ani Trzaskowskiemu, bo na kogo go potem podmienić? Tylko ja ci zostałem...

– *Halo? Przepraszam, bo nie słuchałem akurat... W zasadzie od początku coś brzęczy... Zdzwońmy się może później, bo akurat dwójkę w Koninie wybieram, okay?*

– Cicho!

– *Oczywiście. Ale to ja dzwonię...*

– Ale ja mówię!

– *Tak jest. A, przy okazji, skoro już się trochę poznaliśmy, nie myślał pan czasem, żeby jednak skorzystać?*

– Z życia?

– *Z psychologów.*

– A kto mówi?

Wielokrotnie podczas miesięcy medialnego bicia piany nad wspólną listą wyborczą opozycji pisałam, że żadnej jednej listy nie będzie, bowiem jest ona wyłącznie w interesie Donalda Tuska i jego ugrupowania. Liderzy partii opozycyjnych doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że podczas układania jednej listy zostaliby ograni, ich reprezentacja w Sejmie byłaby znacznie mniejsza niż w przypadku startu z osobnych list (o ile oczywiście zostanie przekroczony próg wyborczy), byłby problem z podziałem subwencji, a największym beneficjentem całego przedsięwzięcia byłby Tusk. Listy do Sejmu, które zaprezentowała PO, tylko potwierdzają te obawy. Tusk okazał się bezlitosnym graczem wobec ludzi Platformy, dla reszty opozycji byłby jeszcze bardziej bezwzględny.

Medialne przepychanki w sprawie jednej listy trwały miesiącami. W tym czasie politycy opozycji przerzucali sobie Tuska niczym gorący kartofel. Władysław Kosiniak-Kamysz żenił PO z Lewicą, twierdząc, że łączą ich sprawy światopoglądowe. Lewica wypycha Tuska w ramiona Szymona Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, twierdząc, że choć lider Platformy kradnie lewicowe hasła, to w istocie bliżej mu do centrum. Politycy Lewicy cały czas przekonywali, że dla nich najbardziej naturalną formą startu jest szeroka koalicja lewicowa, a nie wspólna lista w wyborach do Sejmu. Gdy tylko Hołownia wyłamał się z porozumienia liderów opozycji w sprawie głosowania nad nowelizacją ustawy o Sądzie Najwyższym, został błyskawicznie okrzyknięty „grabarzem jednej listy”, a w kwietniu Marek Dyduch w wywiadzie z „Wprost” powiedział kilka słów prawdy, przyznając, że idea jednej listy polega na tym, że Tusk ma wygrać, a reszta go nie obchodzi.

Z Tuskiem nikt po prostu nie chciał iść na jedną listę, bo wszyscy spodziewali się, że zostaną ograni. Tak właśnie czuje się dziś wielu polityków Platformy, a upublicznione listy, to najlepszy dowód na to, że Tusk wobec nikogo nie ma żadnych skrupułów. Najlepszym przykła-

Bez skrupułów

*Ci, którzy dziś się cieszą,
że nie dali się Tuskowi ograć,
mogą się jeszcze zdziwić na
ostatniej przedwyborczej prostej*

dem jest Grzegorz Schetyna, który wielokrotnie domagał się programu i przebąkiwał, że antypisizm nie działa, a po ewentualnej porażce Tuska rozliczyłby go bez skrupułów. I ów Schetyna został kandydatem do Senatu, czego nie chciał, bo prawdziwą politykę robi się w Sejmie. Także wielu bliskich współpracowników Schetyny znalazło się na dalekich miejscach list. Sławomir Neumann został w ogóle wycięty. Niezadowolonych było więcej. Marcin Gołaszewski z Nowoczesnej stwierdził w rozmowie z lokalnymi mediami, że „został wydymany”. Po tej wypowiedzi w ogóle zniknął z list. Podobnie czuć się może Paweł Poncyliusz, który na warszawskiej liście dostał dopiero 12. miejsce, choć w mediach był niezwykle aktywnym krytykiem PiS. Rozczarowanych i ogranych jest pewnie więcej, ale to tylko dowód, że ci, którzy bali się jednej listy, uważając, że Tusk wystawi ich do wiatru, mieli rację.

Choć jedna lista nie powstała, to Tusk stworzył coś na kształt jej namiastki. Na listach KO znaleźli się byli politycy Lewicy: Gabriela Marowska-Stanecka, Andrzej Rozenek, Karolina Pawliczak, byli politycy Hołowni, np. Hanna Gil-Piątek czy Michał Kołodziejczak, który tylko w teorii ma pozyskać dla KO głosy wsi. Po co to wszystko? M.in. po to, żeby w decydującej fazie kampanii powiedzieć wyborcom to samo, co w 2015 r.: „Ludzie Lewicy są na moich listach, ludzie Hołowni są u mnie, przedstawiciele wsi są u mnie, po co więc głosować na innych? Głos oddany na mniejsze partie opozycji, to głos stracony”. I choć dziś Lewica cieszy się, że Tusk jej nie atakuje, to przyjdzie na to czas. Zwłaszcza że taką strategię zapowiedział już w styczniu w „GW” prof. Markowski: „Głosowanie na partię największą – trzydziestokilku-, czterdziestoprocentową – jest trzykrotnie silniejsze niż na partię paroprocentową. Zatem w pewnym momencie, przynajmniej ja, jako zadowolony obywatel, niezależnie od tego, która z partii opozycyjnych będzie największa – albo blok tych partii – będę ostro namawiał, żeby każdy z nas, kto pójdzie do wyborów, zmnożył swój głos trzykrotnie, oddając go na partię silniejszą” – przekonywał naukowiec.

Ci, którzy dziś się cieszą, że nie dali się Tuskowi ograć, mogą się jeszcze zdziwić na ostatniej przedwyborczej prostej. ▀

Dorota Losiewicz



Uran zamiast gazu

Rosja

Skąd Rosja czerpie środki na rozbudowę swojego potencjału militarnego? M.in. ze sprzedaży uranu. Dlatego Ukraina od miesięcy zabiega o nałożenie sankcji na koncern energetyczny Rosatom. Nie będzie to jednak łatwe, bo klientami Rosatomu jest większość państw zachodnich. W ub.r. rosyjskie zyski z eksportu uranu wyniosły 2,2 mld dol., z czego aż 1,7 mld przypadło na Stany Zjednoczone i Unię Europejską.

Rosatom jest światowym liderem we wzbogacaniu uranu i zajmuje trzecie miejsce pod względem jego produkcji oraz wytwarzania paliwa nuklearnego. 12 proc. uranu zakupionego w ub.r. przez amerykański przemysł nuklearny pochodziło właśnie z Rosji. W przypadku państw europejskich ten wskaźnik był wyższy i wyniósł 17 proc. Co więcej, uzależnienie zachodniej energetyki jądrowej od rosyjskiego paliwa rośnie,

i to mimo wojny na Ukrainie. Według amerykańskich danych wartość uranu sprowadzonego z Rosji do Stanów Zjednoczonych wzrosła z 610 mln dol. w 2020 r. do 871 mln w 2022 r. Pod względem wagowym import niemal się podwoił, z 6,3 t w 2020 r. do 12,5 t dwa lata później.

Podobnie jest w przypadku Unii Europejskiej. Według Eurostatu w ub.r. Europa wydała prawie 828 mln dol. na produkty rosyjskiego przemysłu nuklearnego. Sam tylko francuski import wzbogaconego uranu z Rosji wzrósł ze 110 t w 2021 r. do 312 t w 2022 r.

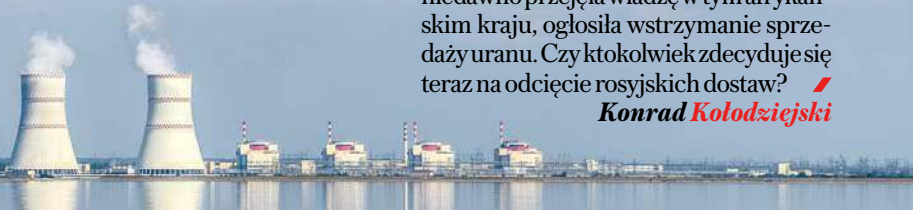
Źródła tej zależności sięgają lat 90. ub.w. Po zakończeniu zimnej wojny rosyjski przemysł nuklearny, pracujący wcześniej na potrzeby sowieckiego sektora zbrojeniowego, zalał zachodnie rynki tanim uranem. Wielu dotychczasowych dostawców nie zdołało sprostać konkurencji i w efekcie zachodnia ener-

getyka nuklearna zaczęła uzależniać się od importu z Rosji. Ostatecznym ciosem okazała się katastrofa w japońskiej elektrowni Fukushima, gdy na fali antynuklearnej histerii w Europie spadł popyt na paliwo jądrowe.

Dzisiaj zaledwie 5 proc. uranu wykorzystanego w Stanach Zjednoczonych pochodzi z rodzimej produkcji. Resztę tego paliwa sprowadza się z zagranicy, najczęściej, bo aż 35 proc., pochodzi z Kazachstanu. Amerykanie zdają sobie powoli sprawę z zagrożenia, ale na przeszkodzie stoją m.in. postulaty radykalnej lewicy i ekologów. Ostatnio zablokowano wydobycie uranu w okolicach Wielkiego Kanionu, bo mogłoby to zagrozić miejscowej przyrodzie.

Tymczasem Moskwa, którą częściowo zdołano wyprzeć z rynku gazowego i naftowego, powoli zaciska pętlę wokół uranu. Jednym z alternatywnych dostawców był Niger, ale promoskiewska junta, która niedawno przejęła władzę w tym afrykańskim kraju, ogłosiła wstrzymanie sprzedaży uranu. Czy ktokolwiek zdecyduje się teraz na odcięcie rosyjskich dostaw? 

Konrad Kolodziejcki



Bunt w Kościele

Indie

Jeśli ktoś myśli, że spór o synodalność i liturgię dzieli dziś tylko rzymskich katolików, jest w błędzie. Powyższe kwestie znacznie mocniej rozpalają wiernych Syromalabarskiego Kościoła katolickiego, który działa w Indiach i skupia ok. 4,3 mln osób.

We wspomnianej wspólnotce, której początki sięgają misji św. Tomasza Apostoła w I stuleciu, obowiązuje liturgia wschodniosyryjska. Dwa lata temu obradujący tam synod ustanowił nowy obrzęd celebracji eucharystycznej, który został zatwierdzony przez Watykan jako jedyny dopuszczony do odprawiania w indyjskich kościołach. Większość wiernych w archidiecezji Ernakulum-Angamaly zbuntowała się jednak przeciwko tej decyzji i zdecydowanie odrzuciła ów ryt. Do dziś nową liturgię udało się wprowadzić jedynie w sześciu spośród 325 tamtejszych parafii. W dwóch świątyniach, gdzie proboszczowie zaczęli odprawiać Eucharystię w obrządku synodalnym, wierni przestali przychodzić na mszę.

Z protestem nie potrafili sobie poradzić najpierw miejscowy arcybiskup, a potem specjalnie mianowany administrator apostołski. Franciszek zdecydował więc o wysłaniu do Indii swojego delegata: słowackiego abp. Cyrila Vasilę. Mógł on wejść do okupowanej przez buntowników katedry jedynie w obstawie hinduskiej policji, która chroniła go przed atakami tłumu. Papieski

wysłannik nie zażegnał jednak konfliktu, a tylko go zaognił. Oświadczył bowiem, że każdy, kto się nie podporządkuje woli Franciszka, naraża się na kary kościelne.

W odpowiedzi wierni spalili publicznie list abp. Vasilę, a niektórzy zwrócili się nawet do władz w New Delhi z prośbą o wydalenie papieskiego delegata jako *persona non grata* w Indii, ponieważ wtrąca się w wewnętrzne sprawy obcego kraju. Inni zarzucili hipokryzję Franciszkowi, ponieważ głosi pluralizm, a *de facto* go likwiduje, nie dopuszczając do istnienia różnych rytów eucharystycznych. Z jednej strony masowy opór wiernych trwa, z drugiej Watykan pozostaje nieprzejednany. Końca konfliktu nie widać. 

Grzegorz Górny





Fot. ThalesAntonio/Shutterstock.com

Zatrute owoce teologii wyzwolenia

Pamiętamy niedawne wynurzenia papieża Franciszka, według którego zarówno on, jak i Jezus, zgodnie z socjologiczną interpretacją Ewangelii, są komunistami. Marksistowska interpretacja Pisma Świętego ma swoją długą i fatalną w skutkach historię. Nie jest niczym nowym ani w Ameryce Łacińskiej, z której pochodzi obecny papież, ani tym bardziej wśród jezuitów.

Według badań brata Clodovisa Boffa, teologa niegdyś związanego z tym nurtem, to teologia wyzwolenia odpowiada za gwałtowny upadek katolicyzmu w jego rodzinnej Brazylii. Swoje tezy zawarł w książce „Kryzys w Kościele katolickim i teologia wyzwolenia”. Wyjaśnia w niej, że nacisk teologii wyzwolenia na dobrobyt materialny, a nie na wzrost duchowy, doprowadził wielu do odrzucenia wiary katolickiej na rzecz biblijnego protestantyzmu lub całkowitego odejścia od chrześcijaństwa. „Konieczne jest, aby Kościół ponownie podkreślił Chrystusa jako kapłana, jako Mistrza i Pana, a nie tylko w walce z ubóstwem i kryzysem klimatycznym” – oświadczył.

Boff jest bratem słynnego teologa wyzwolenia i byłego katolickiego ks. Leonarda Boffa, na którego w latach 80. ówczesny papież Jan Paweł II nałożył kary kościelne w związku z głoszonymi przez niego poglądami. Kiedy pod koniec lat 60. teologia wyzwolenia zaczęła zdobywać w Brazylii popularność, populacja tego kraju składała się w ponad 90 proc. z katolików. W ciągu dziesięcioleci od tego czasu ich odsetek spadł do ok. 51 proc. Co więcej, nawet wśród Brazylijczyków, którzy wciąż nazywają siebie katolikami, tylko ok. 8 proc. uczęszcza na niedzielną mszę świętą, co jest jednym z najniższych wskaźników na świecie. Jak twierdzi Clodovis Boff, trend ten był napędzany przez rozprzestrzenianie się teologii wyzwolenia. Tłumaczy, że doktryna katolicka jest w niej instrumentalizowana w odniesieniu do biednych, a wierni skupiają się na doczesnym i materialnym aspekcie życia. Już w 1984 r. w wydanej za sprawą prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Josepha Ratzingera instrukcji „Libertatis Nuntius” Rzym zwracał uwagę, że teologia wyzwolenia proponuje nową interpretację treści wiary i egzystencji chrześcijańskiej, którą demaskował jako bezkrytycznie zapożyczoną z ideologii marksistowskiej, odbiegającą od wiary Kościoła i będącą jej praktyczną negacją.

O inspirowaniu teologii wyzwolenia i intoksykacji nią Kościoła katolickiego oskarżał sowieckie KGB gen. Ion M. Pacepa, były szef tajnej policji komunistycznej Rumunii, który zbiegł z niej w 1978 r.

Maciej Walaszczyk



Mołdawia

Ban na Bregovicia

Goran Bregović, mieszkający w Paryżu, wywodzący się z bośniackich Serbów muzyk, który uważa się za Jugosłowianina z tego powodu, że jego ojciec był katolickim Chorwatem, matka prawosławną Serbką, a żona jest muzułmanką z Bośni, nie został wpuszczony do Mołdawii. Decyzję tamtejszego MSW obwieszczono mu na lotnisku w Kiszyniowie, dokąd przyleciał na koncert.

Powodem odmowy wjazdu było wspieranie przez Bregovicia rosyjskiej agresji na Ukrainę. Przedstawiciele obozu rządzącego, opowiadający się za integracją Mołdawii z Europą, są zdania, że zgoda na występ muzyka byłaby równoznaczna z „tańceniem na grobach Ukraińców”. Muzyk w 2015 r. wystąpił na anektowanym Krymie, gdzie wychwalał „wielkość Rosji” i podzielił się z publicznością swoją nadzieją, że „Zachód zostanie wyleczony z antyrosyjskiej paranoi”. Po tym incydencie Bregović dostał zakaz wjazdu na Ukrainę. Nie zmieniło to jednak jego poglądów, a muzyk nadal koncertował w Federacji Rosyjskiej.

Przyłączenie się Kiszyniowa do ukraińskiego bojkotu Bregovicia wywołało protesty sił prorosyjskich oraz dyplomatyczną interwencję serbskiego MSZ. Nie zmieniło to jednak decyzji mołdawskich władz. Ekipa obecnej prezydent Mai Sandu podjęła ją z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, obawiając się otwartego wsparcia opozycji przez prorosyjskiego muzyka, po drugie, zacieśniając współpracę z Ukrainą, co może być kluczowe dla rozwiązania w przyszłości kwestii separatystycznego Naddniestrza.

Co ciekawe, minister spraw wewnętrznych Adrian Efros powiedział, że organizatorzy koncertu wiedzieli o zakazie wjazdu dla Bregovicia, który miał zostać wydany już w 2022 r. Gdyby ta wersja się potwierdziła, to w grę wchodziłaby świadoma prowokacja. Tym bardziej że Bregović wydał specjalne oświadczenie, w którym napisał, iż jest mu przykro z powodu odmowy wjazdu, ale dodał, że „jeszcze tu wróci”, co można interpretować jako zapowiedź ponownego przyjazdu, już po tym, jak władzę w Mołdawii odzyskają, po przyszłorocznych wyborach prezydenckich, siły prorosyjskie.

Marek Budzisz

Fot. MaciejGiller/Shutterstock.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Für Deutschland und für Russland

P przed paroma dniami użyłem tego argumentu, lecz powtórzę i tutaj, stając w obronie Tuska (sic!). Przeciwnicy nieustannie zarzucają mu brak programu. To ja was pytam: a Hitler obiecywał Polakom jakiś program, napadając na nasz kraj? Dlaczego wymagacie go od Tuska? On otrzymał służbowe polecenie, by za wszelką cenę przejąć władzę w Polsce. A co z podbitą Polską zrobić, Niemcy wiedzą od pokoleń. Ponieważ słabo mu idzie, wpada w coraz większą furie i miota się po telewizorach jak żul pod celą. Jego ekscentryczne pomysły personalne są przykrywką niemocy. Wrzawa wokół kompromitujących kandydatów ma przykryć bezradność. Miał przejąć zarządzanie „tym krajem”, a nie potrafi.

Dla grupy Webera i niejawnych sponsorów to spory kłopot. Zainwestowali w wygadanego narcyza, napompowali finansowo, medalami obdarowali, a w sytuacji krytycznej „Słońce Peru, Mistrz Bajeru” się nie sprawdza. Rzecz w tym, że jak na niemiecką wyobraźnię, Polska za szybko się rozwija. Tu miały być wysypiska brandenburskich śmieci i spalarnie berlińskich odchodów. W ostateczności – dzikie tereny, „natura” ze sta-



**Jan
Pietrzak**

dami wilków. Taki ekologiczny Werwolf. Do tej wizji chcą wrócić. Tunel pod Świną się zatopi, Mierzeję Wiślaną się zasypie, Via Baltica się zaorze. Lasy się sprywatyzuje, co pozwoli Niemcom wykupić jedną czwartą terytorium Polski. Według Berlina Polska za bardzo się rozpycha na wschodniej flance. A także zbyt energicznie wspiera Ukrainę.

Niemcy nie są zainteresowane zwycięstwem Ukrainy. Ich namiętna miłość do Putina nie jest przelotnym uczuciem. Połączeni węzłami rur i morderczym instynktem przodków nie spoczną, póki nie przywrócą relacji z Rosją „taką, jaka ona jest”. Polska im w tej geopolityce jak zwykle od wieków przeszkadza. Po to mają tu swoich ludzi, żeby tę sprawę wyprostować.

Właśnie pokazano kolejny odcinek dokumentu pt. „Reset” prof. Cenckiewicza i red. Rachonia, obnażający Putinowską intrygę przed 10 kwietnia 2010 r. Trudno sobie wyobrazić, w świetle dokumentów i faktów, by ówczesny polski premier nie widział, co wokół niego się dzieje. A my ujrzeliśmy żenujący pokaz służalstwa Für Russland człowieka pracującego na dwie strony. Żadna z nich nie jest polska!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Cywilizacja łacińska

W Rzymie byłem po raz drugi. I to nie w karczmie, która tak się nazywa, ale w stolicy dawnego imperium. Pierwszy raz to było służbowo, gdy działacze katolickich ruchów zaprosili mnie – jako dziennikarza – na swój zjazd do Stolicy Apostolskiej, a łacińską nazwę międzynarodowej organizacji Una Voce Włosi wymawiali jako Una Wocze, a Brytyjczycki jako Juna Wojs. Moim cicerone (z którym zjedliśmy uroczysty obiad w pizzerii przy Campo dei Fiori) był pewien wydawca pisma katolickiego, potem europoseł i jeszcze niedawno minister w obecnym rządzie.

To była wizyta zawodowa, niewiele zobaczyłem. Teraz chciałem, żeby mój nastoletni syn, o którego staram się zadbać, jak tylko potrafię, zobaczył miejsca, które każdy człowiek z naszego kręgu kulturowego – jeśli ma takie możliwości – widzieć powinien. Coś zaplanowaliśmy, coś improwizowaliśmy. Pierwszy dzień to banały, Schody Hiszpańskie, Fontanna di Trevi, drugi to Watykan (muzea, kaplica, bazylika). Potem uzupełnienia tego co najpiękniejsze, ze świadomością, że wszystkie odpuszczane przez nas zabytki w Polsce byłyby rekordy sławy i popularności. Na koniec miejsce, które turyści zazwyczaj odpuszczają: faszystowska dzielnica EUR, perła modernistycznej architektury. Ona zresztą, jak cały Rzym, pokazuje, że wspaniałe dzieła mogą

powstać w służbie władzy, która z demokracją nie ma wiele wspólnego.

Jednak największe wrażenie w Wiecznym Mieście zrobił na mnie brud i – nie bójmy się tego słowa – syf. Tak wyglądały polskie miasta w latach 90., gdy po upadku komuny zachłysłę się tzw. wolnym rynkiem (który *de facto* był areną dla działań gangów, mafii i szemranych biznesmenów). Później jednak odbiły się, choć partyjno-koleżeńskie układy w wielu wciąż istnieją, to są skrywane, a działacze się starają, aby było czysto i schludnie.

Stolica Włoch jest na poziomie tamtych czasów. W swoim zbiorze rzymskich felietonów mój dawny kolega z „Newsweeka” Piotr Kępiński pisał o szczurach wkraczających w środku dnia do luksusowego hotelu Excelsior i cygańskich bandytach (tam nie trzeba jeszcze mówić o rzymskiej przestępczości).

Chodząc po Rzymie, zauważyłem, że wiele samochodów ma blokady kierownicy – takie jakich i my kiedyś używaliśmy. Ponoć najwięcej skradzionych pojazdów służby porządkowe odnajdują właśnie na rogatek „miasteczek” Cyganów. Na rogatek, bo do nich nie odważają się wchodzić.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ucieczka przed pesymizmem

Chantal Delsol to znacząca myślicielka francuska, autorka wielu ważnych dzieł. Jej ostatnia teoretyczna książka wydana we Francji w 2021 r., a opublikowana po polsku jako „Koniec świata chrześcijańskiego”, budzi jednak wątpliwości. Błyskotliwy ten, jak zwykle w wypadku Delsol, esej, można odnieść wrażenie, że podporządkowany został przyjetemu na wstępie zadaniu przeciwstawienia się pesymizmowi, który wywołać może załamanie się zachodniej cywilizacji. Koniec chrześcijaństwa bowiem to nie tylko śmierć określonej religii, ale i rozpad wyrastającej z niej europejskiej kultury, która od pół tysiąca lat jest kulturą uniwersalną.

Równocześnie z globalizacją pojawiły się jednak pierwsze oznaki kryzysu, które narastać będą poprzez jej zakwestionowanie, jakim była rewolucja francuska, aż po obecny potop, który wypłukuje cywilizacyjne fundamenty Zachodu. Umożliwia to wrogom chrześcijaństwa i ufundowanej na niej cywilizacji zasadniczo ją reinterpretować, ale jakkolwiek poważniejsza analiza Europy jako cywilizacji uniemożliwia oderwanie jej od chrześcijaństwa.

Kryzys obecny Delsol próbuje osadzić w perspektywie historycznej i akcentuje jego analogię z IV w. po Chr., kiedy to chrześcijaństwo podbijało Imperium Rzymskie i doprowadziło do całkowitej eliminacji dawnej religii. Współcześnie, zdaniem Delsol, uczestniczymy w procesie odwrotnym: nowe pogaństwo zastępuje chrześcijaństwo. Finalny akt tego procesu rozpoczął się wraz z konwulsjami kontrkultury w 60. i 70. latach ub.w., kiedy prezentował on nihilistyczne oblicze, aby, według Delsol, szybko zacząć stabilizować się w nowy kulturowo-religijny porządek. Jego podstawowe rysy to odejście od rygorystycznej ortodoksji monoteizmu, która prezentowana była jako jedyna prawda oraz odradzanie się złożonego, relatywnego, przepojonego pokorą podejścia do świata. Szczególnie mocno postawa ta, zdaniem autorki, ma się ujawniać w ruchach ekologicznych. Duchowość chrześcijańska, sądzi Delsol, ma zacząć ustępować miejsca jej azjatyckiemu odpowiednikowi, który zawiera silniejszą komponentę panteizmu, a także przepojonej nim moralności stoickiej. Oznacza to zakwestionowanie transcendencji i akceptację ludzkiej skończoności. „Nie jest pewne, czy Bóg na tym straci” – tak tytułuje ostatni rozdział książki Delsol.

Chrześcijaństwo, które przejęło władzę w Imperium Rzymskim, nasyciło się pierwiastkiem politycznym i stało uprawomocnieniem władzy. Teraz, zmuszone się jej pozbyć, będzie musiało wrócić do religijności oczyszczonej, a więc do Boga.

Analogia z epoką triumfu chrześcijaństwa w IV w. wydaje się powierzchowna. Nowa religia niosła wówczas ze sobą bardzo konkretny, głęboki przekaz, a destrukcja starego ładu była tego

pochodną. Obecna kultura emancypacji w ogromnej mierze wyczerpuje się w negatywnej energii, która wymierzona jest w istniejącą wcześniej cywilizację, głównie chrześcijaństwo. Jej pro-pozycje pozytywne jawią się jako wyjątkowo nierealne, sprzeczne wewnątrznie i mgliste. Nawet ekologizm w jego wydaniu naciska kładzie na destrukcję cywilizacyjnego środowiska człowieka.

Delsol w dużej mierze przeczy swoim wcześniejszym analizom, zwłaszcza zawartym w jej chyba najważniejszej książce, jaką była „Nienawiść do świata”. To tam zbudowała wyznaczającą bieguny człowieczeństwa i cywilizacji opozycję: demiurga i ogrodnika. Ten pierwszy wierzy w pełnię swoich twórczych kompetencji, które są w stanie powołać do życia nowy, wspa-niały świat. Nienawidzi istniejącej rzeczywistości za jej ułom-ność oraz zło i pragnie jego definitywnego wykorzenienia wraz z realnością, która je toleruje.

Postawa ogrodnika, który pielęgnuje, a więc i plewi, dany sobie ogród świata jest tego zaprzeczeniem. Ma świadomość, że kosmos cywilizacji nie do niego należy jakkolwiek to on winien nad nim sprawować pieczę, ale jego możliwości są ograniczone i wpisane w wielopokoleniową pracę tych, którzy poprzedzali go i nadejdą po nim.

Agonia chrześcijaństwa nie jest wbrew temu, co chciałaby widzieć Delsol, starciem konkurencyjnych projektów religij-nych, a więc różnych wizji ziemskiego ogrodu. Jest tym, o czym pisała w „Nienawiści do świata”, wojną, jaką ogrodnikowi wy-powiedział demiurg, kierowany resentymentem i odrazą do istniejącej rzeczywistości.

Czy więc skazani jesteśmy na pesymizm? Nasza senty-men-talna epoka bez przerwy domaga się optymiz-mu zamiast trzeźwości spojrzenia.

To konsekwencja nakierowanej na tu i teraz indywidualistycz-nej, czułościowej perspektywy liberalizmu i zamykania oczu na tragiczny wymiar ludzkiej, ziemskiej egzystencji.

Czy nie należałoby wykro-czyć poza nasze optymistyczno-pesymistyczne frazesy? Nie jesteśmy skazani na pesymizm, ponieważ nie znamy przyszłości swojej i świata, chyba że odwołu-jemy się do religii. Ale i ta nie obie-cuje nam natychmiastowego raju. W każdym jednak wy-padku wiemy, co robić po-winniśmy. I to powinno nam wystarczyć. 



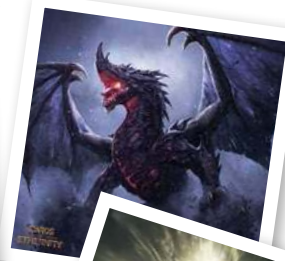


Walizka Emila Goski

ilustratora i artysty koncepcyjnego



Na urlopach wybieram przeważnie kierunki górskie, które dostarczają najwięcej adrenaliny. Po kilkudniowych trekkingach czy wspinaczce mimo fizycznego zmęczenia czuję, że jestem zregenerowany. Uważam, że wysiłek, podczas którego skupiamy się tylko na jednej czynności, np. wspinaniu, gdzie postawienie ręki czy nogi na skale ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa, jest formą medytacji i oczyszcza umysł. Dodatkowo kontakt z naturą jest dla mnie niesamowicie istotny. Pozwala zachować balans i równowagę psychiczną. Swoją przygodę wspinaczkową rozpocząłem w naszych pięknych Tatrach. Są to góry o charakterze alpejskim, mogą być trudne i niebezpieczne, dzięki nim bardzo się rozwinąłem. Następne były Himalaje. Z dwójką przyjaciół wyjechaliśmy do Nepalu, gdzie wykonaliśmy trekking wokół Annapurny, wspinając się na wysokość 5416 m n.p.m. na przełęczy Thorong La. Na tym poziomie tlenu jest mniej i wszystko kosztuje więcej wysiłku, a zarazem wymaga rozważności w rozkładaniu sił. W austriackich Alpach po raz pierwszy zetknąłem się z tzw. ferratami, czyli „żelaznymi drogami” – ubezpieczonymi góorskimi szlakami o dużej ekspozycji. Były tworzone, aby ułatwić sobie wspinaczkę w niebezpiecznych miejscach, a także przez żołnierzy podczas I wojny światowej w celach taktycznych; dziś są przeznaczone dla turystów szukających adrenaliny i silnych wrażeń. Każdy średnio wysportowany człowiek może korzystać z tych zapierających dech w piersiach dróg wspinaczkowych, które nierzadko wiodą pionowymi ścianami czy przepaściami, dzięki metalowym linom, do których można się przypiąć lonżą.





KIJKI TREKKINGOWE

Pomagają w utrzymaniu równowagi na nierównym terenie oraz, co równie ważne, odciążają nogi podczas wejść i zejść.



BUTY TREKKINGOWE Z RAKAMI

Wysokogórskie, zimowe.

Podczas zimy nie istnieje możliwość wejścia bez odpowiedniego, wodoodpornego, ciepłego i wygodnego obuwia.



BUTY WSPINACZKOWE

Do wspinania się po ścianie wspinaczkowej czy w skałkach.

GITARA

Jeden z instrumentów, na których gram. Muzyka została mi zaszczepona przez ojca.



RĘKAWICE BOKSERSKIE

Ponieważ różnie bywa z kulturą turystów, traktujących szlaki górskie jako niekończący się śmietnik, wolę przywalić w worek bokserski.



LEKTURA

Jedna z moich ulubionych książek podróżniczych legendy himalaizmu to zapis himalajskiej kariery Jerzego Kukuczki, jednego z najwybitniejszych wspinaczy świata.

FIGURKA

Kolekcjonowanie i malowanie figurek bohaterów komiksów i filmów SF to jedna z moich pasji.

Z niejednej wyprawy przywiozłem egzemplarz do mojej kolekcji, która liczy już ponad 100 sylwetek.



KASK WSPINACZKOWY

Niezbędny podczas każdej wędrowki wysokogórskiej. Nie uchroni przed upadkiem z kilkusetmetrowej wysokości, ale zabezpieczy głowę przed kamieniami spadającymi z góry.

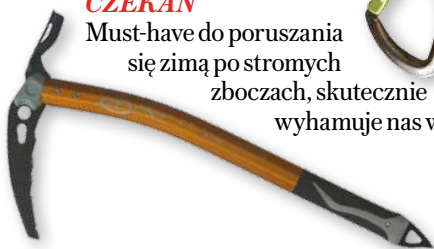
LONŻA

Przymocowana do liny służy do asekuracji przy wspinaczce via ferrata. Podczas poślizgnięcia amortyzuje nasz upadek.



CZEKAN

Must-have do poruszania się zimą po stromych zboczach, skutecznie wyhamuje nas w razie upadku.



PIÓRKO DO CYFROWEGO MALARSTWA

Po każdym urlopie z podwójnym zapalem zabieram się do pracy twórczej. Ilustracje na okładki periodyków i plakaty, projekty koncepcyjne postaci do gier SF i fantasy wykonuję w technice malarstwa cyfrowego. Używając jednego pióra, mogę stosować różne techniki malarskie, a łatwość postprodukcji jest bezcenna.



KAMERA GOPRO I DRON

Uwielbiam robić filmy i zdjęcia z podróży, żeby przeżyć tę przygodę w domowym zaciszu jeszcze raz. Ujęcia z lotu ptaka wykonane przez drona fantastycznie urozmaicają filmy, które montuję w domu.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Jakie życie, taka śmierć



No i szlag trafił dowództwo Grupy Wagnera. Nie tyle może szlag, czyli piorun, ile prawdopodobnie rakietą S-300 lub bomba umieszczona na pokładzie prywatnego Embraera Legacy 600. Zemsta Władimira P. dosięgła wagnerowców dokładnie dwa miesiące po nieudanej próbie puczu Gienka Prigożyna. Samolot w śmiertelnych zwojach korkociągu stosunkowo długo spadał ku ziemi, zanim ostatecznie się roztrzaskał na drobne kawałki. Czas na przemyślenia mieli m.in.: Siergiej Aleksandrowicz Propustin – należał do Grupy Wagnera od 2015 r., Jewgienij Makarian – weteran Grupy Wagnera, walczył w Syrii, Aleksandr Siergiejewicz Totmin – walczył w Sudanie, według portalu Fontanka jego numer telefonu był podawany w serwisach społecznościowych przy rekrutacji do wagnerowców z hasłem: „Oleg, praca w Grupie Wagnera”, Nikołaj Matusiejew – również weteran walk w Syrii oraz Walerij Jewgieniewicz Czekalów, objęty sankcjami USA oraz Ukrainy za powiązania z Prigożynem. No i crème de la crème – tandem Gieniek Prigożyn i jego prawa ręka Dymitrij Utkin, ksywa „Wagner” – znany z esesmańskich tatuży, fascynat nazizmu i III Rzeszy, przezwisko „Wagner” wziął od ulubionego kompozytora Adolfa Hitlera Richarda Wagnera. I tak capo di tutti capi, zwany prezydentem Kacapii, za jednym strzałem pozbył się siedmiu zajęcy (czytaj zbrodniarzy i bandytów), choć jemu samemu równie daleko do świętości. Ciała musiały być w bardzo złym stanie, bo Gienka miano rozpoznać po braku końcówki palca serdecznego, który stracił siedząc w więzieniu, a Utkina po tatużach. Wreszcie do czegoś się przydały. „Właściwe władze” wszczęły śledztwo w sprawie... „naruszenia zasad bezpie-

czeństwa w komunikacji lotniczej”! Zapewne wynikiem śledztwa będzie konkluzja, że winny jest pilot embraera, który w wyniku błędu w pilotażu zderzył się z rakietą. Pozostaje tylko jeszcze raz przytoczyć słowa piosenki: „Jakie życie, taka śmierć, nie dziwi nic”.

Ana froncie powoli posuwa się naprzód ukraińska ofensywa. Po zdobyciu Uroczajnego i wprowadzeniu do akcji 47. Brygady wyposażonej głównie w zachodni sprzęt wyzwolone zostało Robotyne. Zdjęcie niebiesko-żółtej flagi zatkniętej w środku miejscowości obiegło już świat. Teraz atak trwa na drugą linię obrony Moskali, która jest zdecydowanie słabsza niż ta właśnie przełamana. Tokmak znalazł się już w zasięgu artylerii polowej, a na Krymie spełniają się słowa szefa ukraińskiego wywiadu wojskowego, który jakiś czas temu wspominał o niespodziankach szykowanych na półwyspie. I rzeczywiście. Tryzuby przeprowadziły udany desant na Krymie. „Doszło do bitwy, w której brały udział jednostki pływające i lotnictwo. Jednostki Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony wylądowały w ramach operacji specjalnej, wszystkie zadania zostały wykonane” – powiedział Andriej Jusow, przedstawiciel Głównego Zarządu Wywiadu (HUR). Natomiast w ostrzale raketowym Krymu zniszczona została nabrzeżna wyrzutnia rakiet Bastion, z której wystrzeliwane były na Ukrainę rakiety Onyx. Zniszczony został także kompleks rakiet przeciwlotniczych S-400 (też używanych do ostrzeliwania celów na Ukrainie). Ruski atak 1. Armii Pancernej na Kupiańsk niby trwa, ale *de facto*

Moskal buksuje w miejscu. Jak tak dalej będzie szło, to może Ukraińcy przed zakończeniem sezonu letniego dojdą do plaż Morza Azowskiego, przełamując kacapskie ugrupowanie na dwie części.

Wukraińskiej Połtawie doszło do pierwszej w historii świadomej kapitulacji rosyjskiego śmigłowca bojowego Mi-8. W zależności od wersji może spełniać on dwie funkcje: transportową i szturmową. Według ruskiej propagandy pilot rzekomo omyłkowo wylądował w Połtawie, a kiedy zorientował się w pomyłce, podczas próby startu został ostrzelany. Dwaj członkowie załogi zginęli, a on trafił do niewoli. Jest jeden problem. Lotnisko położone jest 300 km od linii frontu i nie wiem, jak można się pomylić w nawigacji o trzy setki kilometrów. W tej sytuacji jestem bardziej skłonny wierzyć w przekaz sił ukraińskich. Według rzecznika HUR Andrieja Jusowa, sprawa miała wyglądać całkiem inaczej. Otóż lot przygotowywano od pół roku w zмовіe z dowódcą helikoptera. Wcześniej ewakuowano z Rosji rodzinę pilota. W oznaczonym dniu zapakował on na śmigłowiec części zamienne do samolotów Su-27 oraz MiG-ów-30 i z dwoma członkami załogi, którzy o niczym nie wiedzieli, poleciał na Ukrainę. Nie można wykluczyć, że jak się całe towarzystwo zorientowało o co chodzi, to... postanowili wybrać wolność. W każdym razie oficjalna wersja ukraińska twierdzi, że zostali zastrzeleni podczas próby ucieczki z lotniska. Wcale się nie dziwię, jak okazało się, że cała trójka dalej lata, ale w barwach Legionu Wolnej Rosji po stronie Kijowa.

Andrzej Rafał Potocki

Energetyki od 18 lat

Napoje energetyzujące są często spożywane zarówno przez dorosłych, jak i młodzież oraz dzieci. Energetyki charakteryzują się znaczną zawartością cukru, kofeiny, tauryny.

Z danych opublikowanych przez Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) wynika, że po napoje energetyczne sięga więcej chłopców niż dziewczynek, co piąte dziecko w wieku 6–10 lat spożyło napój energetyczny co najmniej raz w roku, a dzieci w wieku 3–10 lat wypijają średnio 0,49 l napoju energetycznego tygodniowo. Ponad połowa dzieci deklaruje wypicie jednej szklanki tygodniowo, 24 proc. – dwóch, 7 proc. – ponad czterech szklanek tygodniowo. Aż 67 proc. nastolatków (12–20 lat) spożywa napoje energetyzujące, w tym 16 proc. robi to często.

Na popularność tych napojów wśród dzieci i młodzieży w ogromnym stopniu wpływają kampanie reklamowe w mediach społecznościowych, a także atrakcyjna dla młodych ludzi oprawa graficzna i zachęcające smaki. Do 2021 r. wartość rynku napojów energetycznych wzrosła do 86 mld dol. Składniki zawarte w napojach energetyzujących mają szkodliwy wpływ na zdrowie. Spożywane przez dzieci mogą powodować nagłe zmiany nastroju, rozdrażnienie, niepokój, drżenie, bóle głowy, kołatanie serca lub problemy żołądkowo-jelitowe. Większe ilości wpływają na znaczne zwiększenie ciśnienia tętniczego we krwi. Kofeina zaburza gospodarkę wapniową, co nie sprzyja prawidłowemu wzrostowi kości. Oddziałuje na długość i jakość snu dzieci i młodzieży, co wywiera negatywny wpływ na rozwój mózgu. Napoje energetyczne zawierają duże ilości cukru, co może również zwiększać ryzyko otyłości i cukrzycy typu 2.

Amerykańska Akademia Pediatrii zaleca, aby dzieci poniżej 12. roku życia nie spożywały napojów zawierających kofeinę, natomiast młodzież w wieku od 12 do 18 lat powinna ograniczać spożycie kofeiny do mniej niż 100 mg dziennie – tymczasem niektóre napoje energetyczne zawierają jej dwukrotnie więcej.

Napoje energetyczne mylone są z równie popularnymi wśród młodzieży napojami izotonicznymi. Te ostatnie są produkowane dla osób aktywnych fizycznie, a także narażonych na odwodnienie. Mają za zadanie uzupełniać niedobory elektrolitów i witamin. Niektóre napoje nawadniające zawierają jednak duże ilości cukru. Starając się zachować dobrą kondycję, warto zwracać uwagę, czy w trosce o odpowiednie nawodnienie nie dostarczamy organizmowi zbyt dużej porcji substancji słodzących.

W sierpniu br. posłowie przyjęli nowelizację ustawy o zdrowiu publicznym, która wprowadza zakaz sprzedaży napojów energetycznych dzieciom i młodzieży do 18. roku życia, a także na terenie szkół i innych placówek oświatowych oraz w automatach. Według definicji ustawowej napojem energetycznym jest napój będący środkiem spożywczym, w którego składzie znajduje się kofeina w proporcji przewyższającej 150 mg/l lub tauryna, z wyłączeniem substancji występujących w nich naturalnie". Sejm odrzucił poprawki senatu wyłączające zakaz sprzedaży napo-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

jów energetycznych w automatach usytuowanych w miejscach niedostępnych dla osób poniżej 18. roku życia. Sejm nie zgodził się także na poprawkę wprowadzającą karę grzywny zamiast kary ograniczenia wolności za obrót niedozwolonymi napojami, a także tę wydłużającą *vacatio legis* do 1 lipca 2024 r. Przepisy zaczną więc obowiązywać od 1 stycznia 2024 r.

W ramach nowych przepisów pierwotnie planowano wprowadzenie zakazu reklamy napojów energetycznych w telewizji, kinie, teatrze i radiu w godz. 6–20. Reklamy tych produktów nie mogłyby być publikowane w prasie młodzieżowej i dziecięcej, na okładkach dzienników i czasopism oraz na słupach i tablicach ogłoszeniowych. Ministerstwo Sportu i Turystyki musiało się jednak wycofać z zakazu reklamy w związku z przepisami unijnymi, które chronią zasadę swobody działalności gospodarczej. Za sprzedaż napojów energetycznych będą grozić kary podobne do tych, które obowiązują w odniesieniu do wyrobów tytoniowych. Napoje energetyczne pozostaną dostępne dla dorosłych. W trosce o zdrowie dzieci warto dać im dobry przykład i nie sięgać po nie.



Wyrazy współczucia z powodu śmierci

Teścia oraz Ojca,

*jednego z twórców odrodzonego, wolnego
i samorządnego Notariatu Polskiego*

**WOLFGANGA
ŻMUDZIŃSKIEGO**

na ręce

Pana prof. zw. dr. hab. Andrzeja Przylębskiego

– Dyrektora Instytutu De Republica,

Pani Julii Przylębskiej

– Prezes Trybunału Konstytucyjnego

oraz Rodziny

*składają Pracownicy i Rada Naukowa
Instytutu De Republica*

Po co młodym wybory?

Partie hołdujące wizji życia łatwego, lekkiego i bez zobowiązań w poszukiwaniu nowych wyborców chętnie odwołują się do ludzi młodych. Marzą im się festiwale muzyczne, na których rzesza wyborców rusza do urn i głosuje na jedynie słuszne (czyli nieprawicowe) ugrupowania.

Gdy dwa lata temu na kongresie partii Polska 2050 Szymon Hołownia obiecał głosowanie w wyborach od 16. roku życia, pisałem, że kierunek powinien być wręcz odwrotny, a prawo wyborcze przysługiwać powinno dopiero od 21. roku życia. Wcale nie z powodu aktualnych preferencji światopoglądowych młodzi, bo ona ma to do siebie, że kieruje się modami i jest zmienna. Po prostu młodzi to, owszem, przyszłość, ale zanim się nią staną, muszą dobrze poznać przeszłość i dzięki temu zrozumieć teraźniejszość. Na razie tego nie dostrzegam. Zamiast tego modne jest już nie tylko negowanie przeszłości, lecz także sama potrzeba jej poznania.

Choć będąc uczciwymi, musimy zauważyć, że największa jest tutaj wina rodziców i dorosłych, którzy wsadzają dziś młodym takie, a nie inne rzeczy do głowy. Wystarczy zobaczyć poziom hejtu, jaki wylewany jest na podręcznik „Historia

i teraźniejszość” przez media, a także na niektórych nauczycieli. To co prawda mniejszość, acz krzykliwa i strachliwa. Boją się mówić o historii, bo nie umieją się z nią zmierzyć. Jak mogliby lewicowi politycy i ich kapłani przekonywać do siebie młodzież, gdyby miała ona pełną wiedzę o komunistycznym rodowodzie tego obozu i faktów na temat komunizmu w Polsce? Przecież to byłoby tak samo skuteczne, co próba przekonywania młodych przez jakąś partię z nazistowskim pochodzeniem, że jest ona warta ich wyborczego głosu. W Polsce jednak, mimo tak krwawych doświadczeń komunizmu, nadal wiele osób nie rozumie, że między sierpniem z młotem a swastyką nie ma wielkich różnic.

Ten stan rzeczy obozowi lewicy opłaca się tak samo, jak opłaca się liberałom niewiedza na temat lat wyprzedaży Polski i skutków tej polityki dla ludzi. Ci sami liberałowie chętnie mówią o ułatwieniach dla młodych, ale to przecież nie oni, a „zły PiS” skasował młodym podatek PIT. Czy młodzi o tym wszystkim wiedzą? A przecież też o tym będą te wybory. **✓**

Autor jest dyrektorem TVP Info



Samuel Pereira

Więcej witaminy D

Z Izabellą Krzan, prezenterką, dziennikarką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Tyle się u pani ostatnio dzieje, że chyba trudno się zatrzymać?

Izabella Krzan: Oj trudno, ale myślę, że wszyscy, którzy są w show-biznesie, gdy przychodzi choćby krótki przestój, cierpią z braku adrenaliny, która w działaniu towarzyszy nam codziennie. Cieszę się więc, że u mnie sporo się dzieje i prywatnie, i zawodowo.

Camperowe inspiracje pozostały?

„Camper Polska” – fenomenalny, moim zdaniem, format (ale i wielu widzów się z tym zgadza) – w przepiękny sposób pokazuje naszą Polskę, od Helu po Bieszczady. Skonfrontowaliśmy w nim ludzi, którzy na co dzień funkcjonują w internecie, z prawdziwym światem. Wspaniale jest obserwować, jak oni się tego świata uczą, jak się z nim mierzą

(program wciąż jest do obejrzenia na kanałach TVP i VOD).

A jak w pani wakacyjnych obserwacjach wypadają rozśpiewani biesiadnicy?

Najbardziej rozśpiewany na mojej trasie był Śląsk, ale myślę, że w każdym rejonie wakacyjna pora dobrze podkreśla atmosferę zabawy. W „Polskich biesiadach” cudowne jest też to, że nawet jeśli – z powodu wieku – pewnych utworów się nie zna, to i na żywo, i na ekranie telewizora, pojawia się tekst, dzięki któremu łatwo dołączyć do śpiewania. A to, jak wiadomo, łączy wszystkich.

Wakacje mijają pani w pracy, a gdzie i kiedy urlop?

Jest plan na dwa wrześniowe tygodnie w Portugalii. Kocham ten kraj i jego

mieszkańców, którzy mają świetne charaktery – trochę polskie, ale z większą ilością witaminy D, więc są bardziej uśmiechnięci. **✓**

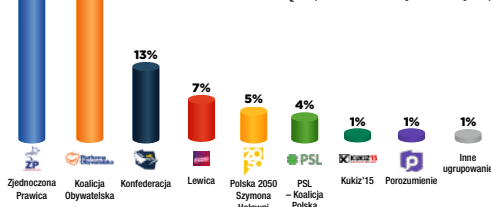


Fot. Jan Bogacz TVP



pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

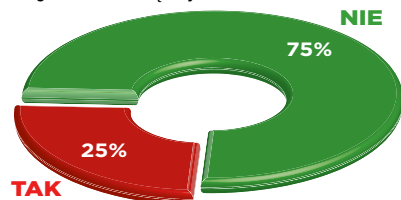
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy popiera Pani/Pan wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?



Czy popiera Pani/Pan podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?



Czy popiera Pani/Pan likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?



Czy popiera Pani/Pan przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbce Polaków. W badaniu wzięto udział N=1062.

Zakres czasowy badania 18-23 sierpnia 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WALAŚCZYK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNIE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: B.EJLITABACA/ISTOCK, Z.MESSNER/PP, M.KORSUN, B.SMALOWSKI /
AP/ISTOCK, E.KOPIŁOWA, I.MAGOE/ISTOCK, SHUTTERSTOCK.2

Czy Polki mają się przyzwyczaić do permanentnego zagrożenia ze strony nielegalnych imigrantów? Czy muszą się pogodzić, że wzrośnie liczba gwałtów i innych przestępstw, jeśli spełni się marzenie unijnych polityków i polskiej opozycji o „przymusowej solidarności”? Referendalne pytanie w tej sprawie jest próbą postawienia zapory również przed zwyrodnialcami i realną obroną naszych kobiet

**MAREK PYZA MARCIN WIKŁO**

Donald Tusk nie śmiał nawet za protestować, gdy Europę zaczęła zalewać pierwsza fala nielegalnej migracji z krajów afrykańskich i Bliskiego Wschodu, a Angela Merkel jak mantrę powtarzała: „Herzlich willkommen” (serdecznie witamy). Niemiecka polityka otwartych drzwi miała się stać obowiązującą w całej Unii Europejskiej. Ówczesny szef Rady Europejskiej, mimo że to przecież były polski premier, nie podzielał wątpliwości rządu w Warszawie, straszył go zatem z marszem na czoło, że „brak zgody na relokację będzie się wiązał z karami finansowymi”.

Ktoś może powiedzieć, że to było wiele lat temu i wiele się od tego czasu zmieniło. To prawda, nikt rozsądny w Europie nie chwali już koncepcji byłej niemieckiej kanclerz, nawet ona sama. Stary Kontynent coraz częściej kaleczony jest najcięższymi przestępstwami popełnianymi

przez nielegalnych imigrantów. Gangi przybyszów z miejsc o odległej nam kulturze terroryzują spokojne kiedyś zachodnie miasta, ale także mniejsze społeczności, żyjące jeszcze kilka lat temu jak u pana Boga za piecem. A Donald Tusk? Zdaje się brnąć w dawno skompromitowaną retorykę. Jeszcze w 2021 r., gdy u naszych bram stanęła horda napuszczonych przez reżim Łukaszenki i Putina nielegalnych nachodźców, mówił, że „to są biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi”.

Dziś szef Platformy Obywatelskiej próbuje wmówić Polakom, że referendalne pytanie o zgodę na przymusową relokację tysięcy nielegalnych imigrantów to tylko przedwyborcza zagrywka Prawa i Sprawiedliwości. Dlaczego nie chce odpowiedzieć wprost, że nie zgadza się na politykę, która naraża na szwank zdrowie i życie nasze i naszych kobiet? Doprawdy trudno zrozumieć, jak Donald Tusk może jednocześnie nazywać się obrońcą Polek i stać na czele opozycji, która ich prawa rozumie wyłącznie jako możliwość zabijania nienarodzonych dzieci prawie bez ograniczeń. A co z realnym bezpieczeństwem? Nie ma wątpliwości, jak skończyłoby się wypuszczenie w nasze granice tysięcy osób niewiadomego pochodzenia. Przykładów, tylko z ostatniego roku, jest aż nadto, by

udowodnić liderowi opozycji, że nie jest to – jak mówi – „obrzydliwa, ponura propaganda wymierzona w migrantów”. To, niestety, codzienność Zachodu.

GWALT NA EUROPIE

W lipcu w Malmö uniewinniono trzech Irakijczyków (do Szwecji przybyli w 2011 r., mają już tamtejsze obywatelstwo) od zarzutu gwałtu na 14-latce. Sprawa sięga 12 lat wstecz, do przestępstwa miało dojść tuż po ich przybyciu do Skandynawii, ale sprawców złapano dopiero teraz, dzięki śladom DNA. W skandalicznym wyroku sąd stwierdził, że choć niepodważalne jest, iż wszyscy trzej odbyli stosunek z dziewczynką, to nie jest jasne, czy wiedzieli, iż nie ma skończonych 15 lat.

26 lipca hiszpański sąd skazał czterech sprawców brutalnego zbiorowego gwałtu na norweskiej turystce, do którego doszło w Puerto Rico na Gran Canarii w lutym 2021 r. Pochodzą z północnej Afryki, mieli „nieuregulowany status” w Hiszpanii. Usłyszeli wyroki od 36 do 42 lat więzienia.

Gwałty zbiorowe z udziałem migrantów to coraz większa plaga na Starym Kontynencie. Niemcy od kilku lat uświadamiają sobie ten problem, lecz dopiero przed kilkoma miesiącami zaczęto pisać prawdę o skali procederu. W marcu

Piekło kobiet



ujawniono szokujące dane dla samego Berlina. Po pytaniu posła AfD Senat niemieckiej stolicy poinformował, że od 2020 r. odnotowano w mieście 300 gwałtów (w jednej trzeciej przypadków ofiarami byli nieletni) z udziałem kilku sprawców. W 2018 r. zaś ta liczba wyniosła 38. Widać wyraźny wzrost i jeszcze jedną charakterystykę: spośród 302 zatrzymanych połowa nie posiada niemieckiego obywatelstwa.

W skali całego kraju dramatyczny trend jest jeszcze wyraźniejszy. W 2022 r. w RFN odnotowano aż 789 gwałtów zbiorowych (wzrost o 16 proc. rok do roku), czyli dwa dziennie! Nie da się też uciec od powiązania tych statystyk z masową imigracją. Okazuje się bowiem, że sprawcami dokładnie połowy byli obcokrajowcy (zwłaszcza z Syrii i Afganistanu). Pamiętając jednak, że stanowią oni ledwie 14 proc. populacji Niemiec, ich udział w przestępstwach seksualnych jest jeszcze bardziej zauważalny.

Rzecz nie dotyczy jednak wyłącznie naszych zachodnich sąsiadów i oczywiście nie tylko gwałtów z udziałem kilku sprawców. Np. w Szwajcarii liczba zgłoszonych gwałtów wzrosła z 532 w 2015 r. do 867 w 2022 r. Polska wciąż jest na końcu

Gwałty zbiorowe z udziałem migrantów to coraz większa plaga na Starym Kontynencie. Niemcy od kilku lat uświadamiają sobie ten problem, lecz dopiero przed kilkoma miesiącami zaczęło pisać prawdę o skali procederu

wszelkich list ze statystykami dotyczącymi przestępstw seksualnych. Nic więc dziwnego, że nasza prasa nie jest pełna takich historii, jakie na Zachodzie Europy są już właściwie na porządku dziennym.

Aby się przekonać, z jaką skalą mamy do czynienia, wystarczy prześledzić wpisy na platformie X (dawniej Twitter) prof. Adama Gwiazdy, naukowca mieszkającego we Francji, który na bieżąco odnotowuje przypadki „ubogacania” Europejczyków przez migrantów. Opiszemy tylko garść informacji z ogromu, który zebrał na swoim profilu (za każdym razem powołując się na konkretne źródła).

PLAGA!

W marcu w austriackim Wiener Neustadt 13-latką została zgwałcona w dyskotekowej toalecie przez Marokańczyka, który wcześniej dosypał jej do napoju substancji odurzających. Swój czyn nagrał i rozpowszechnił w internecie, m.in. wśród uczniów szkoły, do której chodziła dziewczynka. Został zatrzymany po kilku dniach.

4 sierpnia we francuskim Cherbourg 18-latek senegalskiego pochodzenia Oumar Ndiaye włamał się do mieszkania 29-latki, pobił ją i kilkakrotnie zgwałcił, m.in. miotłą.

U ofiary stwierdzono perforację okrężnicy, jelita cienkiego, otrzewnej, przepony, odnę oplucnową i złamania żeber. Po sześciu dniach sprawca został zatrzymany. Jest znany policji, pięciokrotnie był skazywany przez sądy dla nieletnich. Sprawę o gwałt (miał wtedy 14 lat) umorzono, ale trwa jeszcze inna, w której jest oskarżony o próbę gwałtu na 4-letniej siostrze w 2022 r.

W lutym sąd w Sztokholmie skazał 17-letniego Mohamada i 18-letniego Mohammeda za zgwałcenie 14-letniej dziewczynki w toalecie centrum handlowego Täby. Usłyszeli wyroki odpowiednio:

zamkniętą pieczę zastępczą przez rok i cztery miesiące oraz 4,5 roku więzienia.

2–3 sierpnia w Margny-lès-Compiègne w północnej Francji 31-letni imigrant z Bangladeszu przetrzymywał w swoim mieszkaniu i wielokrotnie gwałcił 15-latkę.

W maju w Bazylei rozpoczął się proces 19-letniego Marokańczyka uprawiającego sztuki walki. Gwałtów miał dopuszczać się co najmniej od 17. roku życia – na trzech dziewczynach w wieku 14–15 lat.

Dwa tygodnie temu policja w podparyskim Bobigny dzięki śladom DNA zatrzymała 29-letniego Afgańczyka. Jest oskarżony o udział w gwałcie zbiorowym popełnionym w maju 2022 r. na „transeksualnej kobiecie”.

6 lipca w Nantes zatrzymano 29-letniego Afgańczyka (od pięciu lat we Francji). Powód? Dwa tygodnie wcześniej zgwałcił on pod mostem 12-letnią dziewczynkę, która kilka godzin wcześniej uciekła z domu dziecka.

8 czerwca 28-letni Malijczyk został zatrzymany półnagi w zakładzie opieki dla upośledzonych dorosłych w Montbeton pod Tulużą. Jest oskarżony o gwałt na 30-letniej pensjonariuszce.

7 marca brytyjski „The Times” opisał historię Emala Kochaia, 28-letniego imigranta z Afganistanu, który czekał w koczowisku pod Dunkierką na ponton, którym przeprawiłby się do Wielkiej Brytanii. Ponownie – bo w 2019 r. – został z Wysp deportowany po odsiedzeniu połowy z dziewięcioletniego wyroku za gwałt na 12-latkę.

W styczniu w całej Europie było głośno o zabójstwie w pociągu relacji Kilonia–Hamburg. Napastnik, 33-letni palestyński imigrant Ibrahim A., zabił dwie osoby (16-latkę i 19-latkę), siedem zranił, w tym trzy ciężko. Okazało się, że od 2015 r. było przeciw niemu prowadzonych ponad 20 śledztw, w tym kilka za ataki nożem, jak również za gwałt.

W lutym w Dover aresztowano czterech chłopaków w wieku 13–16 lat, którzy przybyli do Wielkiej Brytanii kilka miesięcy wcześniej łodzią w poszukiwaniu azylu. Jeden z nich, 15-latek, w szkole zgwałcił rówieśniczkę. Pozostali stali na czatach.

W marcu w czeskim Pilźnie skazano na 22 lata więzienia 24-latkę z Afganistanu Esmata Shirzada. Przyjechał on z Niemiec na Sylwestra 2021 r. (i swoje urodziny

wypadające w Nowy Rok) do Karlowych Warów swoim mercedesem C180 wraz z dwoma kolegami. Tam, w parku przy ul. Moskiewskiej, zranił nożem 37-letnią kobietę, a grożąc nożem innej, 19-latkę, zgwałcił ją w pobliżu dworca kolejowego. Afgańczyk od 2015 r. mieszkał w Niemczech, gdzie ubiegał się o azyl. Zatrzymany tuż po zdarzeniu był pijany, mówił,

Trudno zrozumieć, jak Tusk może jednocześnie nazywać się obrońcą Polek i stać na czele opozycji, która ich prawa rozumie wyłącznie jako możliwość zabijania nienarodzonych dzieci prawie bez ograniczeń. A co z realnym bezpieczeństwem?

że nic nie pamięta. W sądzie zeznał, że jego wiara surowo zabrania mu picia alkoholu. Dodał też: „Kiedy przyjechałem do Niemiec, chciałem się zintegrować z kulturą europejską. To był największy błąd w moim życiu”.

W lutym w małym miasteczku Bad Blankenburg w Turynii 16-letni uchodźca został zatrzymany w ośrodku dla dzieci specjalnej troski za gwałt na 11-letnim podopiecznym placówki. Trafił do aresztu.

Marzec, Sarcelles w północnej Francji. Choć to ledwie 50-tys. miasteczko, nawet tam znajduje się imigranckie getto. W lutym rozpoczął się proces pięcioosobowego gangu młodocianych zwyrodnialców (w wieku 14–15 lat), którzy latem 2021 r. dopuścili się zbiorowego gwałtu na 11-latkę.

8 sierpnia Sąd Apelacyjny w Sztokholmie skazał na sześć lat więzienia 50-letniego nigeryjskiego taksówkarza oskarżonego o trzy gwałty na pasażerkach. W jednym z przypadków po prostu zatrzymał auto, na tylnym siedzeniu zgwałcił ofiarę, po czym wrócił za kierownicę i kontynuował kurs.

W sierpniu niemiecka prasa oburza się, że 23-letni Mohammad M. wycho-

dzi na wolność mimo przyznania się do molestowania pięciu młodych kobiet i zgwałcenia szóstej, 16-latk. Afgańczyk został zatrzymany w styczniu, gdy wrócił z wakacji w ojczyźnie. Po kilku miesiącach w areszcie sąd w Ratyzbonie skazał go na szkolenie antyagresyjne i stwierdził m.in., że „jest w pełni zintegrowanym obywatelem”. Do Niemiec przyjechał w 2015 r., skończył szkołę średnią z bardzo dobrym wynikiem, odbył praktykę jako mechanik zakładowy, pracował jako inżynier ciepłownik. W wolnym czasie grał w klubie piłkarskim.

5 lutego do obozu dla uchodźców zorganizowanego w hali targów w Hanowerze przybyła 33-letnia Ukrainka z dwiema córkami. Kilka godzin później została zgwałcona przez tureckiego azylanta, który do Niemiec trafił w grudniu, czekał na rozpatrzenie wniosku o azyl. Wyrok: dwa lata i dziewięć miesięcy więzienia.

7 stycznia policja w Hamburgu zatrzymała 28-letniego Syryjczyka. W noworoczną noc pobił i brutalnie zgwałcił 20-latkę wracającą z sylwestrowej zabawy, a kilka dni później usiłował zgwałcić 74-latkę. Staruszka trafiła do szpitala z połamanyimi kośćmi twarzy i utratą wzroku.

16 kwietnia po pościgu zatrzymano 27-letniego Nigeryjczyka, który gwałcił 28-letnią kobietę na ławce w Starym Ogrodzie Botanicznym w Monachium. Na widok patrolu rzucił się do ucieczki.

Naprawdę można tak wymieniać bardzo długo. A to przecież ledwie drobny ułamek spraw, o których – wyłącznie w ostatnich miesiącach (!) – napisały media. O ilu zaś nie poinformowały? Albo zmanipulowały przekaz, ukrywając dane o tym, kim byli gwałciciele? Ilu przypadków nie zgłoszono? Ilu zwyrodnialców nie złapano? Od pamiętnej sylwestrowej nocy w Kolonii w 2015 r. trochę się zmieniło. Do dziś mówi się, że to „noc, która zmieniła Niemcy”, choć to wniosek nieco na wyrost. Wtedy aż 661 kobiet padło ofiarami przestępstw seksualnych ze strony migrantów, zwłaszcza z Algierii i Maroka, a w mediach zaczęła pękać znowa milczenia na temat pochodzenia sprawców. Po tamtej nocy zgłoszono aż 1,2 tys. spraw, lecz skazano raptem 36 osób, w tym tylko trzy za przestępstwa seksualne.

NIEWYGODNE DANE

Jak widać zagrożenie wobec kobiet ze strony migrantów nie dotyczy tylko mieszkanki dużych miast, lecz również naprawdę niewielkich społeczności. Nie ma więc znaczenia, czy chodzi o kobiety z Warszawy, Poznania, Łomży czy Belchatowa – każda z nich miałaby prawo czuć się zaniepokojona, gdyby polskie władze zgodziły się na wpuszczenie niekontrolowanej fali nielegalnych obcokrajowców.

Ale rzekomi obrońcy ich praw próbują je uspić, bezpodstawnie uspokoić. Za każdym razem, gdy pojawiają się statystyki o bezpiecznej Polsce i zatrważającej skali przestępczości na Zachodzie, słyszymy irracjonalne argumenty. Np. że Polki nie zgłaszają gwałtów, bo są źle wyedukowane i nie wiedzą, że padły ofiarą przemocy seksualnej (to bardzo częsty argument w dyskusjach w mediach społecznościowych). Albo że nie robią tego ze wstydu bądź ze strachu przed napiętnowaniem.

Można też natknąć się na tłumaczenie, iż nie ma co porównywać danych bez porównania definicji gwałtu. Tę w Szwecji zmieniono przed pięcioma laty i teraz za gwałt – inaczej niż w większości krajów Europy – uważany jest tam każdy stosunek płciowy, na który nie wyrażono zgody, ponadto np. pięćdziesięciokrotne zgwałcenie żony przez męża jest traktowane jak 50 przypadków gwałtu.

Ale skandynawska prasa wcale nie jest pewna, że tylko zmiana definicji spowodowała dwukrotny wzrost wyroków skazujących za to przestępstwo. Niewiele werdyktów dotyczy bowiem tzw. nieumyślnego gwałtu, a – zdaniem szwedzkich prawników – zwiększyła się liczba niewinnie skazanych, wyłącznie na podstawie ustnego oświadczenia domniemyanych ofiar.

Znamienne jest również, iż osoby o zagranicznym pochodzeniu częściej są podejrzane w sprawach o przestępstwa niż osoby o pochodzeniu szwedzkim. Najnowsze badania naukowców z Uniwersytetu Sztokholmskiego pokazują, że cudzoziemcy 2,5 raza częściej są zamieszani w przestępstwa niż osoby urodzone w Szwecji i mające urodzonych w Szwecji rodziców. A przecież osób pochodzenia obcego nie jest tyle samo co Szwedów, zatem *de facto* ten współczynnik jest jeszcze wyższy!

W niniejszym artykule skupiamy się na zagrożeniach wobec kobiet, lecz przecież

Fot. Stringer / Anadolou Agency / ABACA PRESS.COM / EastNews



Uczestnicząca w programie telewizyjnym kobieta, która zapytała o całkiem realne zagrożenie gwałtem ze strony obcych, usłyszała od Joanny Senyszyn: „Odpowiedź jest prosta, na szczęście przepisy aborcyjne pozwalają usuwać ciążę z gwałtu”

dotyczyła tak bardzo zwykłych ludzi, jak dziś w krajach, które żądają od nas „przymusowej solidarności” w sprawie migrantów. Mieszkańcy Francji czy Niemiec już się przyzwyczaili do doniesień o atakach śniadych napastników uzbrojonych w noże, rzeźnicze tasaki, maczety. O pobiciach, morderstwach, kradzieżach.

My nie chcemy się do tego przyzwyczajać.

„TURYSĆI” ŁUKASZENKI

Gdy w 2015 r. Komisja Europejska po raz pierwszy próbowała wepchnąć nam imigrantów (była mowa o 7-8 tys.), Joanna Mucha (wówczas w PO, dziś u Szymona Hołowni) przekonywała, że „jesteśmy w stanie przyjąć tych imigrantów w większej liczbie [...] ta różnorodność może nas ubogacić”. Pomysł przymusowej relokacji upadł, ale jeszcze w maju 2017 r. Donald Tusk, ówczesny przewodniczący Rady Europejskiej, strofował oporną wobec tego pomysłu Polskę: „[...] będzie się to wiązało nieuchronnie z pewnymi konsekwencjami. Takie są zasady w Europie”.

Politycy KO i Lewicy powinni zacząć masowo polykać własne języki. Gdy bowiem latem 2021 r. na polską granicę zaczął się szturm z Białorusi, wygadywali rzeczy haniebne, byle tylko nie zgodzić się z PiS, które akurat miało skuteczny pomysł na obronę. Iwona Hartwich (PO) zasłynęła

to tylko część problemu. Ile już znamy historii o przemocy migrantów wobec dzieci na niemieckich basenach? Ile naoglądaliśmy się scen z zamieszek w Brukseli, Paryżu, Sztokholmie?

Odwiedzając Polskę turyści z dużych miast zachodniej Europy często nie mogą się nadziwić, że u nas można spokojnie wyjść pobiegać po zmroku. U nich to już często zbyt niebezpieczne.

I nie chodzi tylko o tereny imigranckich gett, które wpisały się w krajobraz nad Renem czy Loarą. W Marsylii tylko w sierpniu w strzelaninach zginęło siedem osób. Nie ma dnia, by media nie donosiły o porachunkach gangów narkotykowych, w których coraz częściej odnajdują się migranci. Nawet mafijna rzeczywistość z początku III RP nie wyglądała tak dramatycznie i nie

wpisem: „Wpuście w końcu tych ludzi do Polski! Kim są, ustali się później!”. Wyjątkowo beznamiętne.

Punktem zapalnym okazały się wówczas okolice Usnarza Górnego na Podlasiu, gdzie po stronie białoruskiej pojawiło się koczowisko „turystów” Łukaszenki. Zaczął się wówczas oblężniczy festiwal wypraw polityków opozycji na granicę. Wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanicka próbowała przedrzeć się do obozu, przypomnijmy: umiejscowionego już za granicą państwa polskiego. Wymachiwała legitymacją parlamentarzysty, gdy jednak to nie zadziałało, porównała funkcjonariuszy Straży Granicznej do komunistycznej bezpieki. „Znamy tożsamość osób znajdujących się przy granicy. Jedną z nich jest Sayyed. Kucharz, którego specjalnością jest qaboli [afgańskie danie – przyp. red.]” – tłumaczyła.

Swoje pięć minut mieli też Franciszek Sterczewski (KO), który próbował urwać się pogranicznikom, ale rajd z reklamówką zakończył na trawie, czy Maciej Gdula (Lewica), który apelował, by do Polski wpuścić przynajmniej kobiety i dzieci. Posłowie KO Michał Szerba i Dariusz Joński pomstowali na nasze służby, gdy te nie pozwoliły im dostarczyć do białoruskiego obozu pizzy i reklamówek z kocami.

Sympatyzujący z opozycją Władysław Frasyniuk nazwał broniących granicy polskich żołnierzy śmieciami i watahą psów. Borys Budka (KO) tłumaczył, że były opozycjonista nie miał „jakichkolwiek złych intencji”. Podobnie Robert Biedroń (europoseł Lewicy): „Dobrze, że są tacy ludzie jak Frasyniuk”. I jeszcze Leszek Balcerowicz, który podkreślał, że „Władysław Frasyniuk stawia ważne pytanie”, gdy ten rozwścieczony pytał, „czy ludzie strzegący naszych granic to w ogóle polscy żołnierze”. Szybko też ulubienicą liberalnego salonu stała się aktorka Barbara Kurdej-Szatan, która obrońców granicy nazywała maszynami bez serca i mózgu, okraszając swój wywód ekspresyjnymi wulgaryzmami.

Inną granicę przekroczyła poseł KO i Zielonych Urszula Zielińska, która uczestniczyła w tych dniach w spotkaniu z papieżem: „Przekazałam Franciszkowi list w sprawie sytuacji na granicy

polsko-białoruskiej [...] Papież to przyjął. [...] W liście przypominałam, że od wielu tygodni granicę Unii Europejskiej przekraczają setki uchodźców w poszukiwaniu bezpieczeństwa”.

BĘDĄ NACISKAĆ?

Osobna debata, która dobitnie pokazała, komu zależy na obronie polskiej granicy – a jednocześnie granicy UE i strefy Schengen – odbyła się po decyzji rządu o budowie zapory. Donald Tusk wówczas kpił z tego pomysłu: „Oni udają, że zbudują wielki mur, a tak naprawdę chcą zrobić wielki wał. [...] Klub KO będzie przeciw specustawie w sprawie budowy zapory na granicy z Białorusią”. I rzeczywiście był przeciw.

Polska opozycja wciąż histerycznie broni się przed jasną odpowiedzią na pytanie, czy chce nielegalnie przybyłych obcych w polskich granicach. Wynik referendum może być przecież wiążący także dla przyszłego rządu, niezależnie od tego, kto go będzie tworzył

Do strategii torpedowania pomysłu skutecznej, co dziś wiemy na pewno, bariery opozycja wykorzystywała wszelkie, nie zawsze racjonalne argumenty. Małgorzata Tracz z partii Zielonych na sali plenarnej Sejmu: „Czy konsultowaliście z przyrodnikami budowę płotu?”.

Osobną rolę w tej historii odgrywała i nadal odgrywa Janina Ochojska, europoseł KO. Jesienią 2021 r. przekonywała: „Straszenie uchodźcami i migrantami zakłada, że są to gorsi ludzie, którzy mogą nam uczynić zło, i to jest dla mnie bardzo bolesne”. Radziła, by przyjmować ich masowo: „Liczyłam to sobie parafiami – gdyby każda parafia w Polsce, a jest ich

10 tys., przyjęła jedną rodzinę, to byłoby to ok. 50 tys. ludzi [...] czy my naprawdę nie możemy ich w Polsce przyjąć?”.

W innym wywiadzie, już z 2023 r., gdy pomyśl przymusowej relokacji niespodziewanie wrócił na agendę KE, podtrzymywała wcześniejsze deklaracje: „Chodząc po ulicach Brukseli, widzicie jak ta różnorodność daje naprawdę świetne efekty. Ludzie poznają różną kulturę, jest tutaj pełno małych restauracyjek prowadzonych przez ludzi różnych narodowości i takie bogactwo” – zachwycała się. Mówi także, że po wygranych wyborach, mur na granicy „trzeba będzie po prostu rozebrać”.

To godne podkreślenia oderwanie od rzeczywistości, która, jak piszemy wyżej, jest zgoła odmienna. Ale to i tak nic w porównaniu z ripostą Joanny Senyszyn (Lewica), którą poczęstowana została uczestniczącą w programie telewizyjnym kobietą, która zapytała o całkiem realne zagrożenie gwałtem ze strony obcych. „Odpowiedź jest prosta, na szczęście przepisy aborcyjne pozwalają usuwać ciężę z gwałtu” – odpowiedziała Joanna Senyszyn.

Agnieszka Holland kręciła w podwarszawskich lasach film, który ma skupić się nie na szeroko rozumianym bezpieczeństwie Polski i Polaków, ale na cierpieniu pojedynczych ludzi, którzy w nadgraniczne lasy są wywożeni przez białoruskich funkcjonariuszy. Kompletnie odwrócenie sytuacji, którego nie można lekceważyć, bo wpływowy świat kina zapewne włączy się w negowanie polityki polskiego rządu. „Zielona granica” ma mieć swoją światową premierę na rozpoczynającym się w tym tygodniu festiwalu filmowym w Wenecji.

Myli się ten, kto myśli, że sprawa nielegalnej imigracji jest tematem w Europie zamkniętym. Właśnie dlatego tak ważny jest głos polskiego społeczeństwa w tej sprawie. Środowiska, które udają, że nie widzą zagrożenia, wyciągają kolejne, potężne argumenty.

Polska opozycja wciąż histerycznie broni się przed jasną odpowiedzią na pytanie, czy chce nielegalnie przybyłych obcych w polskich granicach. Wynik referendum może być przecież wiążący także dla przyszłego rządu, niezależnie od tego, kto go będzie tworzył. I co wtedy? Co, jeśli Unia znów zacznie naciskać?

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Czystka

Donald Tusk ustawia tak Platformę, żeby nikt nie był w stanie rozliczyć go ze spodziewanej wyborczej klęski



STANISŁAW JANECKI

Choć w wystąpieniach Donalda Tuska dominuje triumfalizm i bardzo go kręca rozważania o tym, kogo z Prawa i Sprawiedliwości wsadzi do więzienia, a kogo tylko wyrzuci (także z „niewyrzucalnych” stanowisk), dla przewodniczącego Platformy Obywatelskiej najważniejsza jest asekuracja. A właściwie sprawa osobistego bezpieczeństwa – oczywiście w sensie politycznym, a nie ochroniarskim.

Realnym i wartościowym dowodem takiego nastawienia jest kształt list wyborczych Koalicji Obywatelskiej oraz tej części paktu senackiego, która zależała od Tuska. W obu przypadkach na pierwszym planie są gwarancje bezpieczeństwa. A z tego wprost wynika, że Tusk znacznie poważniej zakłada własną wyborczą porażkę, niż chciałby tego nawet jego przeciwnicy w PO. Przecież ktoś musiałby za klęskę odpowiedzieć. Tym bardziej że były premier wrócił do polskiej polityki po prawie siedmiu latach nieobecności głównie po to, żeby przerwać pasmo porażek. Po to wszyscy usuwali mu się z drogi, a najważniejsze były rezygnacja Borysa Budki z funkcji przewodniczącego PO, żeby mógł nim zostać Tusk, a wcześniej Ewy Kopacz z funkcji wiceprzewodniczącej PO, żeby na jej miejsce mógł wejść jej były szef. Wszystko i wszyscy w partii zostali podporządkowani strategii, w której Tusk jest zwycięzcą. A to oznacza, że wraz z porażką tylko on będzie winny, bo wręcz fizycznie trudno wskazać współ-

winnych, skoro pole wokół przywódcy zostało wyczyszczone. W zamierzeniu po to, żeby wzmocnić ewentualnego triumfatora, a nawet uczynić go herosem – w stylu tego, co we wrześniu 2010 r. zrobił Andrzej Halicki, nazywając Tuska „Mojżeszem, który przeprowadza nasz lud przez Morze Czerwone”.

Wszystko zostało przygotowane dla triumfatora, ale w sierpniu 2023 r. nie ma żadnych gwarancji, a wręcz są mniejsze niż kiedykolwiek od początku lipca 2021 r. (daty powrotu), że Tusk w ogóle założy laurowy wieniec. Coraz bardziej realny jest za to scenariusz, że będzie z nim tak jak z Napoleonem po jego powrocie z Elby, a potem przegraniu decydującej bitwy pod Waterloo (18 czerwca 1815 r.). I lider PO nie zamierza znaleźć się w sytuacji Bonapartego, który został zmuszony do abdykacji i trafił na Wyspę Świętej Heleny, gdzie pozostał do śmierci. Tusk czyści pole z tych, którzy mogliby domagać się jego abdykacji w razie klęski oraz tych, którzy byłoby zdolni taki scenariusz realizować.

ZGINANIE KARKÓW

Na początek Tusk mocno uderzył w poczucie godności członków własnej partii, udowadniając, że może właściwie dowolnie zgiać ich karki. A tym samym udowodnił, że właściwie żadnej godności nie mają, skoro można z nimi zrobić wszystko. Właśnie temu służyło wzięcie na listy Koalicji Obywatelskiej Michała Kołodziejczaka, lidera Agrounii, i kilku jego ludzi. Dotychczas w KO, a szczególnie w PO, takie osoby jak Kołodziejczak traktowano z ogromnym poczuciem wyższości, a wręcz z pogardą – jako wywodzące się z innego świata, innej kultury, a nawet innej estetyki. Absolutnie niesalone, a wręcz będące negatywnym punktem odniesienia dla salonu współtworzonego przez PO. I tylko to wystarczyłoby,

żeby uznać akcję z Kołodziejczakiem za zamach na ego i pielęgnowane od lat poczucie wyższości ludzi Platformy. Tusk po prostu dał im wszystkim kopa.

Część upokorzonych w ten sposób skorzystała z formuły wymyślonej przez prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta (w 1939 r.). Kiedy Anastasio Somoza, dowódca armii w Nikaragui, dokonał w 1936 r. zamachu stanu i potem rządził na czele dyktatury łamiącej wszelkie prawa, Roosevelta spytano, dlaczego USA na to pozwalają. Odpowiedział: „Somoza może być sk...synem, ale to nasz sk...syn”. Część zniesmaczonych działaczy i sympatyków PO uważa, że Kołodziejczak może być „nasz” na podobnej zasadzie, tym bardziej że może się przydać w brutalnych atakach na PiS, a to może pomóc odzyskać władzę.

Wzięcie na listę KO Bogusława Wołoszańskiego oraz Andrzeja Rozenka to z kolei ćwiczenie ze zginania karków tym w Platformie, dla których jeszcze cokolwiek znaczy etos Solidarności oraz antykomunizm. Wołoszański to wprawdzie znany dziennikarz i pisarz, ale także kontakt operacyjny SB, rozpracowujący na życzenie esbecji Polonię w Wielkiej Brytanii, struktury NATO, a nawet Kornela Morawieckiego. Noszący pseudonim „Rewo” Wołoszański nagrywał np. wystąpienie Morawieckiego w Londynie, a stenogram przesłał do centrali SB – o czym napisał w swojej książce „Dopaść Morawieckiego” dziennikarz Bogdan Rymanowski. Rozenek to z kolei przez lata prawa ręka Jerzego Urbana w tygodniku „Nie”, gdzie etos Solidarności był nagminnie brukany i wyśmiewany, zaś antykomunizm traktowano jak zbrodnię. Większość tych osób z PO, dla których liczył się antykomunizm i etos Solidarności, już dawno partię Tuska opuściła, ale niektórzy jakieś pozory jeszcze zachowywali. Tusk postanowił nawet te pozory zniszczyć. To klasyczny mechanizm „powszechnego umocnienia”, żeby nikt nie czuł się moralnie lepszy, żeby wszyscy mieli poczucie większego lub mniejszego ubrudzenia. Wtedy łatwiej się nimi dyryguje i manipuluje. Wtedy łatwo narzucić swoją wolę.

MIOTŁA TUSKA

Gdy już szef Platformy udowodnił, że może zginać karki i wymierzać kopniaki, przygotował grunt do rozprawy z wszelką obecną, a szczególnie przyszłą opozycją w partii (wrazie spodziewanej porażki wyborczej). Swego odwiecznego wroga Grzegorza Schetynę „zesłał” do Senatu, jednocześnie dowodząc, że nawet z nim może zrobić wszystko. Tusk, wicemarszałek Senatu w latach 1997–2001, uważa tę izbę za nieważną (chciał nawet jej likwidacji), a senatorów za tych parlamentarzystów, którzy w partii nie mają wiele do powiedzenia, a nawet, jeśli mają, nikt się tym nie przejmie. „Zesłanie” do Senatu jest więc jednoznacznie w PO postrzegane jako marginalizacja i degradacja, choćby sena-

Tusk „zesłał” do Senatu swego odwiecznego wroga Grzegorza Schetynę. Dodał mu jeszcze jego ludzi, czyli Rafała Grupińskiego i Waldego Dzikowskiego. Na wyborczej liście nie znalazł się uważany za człowieka Schetyny Sławomir Neumann

torowie tej partii mówili coś przeciwnego. A „zsyłając” Schetynę, Tusk dodał mu jeszcze jego ludzi, czyli Rafała Grupińskiego i Waldego Dzikowskiego. Nie znalazł się na liście uważany za człowieka Schetyny Sławomir Neumann (twórca „doktryny Neumanna” o bezkarności „wiernych” działaczy PO). Inny człowiek Schetyny, Andrzej Halicki, jest europosem i jeśli chce ponownie kandydować w 2024 r., nie może przeciwko Tuskowi nawet kiwnąć palcem w bucie. „Zesłanie” do Senatu Małgorzaty Kidawy-Błoińskiej ma tylko takie znaczenie, żeby nikt nie starał się jej użyć jako szyldu jakiegokolwiek frakcji czy grupy, która mogłaby chcieć w przyszłości przewodniczącego PO rozliczać. Tusk uważa, że

w ten sposób ma z głowy frakcję Schetyny i problemy z nią. Szef innej grupy, Cezary Grabarczyk, sześciokrotnie wybierany na posła, w ogóle wypadł poza listę PO (formalnie sam zrezygnował z powodu sprawy sądowej o nielegalne pozwolenie na broń). Przewodniczący PO uważa, że w ten sposób także frakcję Grabarczyka ma z głowy.

Tusk dąży do tego, żeby wszystkie ważne postacie w Platformie tylko jemu zawdzięczały swoją pozycję, były mu wdzięczne i miały świadomość, że w każdej chwili mogą zostać wyrzucone, gdyby cokolwiek przeciwko swemu mocodawcy knuły lub tylko knującym sprzyjały. Jedyne na listach Tusk poprzestawiał, jak chciał, żeby te nowe były mu bezwarunkowo oddane, a te przesunięte poza okręgi, gdzie poprzednio startowały, znały swoje miejsce i nie podskakiwały. Dlatego jedynką w okręgu legnickim jest Zofia Czernow, we Wrocławiu Alicja Chybicka, w Wałbrzychu Monika Wielichowska, w Koszalinie Bartosz Arłukowicz, w Krakowie Bartłomiej Sienkiewicz, a w Zielonej Górze została nagrodzona odkrywczyni rłęci w Odrze Elżbieta Polak, dotychczasowa marszałek województwa lubuskiego. Dlatego Tomasz Siemoniak został przesunięty do Opola.

Nikt nie powinien się nawet ośmielić wystąpić przeciwko Tuskowi w razie wyborczej klęski, a co dopiero domagać się jego ustąpienia. W ten sposób otworem, mimo klęski, stałoby przed nim kandydowanie na prezydenta RP w 2025 r. Wprawdzie poza „jurysdykcją” Tuska jest prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, ale na razie szefowi PO wystarcza regularne przypomnianie mu, kto tu rządzi i różne formy upokarzania. Policzką było wyeliminowanie (nikt poważny nie ma wątpliwości, że decyzją Tuska) z Campusu Polska Przyszłości debaty tzw. symetrystów. Poniżeniem jest kolejne wprośnienie się na kampus przez samego Tuska, żeby zabrać Trzaskowskiemu show. A dowodem koronnym tego upokorzenia jest radość, z jaką Trzaskowski powitał obecność Tuska na własnej imprezie. Chodzi o to, żeby nikt nie urządził Tuskowi tego, co spotkało Napoleona po Waterloo, mimo że taka klęska jest w PO coraz powszechniej brana pod uwagę. Tusk czyści i przemeblowuje partię, żeby włos nie spadł mu z głowy mimo upadku mitu zwycięzcy.

A portrait of Michał Karnowski, a man with a beard and glasses, wearing a dark suit and a patterned tie. He is standing in front of a background featuring the Polish flag and the European Union flag.

Wierzę w rozsądek Polaków

Sądzę, że każdy uczciwy obserwator dostrzega, iż choć nie jest doskonały, bo jesteśmy tylko ludźmi, obóz polityczny Jarosława Kaczyńskiego odpowiedzialność za Polskę traktuje bardzo poważnie. Pilnujemy polskich spraw, narodowego interesu, racji stanu. Siła ataków na nas wynika w dużej mierze z tego faktu

*Michał Karnowski rozmawia
z **prof. Krzysztofem
Szczuckim**,
prezesem Rządowego Centrum
Legislacji, kierownikiem
Akademii Prawa
i Sprawiedliwości*

*Czy Donaldowi Tuszkowi udało się unieważnić referendum? Trochę się wszyscy z tej jego deklaracji pośmia-
liśmy. Prof. Krystyna Pawłowicz cel-
nie odpowiedziała, że „unieważnia
unieważnienie”, ale przecież sprawa
jest poważna. To kolejny atak na
instytucje i mechanizmy państwa
polskiego, bo przecież referendum
zostało zaproponowane przez rząd,
przyjęte przez parlament.*

Krzysztof Szczucki: Nie udało się, ale przecież będzie zapewne próbo-
wał nadal. Istotą tej akcji lidera opo-
zycji była próba wciągnięcia państwa
w rozgrywkę partyjną. Bo przecież
zachowano precyzyjnie wszystkie
wymagane procedury: zgłoszono
projekt, odbyły się otwarte, wolne
dyskusje w komisjach sejmowych, na
forum parlamentu, równolegle trwała

rozmowa w mediach. Każdy, kto chciał – kluby parlamentarne, posłowie – mógł do swoich racji przekonywać, proponować dodatkowe pytania, ich kształt. Finałem tego procesu była uchwała Sejmu, który w trybie konstytucyjnym zarządził referendum. Opozycja powinna to uszanować.

To znaczy?

Zaakceptować decyzję Sejmu i wziąć udział w normalnej debacie referendalnej, odnieść się do postawionych pytań. Dopuszczam nawet decyzję, by na referendum nie iść. To też mieści się w pakiecie postaw normalnych w demokracji. Ale próba unieważnienia? Postawienia siebie wyżej od instytucji ustrojowych państwa polskiego? To jest uzurpacja. Tusk chciał wejść w rolę władzy sądowniczej. Tylko ona ma bowiem prawo ocenić ważność referendum, gdy już się odbędzie.

To tylko pycha polityka?

Też. Ale odczytuję tę postawę pana przewodniczącego jako sygnał wysłany środowisku sędziowskiemu, jak wiemy, niestety mocno upolitycznionemu, zaangażowanemu po stronie opozycji. Tusk zdaje się już dzisiaj sugerować sędziom, jak mają potraktować sprawę referendum, a może i ważności wyborów, gdy sprawy pójdą nie po jego myśli.

Gdyby tak rzeczywiście chciał – ma szanse powodzenia?

Na szczęście Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych cechuje się pewną niezależnością wobec presji środowiskowych, a tym bardziej wobec Donalda Tuska. Sądzę, że będzie orzekała w sposób wolny. Możemy jednak założyć, że będą próby nacisków, redukcji oficjalnego, ogólnopolskiego referendum do wydarzenia partyjnego.

Gdy spojrzymy wstecz, zobaczymy, że to stała linia opozycji. Zamiast o Trybunale Konstytucyjnym mówią o „Trybunale Przylębskiej”, zamiast Wojska Polskiego jest rzekoma „ar-

mia Błaszczaka”, nie ma dla nich polskiej szkoły, jest ponoć „szkoła Czarnka”.

Do tego jest „neoKRS”, a nie Krajowa Rada Sądownictwa.

Jak nie rządzą, to przestają uznawać instytucje państwa polskiego?

Tak, i w ten sposób opozycja skrajnie upartyjniła państwo, dzieli Polaków dużo głębiej, niż wynikałoby to z samego konfliktu politycznego. To postawa skrajnie nieodpowiedzialna,

Próba unieważnienia referendum? Postawienia siebie wyżej od instytucji ustrojowych państwa polskiego? To jest uzurpacja. Tusk chciał wejść w rolę władzy sądowniczej. Tylko ona ma bowiem prawo ocenić ważność referendum, gdy już się odbędzie

szkodliwa i dyskryminująca. Przecież to jest próba wprowadzenia podziału na grupę uprzywilejowaną, mającą większe prawa i tych, którzy są w swoich prawach ograniczeni. Lewicowe i liberalne parlamenty, rządy, prezydenci mogą zmieniać kraj, wprowadzać reformy, nominować ludzi na stanowiska. Mają też mieć zagwarantowaną nietykalność, zgodnie z doktryną Neumanna.

Przypomnę, że kilka lat temu Zbigniew Neumann wyjawiał w rozmowie z innym działaczem PO, iż dopóki się jest w tej partii, to włos człowiekowi z głowy za nic nie spadnie, a sądy będą tak sądziły, by w roku nie było.

Tak. A co wedle Tuskowej koncepcji wolno rządowi Zjednoczonej Prawicy?

Parlamentowi, w którym ta formacja ma większość? Nic. Nie może wybrać sędziów Trybunału Konstytucyjnego, choć przepisy to nakazują. Nie wolno zdemokratyzować i zreformować Krajowej Rady Sądownictwa. Jest zakaz reform w armii, w edukacji. Więcej! Nie może nawet ogłosić referendum, a jak próbuje, to Tusk je „unieważnia”. Smutne, że te środowiska nazywają się „demokratycznymi”. Naprawdę nie rozumiem, co to słowo znaczy.

Może rozumieją pod tym pojęciem rządy oligarchii? Kilka wpływowych rodzin, lokalne establishmenty, nadzwyczajna kasta w sądownictwie i wystarczy.

Istotą tej upokarzającej dla Polaków propozycji jest to, że zakłada fasadowość polskiej demokracji. Zobaczyliśmy to dobrze podczas afery Rywina. Z wierzchu demokracja, wybory, ale za kulisami siedzą wpływowi ludzie, którzy dzielą wpływy, posady, ustalają kierunki polityki. Do skrajności doszło to w sądownictwie, gdzie kilku wpływowych profesorów trzymało sznurki mocniej niż wybierane hałaśliwie w wyborach organy państwa. I oni pilnowali, by w sądownictwie, wprost przeniesionym w dużej mierze z PRL, nic się nie zmieniło.

Amerykańscy konserwatyści mówią o takich patologiach deep state – głębokie państwo. Wy sobie możecie głosić na kogo chcecie, ale nic się nie zmieni, bo my rządzymy.

To dobry opis tego mechanizmu. Jarosław Kaczyński nazwał ten układ „monowładzą” i wspólnie ze śp. bratem Lechem Kaczyńskim próbowali go rozbić. Za ten właśnie akt odwagi spadła na nich ta straszliwa lawina ataków, najpierw w latach 90., a potem ponownie, gdy odbudowali swoje środowisko, w latach 2000. Adam Michnik też dobrze rozumiał stawkę tej walki.

Druga próba złamania tych układów podjęta przez Jarosława Kaczyńskiego po 2015 r. okazała się skuteczna?

W wielu obszarach tak, stąd też tak straszliwy atak, jaki spadł na prezesa PiS i jego obóz polityczny. Najtrudniejszym terenem okazało się sądownictwo, czemu trudno się dziwić, bo tam spotyka się potężna władza. To zadanie będziemy musieli podjąć jeszcze raz, musimy i tę sferę odzyskać dla obywateli, przywrócić tam demokratyczną kontrolę. O ile oczywiście wyborcy zaufają nam i powierzą rządy na trzecią z kolei kadencję.

Czym my sobie zasłużyliśmy na taką opozycję? Dlaczego w tylu państwach europejskich przegrane formacje po prostu próbują odzyskać władzę w kolejnych wyborach, a nasza ogłosiła reżim, dyktaturę, jest gotowa podpalić państwo, zniszczyć Polskę na świecie i wzywała Berlin oraz Brukselę na pomoc? Gdzie szukać źródeł tego nieszczęścia? W komunizmie? W zaborach?

Można by pewnie w tych poszukiwaniach sięgać jeszcze głębiej. Polacy są ogólnie świetnym narodem. Mamy cechy, które chroniły nas przed potężnymi błędami popełnionymi nawet przez wielkie narody zachodnioeuropejskie. Nie mieliśmy niewolnictwa, kolonii, szanowaliśmy zawsze kobiety, nie prześladowaliśmy homoseksualistów, zasadniczo panowała tolerancja religijna. Niestety, gdy poznajemy głębiej polską historię dostrzegamy, że od XVIII w. w niektórych grupach Polaków budziły się demony poszukiwania sojuszników za granicą, wciągania ich w wewnętrzne spory.

Miało to tragiczne konsekwencje w postaci zaborów.

Co też ma dziś swoje konsekwencje. Dalej doszły następstwa komunizmu, który każde społeczeństwo, mimo bohaterstwa oporu w Polsce, jednak demoralizował, niszczył duchowo. A potem na dodatek, w latach 90., zafundowano nam tzw. pedagogikę wstydu. Świadomie wtłaczano w Polaków przekonanie, że stale, z trwogą musimy się oglądać na innych, że

poklepanie po plecach w Berlinie jest najwyższym możliwym wyróżnieniem, że jak Bruksela kichnie, to my musimy drżeć ze strachu. Dziś na szczęście wielu Polaków się już na to uodporniło, wyzbyło się kompleksów. Chcemy należeć do wspólnoty państw zachodnich, ale swój rozum też mamy.

Lewicowe i liberalne parlamenty, rządy, prezydenci mogą zmieniać kraj, wprowadzać reformy, nominować ludzi na stanowiska. Mają też mieć zagwarantowaną nietykalność, zgodnie z doktryną Neumanna. A co wedle Tuskowej koncepcji wolno rządowi Zjednoczonej Prawicy? Parlamentowi, w którym ta formacja ma większość? Nic

Opozycja, która nazwała się po 2015 r. „totalną”, odwołała się do tych niebezpiecznych dla państwa traum, strachów, kompleksów?

Tak, z całą mocą, którą dysponowała. Polacy mieli wpaść w panikę moralną, obalić rząd. Ze zdumieniem stwierdzili, że to już tak łatwo nie zadziałało, że im bardziej Polacy poznają świat, tym bardziej doceniają nasz własny dorobek, chcą też uniknąć pewnych błędów Zachodu. Nie chcą rzeczywistości współczesnej paryskiej ulicy przenosić do swojego miasta.

Wspomniane przez pana demony XVIII-wiecznej zdrady przypominają, jak niebezpieczny dla polskiej niepodległości i wolności jest zawsze sojusz niemiecko-rosyjski. I nawet barbarzyński najazd Rosji na Ukrainę nie spowodował pełnego, całkowitego zerwania. Dlaczego?

Ujawniło się, jak mocne były to więzy, jak daleko to zaszło. Dla polskiej, ale i całej zachodniej opinii publicznej był to szok. Po kilku miesiącach wymusiła ona korektę niemieckiej polityki. Jednak jak wiemy, w części to tylko pozór. Polska jednoznaczność w przeciwstawianiu się odbudowie rosyjskiego imperium nie jest dzisiaj i nie była w przeszłości na rękę państwu niemieckiemu. Z bólem patrzymy dziś wstecz, także dzięki doskonałemu serialowi dokumentalnemu „Reset” nadawanemu przez Telewizję Polską, na szkody wyrządzone w tej sprawie przez ekipę Donalda Tuska. Pozwoliła ona wtedy Putinowi zagrać przeciw polskiemu prezydentowi, kopiowała politykę niemiecką wobec Rosji. Konsekwencje były, jak wiemy, straszliwe.

Wiedzieli, co robią?

Na poziomie wykonawczym wiedzieli. Ale czy rozumieli skutki? Czy dostrzegali, że wspierana przez nich niemiecka polityka przyzwolenia na kolejne akty rosyjskiej agresji doprowadzi do tragedii Ukrainy? Nie wiem. Pewne jest to, że prowadzili politykę niedojrzałą, że byli ludźmi, którzy nie dorosli do prowadzenia spraw państwowych. I takimi pozostają. Sądzę, że każdy uczciwy obserwator dostrzeże, iż choć nie jest doskonały, bo jesteśmy tylko ludźmi, obóz polityczny Jarosława Kaczyńskiego odpowiedzialność za Polskę traktuje bardzo poważnie. Bez względu na cenę pilnujemy polskich spraw, narodowego interesu, racji stanu. Siła ataków na nas wynika w dużej mierze z tego faktu.

Wiele można próbować zrozumieć, polityka bywa głupia i brutalna, ale kim trzeba być, by w warunkach szalejącej wojny tuż za granicą sabotować z takim trudem realizowany program odbudowy polskiej siły militarnej?

Tu znowu wracamy do tych naszych demonów. Może też wstyd im, że oni mówili, iż tego się nie da zrobić,

a my daliśmy radę? A może boją się, że Polacy dowiedzą się, iż planowali bronić Polski na linii Wisły, likwidowali jednostki wojskowe na Wschodzie, co by oznaczało oddanie połowy kraju pod okupację rosyjską, w nadziei, że sojusznicy się ruszą? Ta kompromitująca dla ekipy Tuska prawda dziś jest już w pełni niemal odsłonięta.

Mówił pan kilkakrotnie, że także wypowiedź Manfreda Webera, szefa Europejskiej Partii Ludowej, do której należy Platforma Obywatelska, ustawiająca Prawo i Sprawiedliwość jako wroga tego niemieckiego polityka, też nam dużo pokazała, odsłoniła. Co konkretnie?

W mojej ocenie prawdziwą rolę Platformy Obywatelskiej w Polsce. PO nie jest partią podmiotową, która zgodnie z klasyczną definicją dąży do zdobycia władzy, by realizować dobro wspólne w sposób przez siebie pojmowany, zgodnie ze swoim światopoglądem. PO jest partią, która ma pozyskać Polskę dla rządu niemieckiego. Ma być pasem transmisyjnym polityki niemieckiej do Polski. Podobną rolę wobec komunistów pełniły w PRL partie satelickie PZPR – ZSL i Stronnictwo Demokratyczne. Manfred Weber powiedział nam to otwarcie: Platforma Obywatelska ma zdobyć władzę w Polsce, bo my tam, za ich pomocą, chcemy realizować swoje interesy. Bo nie chcemy, by rząd w Warszawie samodzielnie analizował nasze projekty, pomysły. Chcemy, by myślał, jak je sprzedać Polakom. Ten sens jest dla mnie oczywisty.

Z tego powodu Tusk i PO nie mogą powiedzieć w referendum „nie” dla przymusowej relokacji migrantów? Bo wiedzą, iż jeśli wygrają, to otrzymają polecenie wdrożenia tego i będą musieli to wykonać?

Tak, z tym że nie dotyczy to tylko pytania o przymusową relokację. W sprawie wieku emerytalnego i wyprzedzący majątku narodowego jest podobnie. Dlatego odpowiedź opozycji na referendum jest tak nerwowa, z tego po-

wodu padają tak sprzeczne wypowiedzi. Prawdy Polakom ujawnić przecież nie mogą.

Można powiedzieć, że w tych wyborach zmierzy się stronnictwo polskie z partią niemiecką?

Na pewno z jednej strony mamy partię, która interes Polski i Polaków stawia na pierwszym miejscu, która udowodniła swoją sprawność, skuteczność. Z drugiej jest formacja, która nie ma własnego programu, którą tworzą ludzie niepoważni, ale pilnowani przez jak najbardziej poważnego patrona – rząd niemiecki. Można zaryzykować stwierdzenie, że PO jest partią reprezentującą w Polsce interes obcy.

Platforma chętnie sięga po tematy emocjonalne, a niekoniecznie najważniejsze. Czy dlatego, by przykryć tę swoją polityczną zależność i odciągnąć uwagę opinii publicznej od spraw najważniejszych, podniesionych w referendum? Czy to im się uda?

Dużo jeżdżę po Polsce, rozmawiam z Polakami i muszę panu powiedzieć, że to jest świat bardzo odległy od obrazu prezentowanego przez potężne media liberalno-lewicowe. Polacy myślą o przyszłości swoich rodzin, boją się powrotu bezrobocia, jakie było za Tuska, kolejnego oszustwa emerytalnego PO, martwią się zagrożeniem ze Wschodu, martwią ich ataki na obrońców polskich granic. To, co w mediach przedstawiane jest jako tematy najważniejsze, kwestie ideologiczne, pojawia się marginalnie lub w ogóle. Dlatego uważam, że Polacy w referendum zagłosują. Bo pytania dotyczą bardzo ważnych, żywych społecznie spraw.

Jak ocenia pan dotychczasową kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości? Jest energia? Siła, by sięgnąć po trzecią kadencję? Dotychczas nikomu to się nie udało.

To prawda. Dlatego jest to kampania ekstremalnie trudna. Ale mamy siłę, by o to walczyć, a co najważniejsze, mamy program, pomysł na to, jak

jeszcze bardziej rozwijać i wzmacniać Polskę. Dokładnie opowiemy o tym podczas prezentacji programu wyborczego we wrześniu. Będzie to perspektywa dalsza niż tylko ewentualna kolejna kadencja. Tu nie można się zmęczyć. Polska bezpieczna, suwerenna, silna i bogata jest w zasięgu nas wszystkich. Na pewno nie przyniosą tego rządy ludzi, którym nie chce się nawet napisać poważnego programu, bo i tak wiedzą, że o ich działaniach zdecyduje kto inny.

Jeśli nie uda się zdobyć samodzielnej większości, możliwa jest koalicja z Konfederacją? Ja wielu punktów wspólnych nie widzę.

Mówimy jednoznacznie i mocno: walczymy o samodzielną większość. Prosimy znów Polaków o zaufanie, również dlatego, że stabilne rządy są wielką wartością. Jeśli ktoś sądzi, że głos na Konfederację jest głosem na koalicję tej partii z nami, popełnia ogromny błąd. Przemysław Wipler, jeden z ważnych polityków Konfederacji, pierwszy kandydat tej partii w okręgu toruńskim, ostatnio powiedział jasno, że raczej rozważa koalicję z Platformą. Politycy tej formacji podkreślają swój superliberalizm, a my jesteśmy formacją solidaryzmu społecznego. Lepiej więc nie bawić się w złudzenia, nie marnować głosu.

Prezes Kaczyński zaprezentował hasło PiS w tej kampanii: „Bezpieczna przyszłość Polaków”. Jak je pan rozumie?

Bezpieczeństwo jest naszą najważniejszą obietnicą. Rozumiemy je szeroko: bezpieczeństwo granic i bezpieczeństwo na ulicach. Bezpieczeństwo rozwoju gospodarczego, godnego życia każdej rodziny. Pokazaliśmy, że mimo potężnych kryzysów, które nadeszły z zewnątrz, pandemii, wojny, potwornego wzrostu cen energii na świecie, umiemy je zapewnić. Do dobrych rzeczy, takich jak bardzo niskie bezrobocie, obniżony wiek emerytalny, skuteczna ochrona granicy, wzmacnianie Wojska Polskiego, łatwo się przyzwyczaić. Równie łatwo jednak to stracić. Dlatego wierzę w rozsądek Polaków.

Niemiecka kampania w polskich wyborach

Żaden kraj nie jest tak zainteresowany wynikami wyborów w Polsce jak Niemcy. Nie chodzi o życzenie zwycięstwa krewniakom politycznym i sojusznikom unijnym. Niemieckie zaangażowanie w słowach i czynach daleko wykracza poza standardy demokracji, przyzwoitości i relacji pomiędzy życzliwymi sąsiadami. Jest wrogie i bezwzględne



DARIUSZ MATUSZAK

blokując pożyczki KPO inna Niemka – szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Polskie wybory są częścią polityki Berlina. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Niemcy robią wszystko, by władzę straciła Zjednoczona Prawica, a uzyskała ją nawet nie Platforma Obywatelska, ile dowolna ekipa usłużnego wobec Niemiec Donalda Tuska. Kto wygra w Polsce jest dla Berlina ważniejsze niż to, kto będzie burmistrzem niemieckiej stolicy. Ba, wobec jednomyślnego zorientowania na Rosję i Chiny, wobec planu zbudowania podporządkowanego Niemcom europejskiego państwa, perspektywy wypłacania Polsce reparacji te wybory nad Wisłą są dla Niemiec ważniejsze niż te do Bundestagu. Oto najistotniejsze niemieckie „tematy wyborcze”.

Wybory o biliony euro

Jeden z najważniejszych tematów to oczywiście kwestia reparacji. W uproszczeniu: zwycięstwo Tuska ma dla Niemców wartość co najmniej 3,744 bln euro. Wiem, że to pomysł brudny, na granicy patologii, ale spróbujmy wyobrazić sobie, jakbyśmy się czuli jako Niemcy, gdybyśmy nie tylko mieli oddać, co rodzice i dziadkowie nakradli, ale jeszcze zapłacić odszkodowania za ich zbrodnie. Byłoby nam, jak Niemcom, przykro i empatyczną zdolność pojmowania tego mają politycy PO, a zwłaszcza Tusk, który pomysł reparacji próbował wyszydzić, a nawet były prezydent Bronisław Komorowski, który

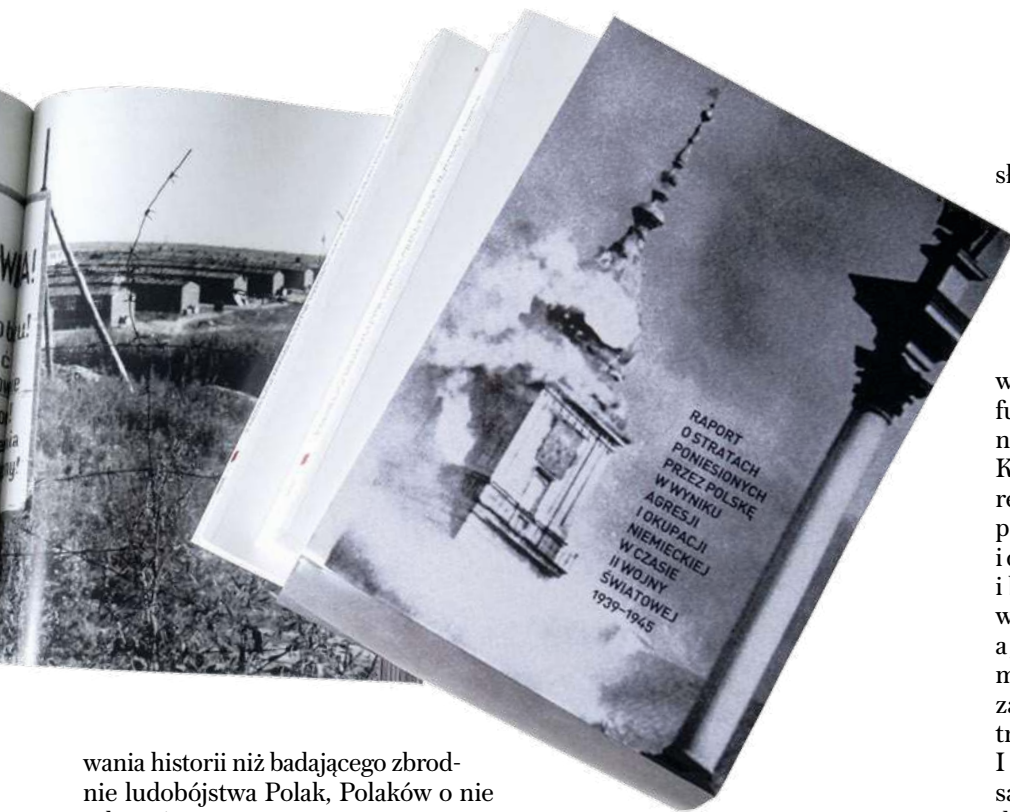
oczekuje od Berlina miłego gestu, który zamknąłby sprawę rozliczeń za II wojnę światową. Ot, mogliby odbudować jeden z setek tysięcy zniszczonych przez siebie obiektów – np. pałac Saski i to wystarczyłoby do ostatecznego pojednania. Być może jeszcze ufundować stypendia, które rozdzieliłaby fundacja Sorosa/Batorego, a z których korzystaliby zarabiający na oskarżaniu Polaków o udział w Holokauście, jak Jan Grabowski i Barbara Engelking.

Niemcy od dawna prowadzą operację rozmywania odpowiedzialności za II wojnę i zbrodnie. Na zimno pracują nad tym, by przerzucić winy na inne kraje i przedstawiać się jako ofiara nazistów, jakby to nie oni nimi byli. Elity nad Renem coraz częściej mówią, jakoby w 1945 r. Niemcy zostały spod nazizmu wyzwolone. Najpodlejszą, ale skuteczną, manipulacją było wprowadzenie pojęcia „polskie obozy śmierci” i wmawianie światu odpowiedzialności Polaków za zagładę Żydów.

Teraz będziemy mieli do czynienia z jeszcze większym, bardziej cynicznym zakłamywaniem historii, a to z powodu polskich żądań reparacji. Niemcy będą robić wszystko, by odpowiedzialność za swe zbrodnie przerzucić na Polaków, bo sprawca nie może domagać się zadośćuczynienia za własne czyny. Od tego mają media, jak Onet, a i „GW” czy TVN robią wszystko, by zakłamać, obrzydzić naszą historię. Do tego też będą wykorzystywać takie postacie jak choćby Grabowski. Niemcy nie mogły wymarzyć sobie lepszego kolaboranta w dziele zakłamy-



Zaangażowanie to widać po butnej retoryce szefa Europejskiej Partii Ludowej Manfreda Webera, który mówi o PiS jak o wrogu, przed którym trzeba położyć „zapórę ogniową”. Widać po zakłamanych publikacjach w mediach, w których podważana jest choćby idea referendum w Polsce. Ingerencję poznajemy po działaniach instytucji unijnych – po tym, jak nikczemny koncept wiceprzewodniczącej Parlamentu Europejskiego, Niemki Katariny Barley, by „zagłodzić finansowo Polskę” realizuje,



wania historii niż badającego zbrodnie ludobójstwa Polak, Polaków o nie oskarżającego.

Z czasem zwycięstwo Platformy, po tanich gestach jak odbudowa pałacu Saskiego, doprowadziłoby do podpisania przez Polskę jakiegos dokumentu zamykającego rachunki krzywd. W międzyczasie Tusk gwarantowałby, że sprawa reparacji byłaby zapomniana. Wciąż istniałyby jakieś „obiektywne” przeszkody, niepozwalające na rozliczenia. Pozostawanie u władzy Zjednoczonej Prawicy oznacza nie tylko to, że nad Berlinem wisi miecz Damoklesa w postaci reparacji, ale też ciągły uszczerbek na reputacji, utratę miękkiej siły, która pozwala budować wpływy polityczne i robić interesy. Inaczej traktuje się spadkobiercę nazistów, a inaczej kulturalnego mieszczanina.

Póki Niemcy nie rozliczyły się za swe zbrodnie, póty trudno traktować je jako arbitra w sprawach demokracji i praworządności. To całkowicie niezrozumiałe, że argument ten nie jest stosowany przez Zjednoczoną Prawicę. Jedną sprawą to powoływanie się na prawo, suwerenność etc., a zupełnie inną przypominanie, że ten, kto nie rozliczył się ze zbrodni, nie oddał, co przodkowie zrabowali, nie ma prawa kogokolwiek pouczać. Bez rozliczeń ze zlodziejami, spadkobiercami ludobójczego reżimu w sprawach demokracji czy praworządności się nie dyskutuje. Tu dochodzimy do kolejnej, bardzo ważnej dla Berlina, kwestii.

Wybory o niemiecką Europę

Państwo, które nie rozliczyło się ze zbrodni, nie oddało zrabowanego, prowadziło katastrofalną politykę, umożliwiającą Putinowi zbudowanie krwawego reżimu, ma na kanclerskim stolcu trzecie pokolenie moskiewskich służalców – po Schroederze, komunistycznej działaczce z NRD Merkel wybrali sobie pacyfistę Scholza – ośmiela się proponować Europie własny ład. Wstępem do niego i budowy swojego dominium europejskiego ma być porzucenie zasady jednomyślności w decyzjach Rady Europejskiej i objęcia większością kwalifikowaną kolejnych obszarów, którymi Unia chce zawiadywać. Chodzi o politykę zagraniczną i bezpieczeństwa, obronność, tzw. prawa człowieka, nakładanie sankcji, podatki i budżet.

Niemcy od dawna snuły ten pomysł, a teraz chcą skorzystać z zasady, że im gorzej, tym lepiej, czy wedle amerykańskiego powiedzenia: żaden kryzys nie może się zmarnować. A więc wojnę, którą swą polityką umożliwiły, wykorzystują jako pretekst do zmieniania Unii poza traktatami. Wskazywał na to w sierpniu 2022 r. w przemówieniu na Uniwersytecie Karola w Pradze kanclerz Scholz. Jego wystąpienie odebrano jako szczególnie aroganckie, zwłaszcza że przywołał hasło czecho-

słowackich studentów, którzy w 1989 r. rozpoczęli aksamitną rewolucję: „Jeśli nie my, to kto, jeśli nie teraz, to kiedy”. Mówiąc „my”, Scholz miał na myśli Niemcy.

„Kiedy, jeśli nie teraz, gdy Rosja próbuje przesunąć granicę między wolnością a autokracją, połączymy fundamenty dla rozszerzonej unii wolności, bezpieczeństwa i demokracji? Kiedy, jeśli nie teraz, stworzymy suwerenną Europę... Kiedy, jeśli nie teraz, pokonamy różnice, które nas paraliżują i dzielą? I kto, jak nie my, może chronić i bronić wartości europejskich” – mówił kanclerz Niemiec. Te patetyczne, a jednocześnie groteskowe zawołania miały służyć wezwaniu do zniesienia zasady jednomyślności i napisania traktatów na nowo pod wielkimi UE. I dalej: „Same traktaty europejskie nie są wykute w kamieniu. Jeśli wspólnie dojdziemy do wniosku, że traktaty muszą zostać zmienione, by Europa mogła iść naprzód, powinniśmy to zrobić”.

Póki co Niemcy trenują łamanie ich i wymuszanie głosowania zamiast stosowania przyjętej w Radzie Europejskiej zasady konsensusu, oznaczającego jednomyślność. Decyzje z RE, w której zasiadają szefowie rządów, przenoszone są na poziom Rady UE, którą stanowią ministrowie poszczególnych państw. Tak stało się w przypadku tzw. paktu o przymusowym przesiedlaniu imigrantów. Pogwałcono m.in. art. 79 pkt 5 traktatu lizbońskiego, mówiący o prawie państw członkowskich do „ustalania wielkości napływu obywateli państw trzecich na ich terytorium w poszukiwaniu pracy najemnej lub na własny rachunek”. Szyderczo można obalić ten argument, wykazując, że w przymusowych przesiedlaniach nie chodzi o imigrantów, którzy szukają pracy, tylko socjału, więc art. 79 nie ma zastosowania.

Niemcom udało już się zbudować koalicję państw optujących za zniesieniem chroniącej słabszych zasady jednomyślności. W maju o nowe reguły gry w Unii zaapelowała tzw. grupa przyjaciół. Oprócz Niemiec należą do niej Francja, Hiszpania, Włochy (ku rozczarowaniu Polski), Holandia, Belgia, Finlandia, Słowenia, Luksemburg, Rumunia. Sześciu ministrów spraw zagranicznych pod przywództwem niemieckiej – Annaleny Baerbock – opublikowało artykuł

w Politico, w którym znów, przywołując wojnę na Ukrainie, wzywa do jedności w polityce zagranicznej i obronnej. Na czym miałyby polegać? Na tym, że Polska jak Niemcy zaofiarowałaby Ukrainie 3 tys. hełmów?

Utrzymanie weta będzie jednym z największych pól konfliktu pomiędzy Polską a Berlinem i Brukselą. Nie ma wątpliwości, że przy rządach Tuska Polska byłaby jednym z najbardziej gorliwych zwolenników zaprowadzenia hegemonii wielkich. Opozycyjnym politykom marzy się zasiadanie przy stole z władcami Unii, by ponad głowami mniejszych państw decydować o ich losach. Do głowy im nie przychodzi, że taki stół w ogóle nie powinien istnieć. Ta gorliwość i ochota, by się przy nim znaleźć, wynika bardziej z osobistych ambicji poszczególnych polityków, jak Sikorskiego, który, pełen lokajskich kompleksów, chciałby zasiąść u pańskiego stołu niż z dbałości o interesy Polski, którą stać na coraz większą samodzielność.

W tym sensie wybory jesienne dotyczą naszej suwerenności i tego, czy Niemcy zdołają zbudować swoje europejskie dominium. Cofnijmy się do 2011 r. i berlińskiego przemówienia Radosława Sikorskiego na forum Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej.

„Polska od samego początku wspierała pomysł nowego traktatu, który uczyniłby Unię bardziej skuteczną. Komisja Europejska powinna zostać wzmocniona. Jeżeli ma odgrywać rolę nadzorcy gospodarczego, to jej komisarze powinni być autentycznymi przywódcami... Im więcej władzy przekazemy instytucjom europejskim, tym większą legitymację demokratyczną powinny uzyskać. Drakońskie uprawnienia do nadzorowania budżetów krajowych powinny być wykonywane tylko w porozumieniu z Parlamentem Europejskim” – mówił Sikorski. I najsłynniejsze zdania z owego wystąpienia: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam się obawiać się niemieckiej potęgi niż niemieckiej beczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę

przywództwa. Nie możecie dominować, lecz macie przewodzić reformom”.

Nie miejmy złudzeń, polska suwerenność jest do przehandlowania. Przez 12 lat nic się nie zmieniło. Do dziś obowiązuje doktryna Tuska-Sikorskiego o wyższości interesów, instytucji i praw unijnych nad polskimi. Nie ma wątpliwości, że wspierają oni koncept budowy państwa europejskiego i niemiecko-francuskiej hegemonii. Zresztą lata ich urzędowania w Warszawie czy w Brukseli wskazują na to, że unizenie wypełnią wszystko, co Niemcy wymyślą, choć owo „niemieckie przywództwo”, któremu rządy PO tak się wysługiwały, zakończyło się katastrofą – kryzysami imigranckimi, energetycznymi i gospodarczymi oraz wojną na Ukrainie.

Niemcy uważają, że 15 października odbywają się w Polsce także ich wybory, udział w nich biorą ich reprezentanci, ich ekspozytura i dlatego należy spodziewać się coraz agresywniejszego ingerowania w nie

Wybory o imigrantów w niemczech

Owa rezygnacja z zasady jedności, łamanie traktatów ma praktyczny wymiar, choćby w kwestiach imigracji. Polskie wybory zdecydują o tym, czy Niemcom uda się narzucić przymusowe przesiedlanie nielegalnych imigrantów. Czy uda im się pozbyć tych niepotrzebnych, których Merkel zaprosiła, by było komu robić na niemieckich budowach, w fabrykach etc. Projekt „Herzlich willkommen” zakończył się katastrofą – imigrantom robić się nie chce, zasilki ciągną, ile wlezie, więc trzeba zbędnych usunąć i temu ma służyć przymusowe przesiedlanie. PO już raz w 2015 r. ochoczo się na to zgo-

dziła, a Tusk jako szef Rady Europejskiej groził własnemu krajowi karami za nieprzyjmowanie nielegalnych imigrantów. Wygrana jego ekipy gwarantuje Niemcom pokorną zgodę na przymusowe wysyłanie przybyszy i choćby w części pozbycie się problemów. Więc niemieckie media, podobnie jak Tusk, „unieważniają” polskie referendum, a zwłaszcza pytanie dotyczące przymusowych przesiedleń. Portal Deutsche Welle pisze, że wynik polskiego referendum nie będzie miał znaczenia, bo przymusowa relokacja, którą nazwą obowiązującą w Unii prawem. Chyba nikt w Polsce nie wyobraża sobie, że Tusk i jego ekipa w jakikolwiek sposób sprzeciwiłaby się przyjmowaniu nielegalnych imigrantów, których Niemcy by wysyłał.

Dla Berlina stawka polskich wyborów jest więc ogromna, wręcz żywotna. Nie pisaliśmy nawet o chęci blokowania polskich inwestycji na Odrze, w Świnoujściu, czy Turowa albo energetyki jądrowej. Kolejna sprawa to pomoc Ukrainie, którą gwarantuje rząd Zjednoczonej Prawicy. Dla Niemiec, które chciałyby szybkiej przegranej Kijowa i powrotu do biznesów z Rosją, trwająca wojna oznacza bowiem problemy gospodarki opartej na kolaboracji z reżimem Putina, całkowite załamanie się planu uzależnienia energetycznego Europy od rosyjskich paliw, których poprzez Nord Stream miały być dystrybutorem. Teraz już za późno, ale przecież Niemcy wciąż, niezależnie od klęsk Rosji, liczą na jakieś pokojowe rozmowy, a te bez wątplenia poparłby Tusk. Nic się nie zmieniło od czasów nikczemnej postawy Sikorskiego w Kijowie w 2014 r., kiedy straszył ukraińskie władze, że Ruscy ich zabiją. Tak więc Niemcy uważają, że 15 października odbywają się w Polsce także ich wybory, udział w nich biorą ich reprezentanci, ich ekspozytura i dlatego należy spodziewać się coraz agresywniejszego ingerowania w nie, a nawet z pomocą unijnych instytucji podważania wyników, jeśli by okazałyby się dla nich niekorzystne.

*Antypisizm to jest narkotyk.
Na początku pomagał zmniejszyć
ból po stracie władzy w 2015 r.,
ale potem bardzo szybko zaczął
uzależniać. Trzeba było dozować
go więcej i więcej. Nie wystarczyło
już powiedzieć, że PiS jest straszny,
trzeba było powiedzieć,
że jest haniebnym*

Symetryści. to za wiele

Z Rafałem Wosiem, dziennikarzem i publicystą Salomu24.pl, autorem książek o problematyce ekonomicznej, rozmawia Goran Andrijanić

Czy uważa się pan za symetrystę?

Rafał Woś: Kiedyś bardzo. W końcu to również od moich nieprawomyślnych testów i wystąpień zaczęła się w tzw. mediach liberalnych głównego nurtu cała dyskusja o symetryzmie. Wtedy jeszcze ludziłem się, że takie wystąpienia mają dla tamtych środowisk jakąś obiektywną wartość. Pokazują im coś, czego przez lata nie dostrzegali. Uczą ich mierzenia się z realną innością. Miałem wtedy nadzieję, że symetryzm sprawi, iż media liberalne dorosną do sztandarów, którymi uwielbiają wymachiwać. Do tolerancji, otwartości czy pluralizmu. Ale to się nie wydarzyło. Zamiast tego doszło do pierwszej antysymetrystycznej czystki w mediach liberalnych. To było równo pięć lat temu. Od tamtej pory symetryzm zaczął mieć już inne znaczenie. I ja się z tym nowym

znaczeniem symetryzmu już nie bardzo identyfikuję.

Mówi pan o czystkach w liberalnych mediach. Sam był pan ich ofiarą. Jak pan rozumiał pojęcie symetryzmu, a co ono znaczy dzisiaj?

Oficjalna historia tego pojęcia zaczyna się w 2016 r. od tekstu moich dawnych redakcyjnych kolegów Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki w „Polityce”. Jednak hasło „symetryzm” hulało już wcześniej w – niemniej dziś przecież ciekawym – obiegu internetowym. Początkowo chodziło o postawę, która charakteryzuje ludzi świadomych tego, że debata w Polsce jest mocno spolaryzowana, ale w każdym obozie politycznym są ludzie, z którymi można dyskutować. Pierwotna postawa symetryczna miała określać dystans wobec radykałów

w obu obozach. To był dystans wobec tych, którzy mówią, że z drugą stroną się nie rozmawia. Przekładając na to, co stało się później, symetrysta miał być w opozycji do przeróżnych „betonowych”, „totalnych” i „silnych razem”. Niestety, ci radykalowie dostrzegli wybuchowy potencjał tkwiący w tym wolnomyślicielstwie. I chwycili się pojęcia „symetryzm”. Poczęli używać go do zwalczania przeciwników politycznych we własnym obozie. To była faza antysymetrystycznej czystki, o której wspominałem. Dziś mamy do czynienia z jej epilogiem. Ja w tym już – dzięki Bogu – nie uczestniczę.

Kto tu z kim walczy?

Z pozoru chodzi o wielkie słowa i wartości. Ale w gruncie rzeczy jest to także – i zawsze była – walka o władzę i o to,

kto będzie rządził mediami liberalnymi oraz decydował o kierunku ich rozwoju. Jest w liberalnych mediach ta, jak ją nazywam, starszyzna plemienna, ludzie – głównie mężczyźni – starszego pokolenia, którzy czują się ojcami III RP. Oni od dłuższego czasu czują się na różnych płaszczyznach we własnych mediach trochę podgryzani przez młodsze pokolenie, patrzące inaczej na rzeczywistość. W ramach bronięcia swojej dominującej pozycji przepuścili atak, nazywając inaczej myślących od siebie symetrystami.

O jakie różnice ideowe między nimi tu chodzi?

Z początku chodziło np. o stosunek do III RP. Starszyzna plemienia jako ojcowie III RP uważali, że to jest najlepszy z możliwych systemów i że nie można go krytykować. Zamiast krytykować III RP, należy pisać o zagrożeniu, które idzie ze strony PiS. Tymczasem symetryści gotowi byli – o zgrozo – posunąć się nawet do takiej myślozbrodni, by napisać, że niektóre diagnozy otoczenia Jarosława Kaczyńskiego mogą być słuszne. Z taką dezynwolturą starszyzna plemienna mediów liberalnych skończyła na dobre przed wyborami 2019 r. Niektórzy symetryści zniknęli wtedy z lamów czy liberalnych audycji radiowych. Ci, co pozostali, musieli zacząć dużo bardziej uważać na to, co piszą i mówią. I jeśli nie zaczęli każdego akapitu od „a PiS to najgorsze co się zdarzyło Polsce w tym tysiącleciu”, zaczęli być podejrzani.

Jak w świetle tego komentuje pan to, co się wydarzyło przed Campus Polska (CP), kiedy organizatorzy wycofali zaproszenie dla symetrystów, mających wziąć udział w jednym z paneli? Czy to też jakiś rodzaj czystki w szeregach opozycji totalnej i Platformy Obywatelskiej?

Ja to czytam jako dokończenie czystki rozpoczętej wtedy. Jej wejście w kolejny – ale już inny – etap. Bo trzeba pamiętać, że ten proces, o którym mówię, ta walka starszyzny z buntownikami, tanto oczyszczenie szeregów od inaczej

myślących miało swoje skutki uboczne. Owszem, w mediach liberalnych zapanał spokój. Ale jednocześnie stały się one mniej ciekawe i innowacyjne, a bardziej przewidywalne. Zaczęła się taka faza, którą ja nazywam stopniowym wyniszczaniem liberalnych mediów przez narkotyk antypisizmu.

Bo antypisizm to jest narkotyk. Na początku pomagał zmniejszyć ból po stracie władzy w 2015 r., ale potem bardzo szybko zaczął uzależniać. Trzeba było dozować go więcej i więcej. Nie wystarczyło już powiedzieć, że PiS jest straszny, trzeba było powiedzieć, że jest haniebnym. Epitety musiały być coraz grubsze. Paniki moralne wywoływane coraz częściej. Jak nie lasy, to

Obóz antypisowski coraz mocniej odrywa się od nastrojów społecznych. Nie chce ich czuć. A wszystko dlatego, że nie zamierza przyjąć do wiadomości faktu, że w 2015 r. stracił swoją dominującą pozycję w społeczeństwie. Oni wciąż myślą, że to się stało przypadkowo i na chwilę

dziki. Jak nie Margot, to rtęć. Jak nie polexit, to pani Joanna. Jednocześnie publicystyka antypisowska w ostatnich kilku latach mocno się zradykalizowała, stała się betonowa, niedopuszczająca żadnej innej myśli. Nie było już zbyt wielu chętnych, by wstać i powiedzieć: „Ludzie, ogarnijcie się, tracicie kontakt z rzeczywistością”.

Jednocześnie zapotrzebowanie na wroga nie ustalo. A gdzie go najłatwiej wytropić, jeśli nie we własnych szeregach? W tej sytuacji nawet ci, którzy dopuszczają jakieś wątpliwości w tej wizji czarno-białego świata, stali się

symetrystami. I byli atakowani. Takim przykładem jest właśnie ta awantura z CP.

Dziś trudno już powiedzieć, co jest bardziej absurdalne. Czy to, że przejawem wolnomyślicielstwa CP miało być spotkanie czwórki publicystów z mediów jednoznacznie antypisowskich, tylko nie tak radykalnych, czy też jeszcze bardziej absurdalne jest, że ten – w istocie niezbyt znaczny – radykalizm dzisiejszych symetrystów to coś kompletnie nie do przyjęcia dla odbiorców Campusu.

Zrozumiałbym, gdyby kontrowersje wywołała sytuacja, w której np. Michał Rachoń ze Sławomirem Cenckiewiczem dostali na CP szanse podyskutowania z publicznością na temat nowego odcinka serialu „Reset”.

No, to już brzmi jako coś niemożliwego...

To by była sytuacja kontrowersyjna. Ale jesteśmy bardzo daleko od takiego wolnomyślicielstwa. My mamy sytuację, w której na CP ma wystąpić czworo publicystów pracujących w mediach jednoznacznie antypisowskich, ale nawet i to było za wiele.

Uzależnienie od antypisizmu trwa. Jak w każdym uzależnieniu, taki i tutaj: kiedy powiesz im, że są uzależnieni, nie podziękują ci. Przeciwnie, rzucą się na ciebie. I tak to się dzieje. W efekcie obóz antypisowski coraz mocniej odrywa się od nastrojów społecznych. Nie chce ich czuć. A wszystko dlatego, że nie zamierza przyjąć do wiadomości faktu, że w 2015 r. stracił swoją dominującą pozycję w społeczeństwie. Oni wciąż myślą, że to się stało przypadkowo i na chwilę. Każde kolejne wybory w tym obozie są organizowane pod hasłem: my dobrzy, PiS zły. I od ośmiu lat PiS wygrywa wszystkie wybory. Dziesięć już chyba razy z rzędu. Jeśli to nie jest znak, że antypisizm nie służy opozycji, to ja już naprawdę nie wiem, co by takim znakiem mogło być.

Tymczasem kolegom i koleżankom decydującym o kierunku mediów antypisowskich wydaje się, że większość Polaków jest po ich stronie. Nie, po ich stronie jest mniejszość Polaków.

Oczywiście ta mniejszość jest bardzo mocno prezentowana w sferach symbolicznych, obecna w elitach opiniotwórczych, ale to ją nie czyni większością.

Nie wydaje się panu, że ta separacja od rzeczywistości obozu opozycyjnego jest widoczna i w tej kampanii wyborczej?

Ta kampania jest kolejną idącą w tym kierunku. I teraz dochodzimy do ważnego pytania: jeśli opozycja po raz kolejny, chyba II, przegra wybory, czy nastąpią jakieś zmiany w tym obozie? Co się stanie z takimi politykami jak Donald Tusk, który jednoznacznie postawił na antypisizm w wersji full beton? Czy jest w opozycji miejsce na taką zmianę? Otoczenie Rafała Trzaskowskiego? Ta cała awantura przed Campusem pokazuje, że z tej maki chleba chyba nie będzie. Ten sam problem ma Lewica, która przelewa z pustego w próżne.

Czy panu się wydaje, że w tym momencie PiS wygrywa kampanię?

Nie wygrywa się kampanii, ale wybory. To jest jak w piłce nożnej. Ostatecznie liczy się wynik, a fajerwerki techniczne zostają w pamięci kilku kibiców. Nie chcę nawet mówić, kto wygrywa kampanię, bo jest to nieistotne.

Wybory, moim zdaniem, wygra PiS pod tym względem, że będzie największym klubem parlamentarnym. I dziś wygląda na to, że opozycja antypisowska nie będzie w stanie utworzyć większościowego rządu. To będą dwa najważniejsze polityczne fakty tej jesieni. To będą karty, którymi zagrają po wyborach politycy.

Niedawno opublikował pan w brytyjskim czasopiśmie „Spiked” tekst, w którym pisze pan, że konflikt między Polską i Niemcami jest „walką o duszę UE”. O co panu chodziło?

O to, że mamy do czynienia w Europie z ewidentnym kryzysem przywództwa niemieckiego. Jest on oczywisty od agresji Rosji na Ukrainę. Wtedy w grzech legła niemiecka koncepcja polityki energetycznej, ale i bezpieczeństwa, którą realizował Berlin, i która dominowała w Europie przez ostatnie 15 lat. To koncepcja otwarcia się na tanie dostawy rosyjskiego gazu, którego Niemcy były

potem miejscem przeładunku. Budowana przez nich infrastruktura miała temu służyć. Ta koncepcja dostarczała niemieckiej gospodarce taniej energii i jednocześnie umożliwiała forsowanie własnej koncepcji transformacji energetycznej na źródła odnawialne, której są oni też głównym eksporterem.

Jednocześnie ta koncepcja okazała się szkodliwa i bardzo niebezpieczna dla wielu innych krajów Unii. Doprowadziła do uzależnienia Europy od rosyjskiego gazu i niemal do tego, żeby Kreml zrealizował swoje cele na Wschodzie. Tak się nie stało, a przy okazji pękł ten filar niemieckiej polityki ostatnich lat i okazało się, że król jest nagi.

Krytyka niemieckiego przywództwa istniała i wcześniej, tylko była trochę schowana. Natomiast teraz różne głosy krytyki polityki Berlina stały się coraz głośniejsze, a dużo z nich płynie akurat z Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie liderem jest Polska.

Z Polską wiąże się jeszcze jedna historia, dość unikalna dla całej Europy i to warto zawsze powtarzać za granicą. Mianowicie od lat jesteśmy faktycznym prymusem konwergencji, czyli nadganiań przez europejski Wschód dystansu do bogatego Zachodu.

Co przeszkadza Niemcom?

Niemcy były przyzwyczajone do takich relacji z Polską, które nie były partnerskie. To był stosunek dominującego mistrza i ucznia. W pewnym momencie jednak uczeń dorósł i zaczął przedstawiać swoje koncepcje rozwiązywania problemów Europy. I mistrzowi przestało się to podobać.

W tym tekście pisze pan i o tym, że demonizacja PiS zaczęła się w niemieckich mediach głównego nurtu.

Niemieckie media są najpotężniejszymi na kontynencie, czy komuś się to podoba, czy nie. Nieprzypadkowo po kryzysie zadłużeniowym w europejskich mediach powstał obraz leniwych Greków albo żyjących ponad stan Włochów. Nie miało to poparcia w faktach, ale ta narracja dominowała w europejskiej prasie, a produkowały ją niemieckie media.

Z PiS od zawsze był problem, już za pierwszego jego rządu. Fakt, że w Warszawie pojawił się rząd, który ma swoją

koncepcję i umie powiedzieć „nie”, w Niemczech wywołał oburzenie. Kiedy w 2015 r. PiS wrócił, zaczęła się druga runda. Sytuacja się zaostriżyła po ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego (PE), kiedy Niemcy bardzo wzmocniły swoją obecność w instytucjach europejskich, realizując pewną imperialną politykę pod sztandarem europejskim.

Przez ostatnie dwa lata widać w Berlinie i Brukseli nieskrywane specjalnie oczekiwanie, że „Polska się opamięta”, zmieni rząd i wróci do tego, co było. Za tym oczekiwaniami stała cała intryga z pieniędzmi z KPO. One miały być rozdzajem kija i marchewki. Unijny fundusz pocovidowej odbudowy miał być turbodoładowaniem dla całej Europy. Ale Niemcy postanowili upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i z tych pieniędzy stworzyć element nacisku na kraje takie, jak Polska.

Plan był taki: albo rząd PiS się ugnie, żeby wziąć pieniądze, albo zostanie przy swoim i będzie musiał słuchać narzekań opozycji, że Zachód znowu nam odjeżdża. Dla Niemiec to była sytuacja w stylu win-win. Ale ten plan się kompletnie wywrócił, przede wszystkim z powodu wojny na Ukrainie i kryzysu energetycznego, który powoduje, że Zachód dziś się nie rozwija. A niemiecka gospodarka jest nawet w recesji. Natomiast Polska – nawet bez turbodoładowania unijną pożyczką – wygląda lepiej. Może nie super, ale lepiej niż Zachód.

I co teraz?

Jeśli po tych wyborach nastąpi zmiana rządu, co oczywiście będzie odpowiadało Niemcom, usłyszymy o wielkim triumfie Europy oraz demokracji. Natomiast, jeśli PiS się utrzyma, to – moim zdaniem – jakiś przełom w relacjach niemiecko-polskich musi się zdarzyć. Europa będzie musiała jakoś ustąpić PiS. Do tego niedługo mamy wybory do PE i wcale nie jest powiedziane, że ta wielka koalicja socjaldemokratów i EPL będzie znowu miała większość. Tu się może stać dużo ciekawych rzeczy. Upór PiS może się opłacić i otworzy się przestrzeń do dyskusji o reformie Unii. A tego Europie potrzeba jak wody wyschniętemu na wiór ogródkowi.

Starzy kontra młodzi

Granice młodości przesuwają się w dół. To znaczy, że – wbrew pędowi do wiecznej młodości – staje się ona coraz krótsza. Nastolatek jest niemal dorosły – kultura popularna go kokietuje, erotyzuje i bałamuci, dla odmiany pięćdziesięciolatek – o ile nie jest wystarczająco bogaty – bywa już uważany za bezwartościowego seniora



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kilka lat temu w Wielkiej Brytanii pojawił się pomysł, aby obniżyć czynne prawo wyborcze do... szóstego roku życia. Jego autorem był ówczesny szef Wydziału Polityki i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu w Cambridge David Runciman. Jego zdaniem sześciolatki mogą już podejmować samodzielne decyzje na temat przyszłości państwa. „Mówię całkiem serio. Chciał-

bym, aby każda osoba, która potrafi czytać, miała prawo głosu” – wyjaśnia. Jak twierdzi, obecne kryterium wieku dyskryminuje młodzież i dzieci. Ta nierównowaga wiekowa doprowadziła – jego zdaniem – do kryzysu demokracji. W tej chwili polityka znajduje się bowiem w rękach tych, których z racji wieku interesuje już tylko teraźniejszość. Tymczasem od podejmowanych przez nich decyzji zależą losy kolejnego pokolenia.

„Mamy do czynienia ze zbyt dużą strukturalną nierównowagą, której drugi koniec wyznaczają osiemdziesięciolatekowie, a nawet ludzie stuletni” – mówił prof. Runciman. „Ludziom starym nikt nie odbiera głosu, choć wielu z nich może być pogrążonych w demencji i podejmować absurdalne decyzje przy urnach. Z tego punktu

widzenia głos sześciolatka wcale nie musi być bardziej ryzykowny” – podsumował politolog.

Krótko mówiąc, Runciman zaproponował formalne zrównanie w prawach sześciolatniego dziecka z osiemdziesięciolatkiem. Można spojrzeć na to z dwóch stron. Albo uznać, że naukowiec – co samo w sobie jest głupie – domaga się uznania małych dzieci za osoby dorosłe, albo – przeciwnie – że, jego zdaniem, starsi ludzie są równie nieodpowiedzialni co dzieci i z tego powodu zasługują na podobne traktowanie. Bardziej prawdopodobna jest ta druga hipoteza, bo przecież Runciman pisze wprost o pogrążonych w demencji starszuchach i o tym, że ich decyzje są ryzykowne.

Naturalną konsekwencją tego typu myślenia powinno być zatem uznanie, że

ludzie starsi są niezdolni do samodzielnego decydowania o swoich, a tym bardziej o cudzych, losach, przy czym granica wieku tej niezdolności – czy to będzie 80 lat, czy może 70 lub mniej – jest już kwestią do dyskusji.

ZABIERZ BABCI DOWÓD

Głos Runcimana pojawił się w konkretnym kontekście – po referendum w sprawie brexitu. W Wielkiej Brytanii było słychać wtedy opinie, że gdyby przyszłość kraju zależała wyłącznie od ludzi młodych, to Zjednoczone Królestwo nigdy nie opuściłoby Unii Europejskiej. To starzy sklerotycy mieli być współsprawcami brexitu.

Wielka Brytania nie jest tu jednak żadnym wyjątkiem. Przecież w Polsce od dawna słychać podobne głosy. Wystarczy przypomnieć, że już w 2007 r. liberalne media przestrzegały przed starszymi ludźmi, którzy mogą zepsuć wybory, głosując na PiS. To właśnie wtedy pojawiło się zuchwale hasło „zabierz babci dowód”.

Od tamtej pory nieustannie powtarzają się opinie – potwierdzone zresztą rozmaitymi badaniami – że starsi wyborcy są głównym zapleczem PiS i że łatwo ich przekupić, bo kierują się wyłącznie własnym, zwykle materialnym, interesem. Zgodnie z tym punktem widzenia ludzie starsi, mając przed sobą krótką perspektywę życia, utrudniają start młodym, którzy dopiero w to życie wchodzi i nie chcą, aby ktokolwiek meblował im przyszłość. Co więcej, starsi, podejmując decyzje przy urnach, nie rozumieją rzekomo współczesności i tym samym są poważną przeszkodą dla liberalnej demokracji.

Oczywiście nikt jeszcze u nas nie proponuje, aby pozbawiać ludzi starszych praw wyborczych, ale pomysły zneutralizowania ich głosów wielokrotnie już w Polsce padały. Jednym ze zwolenników takiego rozwiązania jest chociażby Robert Biedroń, który od dawna nawołuje, aby dopuścić do urn szesnastolatków. Jasne jest przy tym, że chodzi tu o polityczną kalkulację. Nastolatek będzie przecież bardziej skory do głosowania na liberalną lewicę. Albo – dla odmiany – na libertariańskie formacje w rodzaju Konfederacji.

Taki scenariusz byłby jednak bardzo ryzykowny. I realnie niebezpieczny dla demokracji. Nie dlatego, że młodzież stoi po stronie zamordyzmu, ale dlatego, że brakuje jej doświadczenia i wiedzy pozwalającej zrozumieć właściwą treść podsuwanych im haseł. Ludzi młodych łatwo skusić wolnościowymi sloganami, które z wolnością mają niewiele wspólnego. Gdy ktoś im powie, że małżeństwo to forma niewoli, szybko to podchwycą, bo przecież są jeszcze w takim wieku, że nie chcą się wiązać na stałe. Jeśli jednak w dorosłym życiu staną się samotni, to ta rzekoma wolność po pewnym czasie okaże się dla nich niewolą, gdy już zrozumieją, że są całkowicie uzależnieni od obcych ludzi i obojętnego otoczenia. Gdy ktoś inny powie im, że płacenie podatków to złodziej-

Zmiany kulturowe, które odrzucają starość, nigdy jej przecież nie wyeliminują. Sprawiają jednak, że nasze życie będzie przypominać świat zwierząt. Negując starość, negujemy człowieczeństwo

stwo, też mu przyklasną. Do czasu, gdy poważnie zachorują i nie będzie ich stać na leczenie. Albo do chwili, gdy staną się ofiarą przestępstwa, bo przecież obywatel powinien bronić się sam.

Okazuje się, że aby zrozumieć te oczywistości, trzeba pewnego rozsądku, który przychodzi dopiero z wiekiem. U jednych, mądrzejszych, szybciej, u innych – bardziej opornych – dłużej. Polityczni manipulato-ry wykorzystują niedojrzałość młodych, bo ludzie starszych nie da się aż tak łatwo zbałamucić. Nic więc dziwnego, że domagają się dopuszczenia młodzieży do wyborów, bo to jedyna droga, aby zrealizować własne ideologiczne fantazje. Te fantazje najczęściej z demokracją nie mają zbyt wiele wspólnego, bo w normalnych wyborach nie uzyskalyby większości. Dojrzały wiek wydaje się więc najlepszym – choć

oczywiście niejedynym i nie zawsze gwarantującym powodzenie – stabilizatorem państwa i demokracji.

MŁODOŚĆ ZA PIENIĄDZE

Problem, o którym mowa, będzie w najbliższym czasie narastał z powodów demograficznych. Gwałtowne starzenie się społeczeństw w państwach rozwiniętych sprawia, że ludzie młodzi stają się mniejszością. Zgodnie z prognozą z 2014 r. liczba ludności Polski spadnie w 2050 r. – według GUS – do niespełna 34 mln osób, a więc do poziomu z końca 1974 r. Co gorsza, jedną trzecią spośród tych 34 mln mają stanowić osoby powyżej 65 roku życia.

Można powiedzieć, że choć źle to wróży gospodarce, jest to przynajmniej dobra wiadomość dla życia publicznego, bo taka przewaga ludzi starszych ograniczy niedojrzałość w polityce. Rzecz w tym, że wcale tak nie musi być. Żyjemy bowiem w czasach kultu młodości, który objawia się m.in. infantylizacją postaw ludzi dojrzałych, którzy nie mogą pogodzić się z własną metryką.

Nikt nie chce być stary i niedołężny – to zrozumiałe, ale nie chodzi tutaj o naturalną obawę przed nieuniknionym, lecz o paniczną ucieczkę przed samym sobą. O udawanie młodego, nie tylko zewnętrzne, w postaci ubioru czy dobrego zdrowia, ale również mentalne – w formie zdziennienia i braku odpowiedzialności.

Dorośli ludzie coraz częściej zachowują się jak nastoletni smarkacze w przekonaniu, że dzięki temu wydłużą sobie życie. Są przy tym potwornie irytujący i nienaturalni, bo o ile nastolatki można z racji jego wieku wybaczyć niemal każdą głupotę, o tyle 40- lub 50-latkowi pewne rzeczy po prostu nie uchodzą.

Co więcej, mamy tu do czynienia z ogromną presją społeczną. Ktoś, kto zachowuje się zgodnie z własnym wiekiem, jest stygmatyzowany jako stary pierdziel i przegryw. Bo przecież – jak wiadomo – prawdziwe życie zaczyna się po czterdziestce lub pięćdziesiątce. Nowe związki, namiętne miłości, imprezowanie, gadzety, wyjazdy na egzotyczne wakacje – taki model lansowany jest przez media i kulturę popularną. Oczywiście dotyczy to wyłącznie ludzi, których na to stać. Ale przecież

młodość i bogactwo zwykle idą w parze. Dlatego są takie kuszące.

Za pieniądze możesz cofnąć czas. Kupić sobie nową żonę lub męża (a częściej partnerkę lub partnera), zrobić operację plastyczną. Być bardzo na luzie, używać młodzieżowego slangu i nosić zwisające do kolan portki, takie jak Kuba Wojewódzki, który skończył właśnie 60 lat.

Każdy przytomny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że tę pogonią za młodością napędza wielki kapitał, zbijający fortunę na bogatych próżniakach zaspokajających swoje ukryte zachcianki i heroicznie walczących z własną metryką. Być młodym nie oznacza dziś wieku, ale stan ducha. Skoro więc z przyczyn demograficznych zaczyna brakować prawdziwej młodzieży, to w jej miejsce wchodzi stary, upudrowany substytut.

Konsekwencją tej szaleńczej ucieczki przed własnym życiem jest kompletne zanegowanie starości. Ze wszystkimi tego fatalnymi skutkami.

ŚWIAT DLA NARCYZA

Ludzie starsi zostali w ostatnich dekadach zepchnięci do podziemia, bo ich istnienie przypomina o tym, że nasze życie się kiedyś skończy. Zdarza się, że trafiają do domów opieki społecznej nawet wtedy, gdy nie jest to absolutnie konieczne. Coraz częściej bywa tak, że w ten sposób ich najbliżsi pozbywają się za jednym zamachem nie tylko uciążliwego kłopotu, jakim jest opieka nad starszą osobą, ale również nieprzyjemnego widoku starości. Strach przed śmiercią jest tak silny, że coraz więcej społeczeństw gotowych jest uciąć tę psychiczną męczarnię jednym ruchem – za pomocą eutanazji.

Starość zawsze była najpoważniejszym wyzwaniem w życiu człowieka. Jednak kiedyś rekompensatą za trudy starości był szacunek i nimb doświadczenia, jakim społeczeństwa otaczały swoich najstarszych członków. Być starym oznaczało zarazem mieć najwięcej do powiedzenia.

Dziś człowiek starszy został całkowicie pozbawiony swoich zasług. Został zakrzyczany przez młodszych (lub udających młodych) i ma siedzieć cicho. Jest zawalidrogą – i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wystarczy mieć odrobinę wrażliwości, aby to zauważyć. Ludzie

starsi, często niesprawni, są kompletnie wykluczeni z życia. Na wąskim chodniku przeszkadzają biegnącym przed siebie tłumom. Nie są w stanie przejść przez ulicę, bo zielone światło zostało ustawione tak, aby nie tłumilo ruchu samochodowego. Bez samochodu nie dojadą do lekarza czy do centrum handlowego, gdzie można taniej zrobić zakupy. Człowiek starszy jest dziś kompletnie uzależniony od pomocy innych i w świecie urządzonym pod potrzeby młodych, sprawnych fizycznie byczków, musi ciągle przepraszać, że żyje.

Starsi ludzie mają niewłaściwe poglądy i bywają zbyt konserwatywni. Tymczasem liberalizm kocha pełnego sił narcyza, najlepiej bogatego i zaradnego. Dlatego świat jest wyłącznie dla niego

Pod koniec lat 60. ukuto w Ameryce pojęcie „ejdżyzm” (ageism), czyli dyskryminację ze względu na starszy wiek. I choć lewica ciągle walczy z rozmaitymi wykluczeniami, to akurat ejdżyzm jest dla niej kłopotliwy z powodów politycznych. Starsi ludzie mają niewłaściwe poglądy, bywają przecież zbyt konserwatywni. Poza tym dzisiejsza lewica jest liberalna, a liberalizm kocha tylko pełnego sił narcyza, najlepiej bogatego i zaradnego. Dlatego dzisiejszy świat jest wyłącznie dla niego.

KULTURA NEGACJI

Granice młodości są w liberalnym świecie wyznaczane dość arbitralnie. Można jednak zauważyć, że przesuwają się coraz bardziej w dół. To znaczy, że – wbrew pędowi do wiecznej młodości – staje się ona coraz krótsza. Nastolatek jest już niemal dorosły – kultura popularna go kocietuje, erotyzuje i bałamuci, dla odmiany pięćdziesięciolatek – o ile nie jest wystarczająco bogaty – bywa już uważany, bez względu na swoją realną kondycję i kompetencje – za bezwartościowego seniora.

Widać to na rynku pracy. Po koniec 2021 r. eksperci z Polskiego Instytutu Ekonomicznego przeprowadzili eksperyment polegający na wysyłaniu aplikacji do pracodawców w całej Polsce. Każdy pracodawca otrzymywał dwa rodzaje CV – jeden od fikcyjnego 28-lata i drugi od 52-lata. Obaj fikcyjni kandydaci mieli takie same kompetencje zawodowe i językowe. Pary podzielono także według płci – pierwsza połowa wysłanych aplikacji dotyczyła kobiet, a druga – mężczyzn. Wyniki eksperymentu pokazały, że ejdżyzm na rynku pracy jest faktem. W skali kraju pracodawcy dwukrotnie częściej odpowiadali na oferty młodszych kandydatów, a w przypadku Warszawy – aż czterokrotnie. Osoby po pięćdziesiątce stoją więc dziś na przegranej pozycji.

Problem ten dotyczyć może także osób pracujących, które niekiedy muszą ustąpić miejsca młodszym. Pracodawcy zarzucają starszym pracownikom, że są zbyt powolni, słabo się przystosowują do zmian i są mniej dyspozycyjni. Inaczej mówiąc, że nie pasują do świata młodych. Nikt przy tym nie zwraca uwagi na doświadczenie starszych. Jakże ono zresztą ma znaczenie, jeśli firma chce uchodzić za młodą?

Nie tak dawno z Polsatu wyrzucono znaną prezenterkę Katarzynę Dowbor. I choć dyrektor programowy stacji Edward Miszczak zaprzeczył, że powodem rozstania z Dowbor był jej wiek (skończyła 64 lata), to wybrał na jej następczynię młodszą osobę. „Nowe szefostwo, nowe porządki i to odmładzanie wszystkiego i wszystkich” – skomentowała decyzję pracodawcy Katarzyna Dowbor. Powód jej odsunięcia wydaje się jednak oczywisty: uważa się, że ludzie nie chcą widzieć na ekranie osób starszych. Bo to źle wpływa na wizerunek firmy. Firma – wszystko jedno jaka – ma być zawsze młoda i dynamiczna. My też tacy mamy być, a gdy już nie będziemy dawać rady, zostaniemy po prostu wykluczeni.

Szalona presja na młodość, nawet tę udawaną, skończy się kiedyś okrutnie. Zmiany kulturowe, które odrzucają starość, nigdy jej przecież nie wyeliminują. Sprawiają jednak, że życie kolejnych pokoleń zaczyna przypominać świat zwierząt, w którym słabe i stare osobniki są usuwane ze stada, aby dogorywały w samotności. Negując starość, negujemy człowieczeństwo. 

Widmo Palikota krąży nad polityką

„Pisowskie grubasy”, „spoczone geby”, „tłuste łby” – to tylko namiastka języka, jakiego politycy opozycji i ich medialni akolici używają do określenia polityków partii rządzącej i ich wyborców. Gdyby zastanowić się, gdzie szukać źródeł tak brutalnych personalnych ataków w życiu publicznym i kto był pierwszy, to trzeba wskazać na Palikota



DOROTA ŁOSIEWICZ

Europoseł Polskiego Stronnictwa Ludowego Krzysztof Hetman postanowił zaatakować polityków Prawa i Sprawiedliwości, wyśmiewając ich wygląd fizyczny. Zamieścił w tym celu na platformie X (dawniej Twitter) filmik, w którym zwraca uwagę na „wielkie brzuchy” prezesa Jarosława Kaczyńskiego, Przemysława Czarnka i Ryszarda Terleckiego. „Dobitnie po nich widać, że napaśli się władzą i pieniędzmi z naszych podatków” – mówi Hetman na opublikowanym nagraniu. „Jak widać zachłanność i pazerność PiS przybrała rozmiary astronomiczne. W trakcie jesiennych wyborów współ-

nie odsunęmy PiS od władzy i wyślijmy ministra Czarnka na szybką terapię odchudzającą. Przyda się to nie tylko jemu, ale przede wszystkim Polsce” – przekonuje eurodeputowany.

KATALOG OBELG

Nie on pierwszy i pewnie nie ostatni sięga po retorykę uderzającą i ośmieszającą wygląd polityków. „Im się już paski nie domykają. Oni się wszyscy tak rozpaśli, i to w sensie fizycznym, i finansowym. Przecież tak nie można. Niech pan zobaczy, jak Brudziński wygląda. Ja pamiętam go sprzed siedmiu lat. Normalny, szczupły, fajny facet, nawet się potrafił ubrać. A dzisiaj?” – mówił kilka miesięcy temu na antenie Radia Zet o politykach partii rządzącej Sławomir Nitras, poseł Platformy Obywatelskiej.

W słowach nie przebiegał także były polityk Stefan Niesiołowski, który w programie „Politycy od kuchni”, realizowanym przez „Super Express”, utyskiwał

nad wyglądem polityków Prawa i Sprawiedliwości: „Oni są jacyś nieświeży, jacyś spoceni, trudno to nawet określić” – stwierdził Niesiołowski. „Jest paru takich, o których się nawet publicznie mówi, że z lupieżem mają problemy, czy z zawiazaniem sznurówek. Oni mają jakiś taki element – są w estetycznych kategoriach obrzydliwi. Myślałem, że to zarezerwowane było dla komunistów, oni byli jacyś spasieni, mieli takie mordy kacapskie, a coś takiego jest w PiS. Ja rozpoznaję po twarzach – w 90 proc. się nie mylę – jak widzę kogoś, kto popiera PiS” – brnął Niesiołowski w swoim opisie.

Ale i na tym nie koniec ataków *ad personam*. „Walnij się w zatłuszczony łeb” – odpisał jakiś czas temu na platformie X eurodeputowanej Suwerennej Polski Beacie Kempie Radosław Sikorski na jej uwagę, że gdyby wciąż rządziła PO, nie byłoby na czym dzisiaj wieszać flagi. „Nienawisć do polskich symboli to ciężka choroba” – zauważyła Kempa. Następnie Sikorski przekonywał

w rozmowie z portalem Interia, że „potraktował ulgowo” europosłankę. Ten sam polityk tak mówił o redaktorze naczelnym „Gazety Polskiej” Tomaszu Sakiewicz: „Płatny pacholku PiS utoczyłeś się, wieprzu, na pisowskiej kasie”.

NIE TYLKO POLITYCY

W podobnym duchu tym razem o wyborcach PiS przy okazji kampanii 2019 r. wyrażała się pisarka Maria Nurowska. „Miałam możliwość zobaczyć te twarze, a właściwie mordy. Oni mają ordynarne ryje i to jest wszystko elektorat PiS. A ich baby! Nie lepsze” – tak wówczas pisała artystka, która wtedy bezkarnie kandydowała do Senatu z poparciem PO. Tamta wypowiedź pisarki doczekała się potężnej kontrakcji w mediach społecznościowych. Polki, utożsamiające się z konserwatywną stroną sceny politycznej, wrzucały do sieci swoje zdjęcia „z pozdrowieniami dla pani Marii Nurowskiej”.

Z kolei po wyborach w 2019 r., gdy wygrało PiS, aktorka Krystyna Janda przyrównała elektorat tej partii do prostytutki. Aktorka udostępniła na swoim profilu na Facebooku grafikę, na której umieszczono napis: „Na PiS głosowało 8 mln ludzi, po tym jak PiS rozdał 100 mld zł socjału w postaci różnych plusów, czyli jeden głos kosztował 12 500 zł” – czytamy. Autor grafiki podzielił tę kwotę przez liczbę dni, w których rządził PiS, dodając, że „za jedną dobę PiS zapłacił 8 zł 75 gr. swojemu wyborcy” [w oryginale]. Jak dopisano, „firma Sedlak&Sedlak podaje, że za noc z prostytutką w Warszawie trzeba zapłacić średnio 2256 zł”.

Natomiast w 2017 r., gdy PiS w jednym z sondaży uzyskało poparcie na poziomie 40 proc., aktor Jacek Poniedziałek tak pisał o wyborcach tej partii: „Pręży swoje oślizgłe, ociekające krwią cielsko i węszyć: kogo by teraz pożreć. Biedny, otumaniony 500+, tanio kupiony pseudoduma rodem z paska Wiadomości. 40 proc. narodzie, rozplyń się i przepadnij. Jesteś zakalą świata”.

Trudno czasem się oprzeć wrażeniu, że w opozycji i wśród jej wiernych wyznawców trwa jakiś konkurs na to, kto w obrzydliwszy i jak najmniej meryto-

ryczny sposób uderzy w partię rządzącą i jej elektorat.

BODY SHAMING

Świeża akcja europosła Hetmana nie spodobała się wielu internautom. „Jak się nie ma żadnych merytorycznych argumentów, to się czepia wyglądu czy wieku. Jakie to słabe”, „Komentowanie czyjejs tuszy, gdy nawet nie wiadomo, czy nie jest związana np. z problemami zdrowotnymi, jest słabe. Zwłaszcza, że to, jak rządzący – jak Pan mówi – »napaśli się władzą i pieniędzmi« można pokazać konkretnymi kwotami, przyrostem majątków, otrzymanymi dota-

Gdyby Krzysztof Hetman był posłem, to dostałby burę. I słusznie. W polityce zajmujemy się walką na programy, a nie recenzowaniem czyjegoś wyglądu. Jestem wielkim wrogiem fat shamingu – mówi Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy

cjami itd.” „Wow, cóż za merytoryczny argument...” – komentowali użytkownicy platformy X.

Wypowiedzią europosła PSL nie są także zachwyceni niektórzy politycy. – Nie wiem, co na to marsz. Zgorzelski... Gdyby Hetman był posłem, to dostałby burę. I słusznie. W polityce zajmujemy się walką na programy, a nie recenzowaniem czyjegoś wyglądu. Jestem wielkim wrogiem fat shamingu, a pan poseł Hetman otarł się o to zjawisko. Myślałem, że w Brukseli europosłowie mają większą świadomość tego, co wypada mówić, aby nie sprawiać przykrości współobywatelom – mówi mi Marcin Kulasek, sekretarz generalny Nowej Lewicy, który od lat walczył z otyłością, aż ostatecznie zdecydował się poddać operacji resekcji

żołądka. – Otyłość to choroba. Cierpią na nią osoby pracujące w różnych zawodach, zarówno starsze, jak i młodsze; jeśli chodzi o dzieci, to mamy do czynienia z epidemią otyłości. Coczwarto Polak jest otyły, co drugi dorosły w Polsce ma kilka kilogramów za dużo, a w ciągu ostatnich lat odsetek dorosłych cierpiących na otyłość w Polsce systematycznie rośnie. Według WHO to właśnie polskie dzieciaki tyją najszybciej w Europie – dodaje polityk, który w mijającej kadencji sejmiku stał na czele parlamentarnego zespołu ds. promocji zdrowia w każdym rozmiarze.

Fat shaming czy body shaming, o którym mówi poseł, to inaczej stygmatyzowanie, poniżanie drugiej osoby ze względu na jej wygląd. Zdaniem psychologów niewybredne komentarze na temat wyglądu potrafią wyrządzić ogromną krzywdę. Zawstydzani przez otoczenie ludzie z powodu mankamentów urody popadają często w kompleksy, które niszczą poczucie wartości. Musiał o tym najwyraźniej zapomnieć Jacek Żakowski, który w jednej z ostatnich audycji radiowych w rozmowie z Robertem Biedroniem tak podsumował Martę Lempart, liderkę Strajku Kobiet: „Ile mądrości w tym, co ta Marta mówi. Wydawało się pewnie wielu osobom, że to dziewczyna z bębniem, nadludzkich rozmiarów bębniem, a się okazało, że to bardzo sprawna analityczka” – komentował Żakowski, a wtórował mu śmiech Biedronia, który jednak nie upomniał dziennikarza, że się w ocenach zagalopował.

LEPSI I GORSI OTYLI

W mediach społecznościowych i tradycyjnych można jednak zaobserwować pewną prawidłowość. Otóż są otyli „nasi” i „wasi”. Jedni są ok i nie wolno o nich złego słowa powiedzieć, a wygląd drugich można komentować bezkarnie. Z hejtem odnośnie wyglądu często spotyka się związany z konserwatywnymi mediami publicysta Piotr Semka, który z powodu nadwagi bywa także atakowany publicznie. Np. w lutym tego roku podczas konferencji wiceministra klimatu i środowiska Jacka Ozdoby w sejmie padło zaskakujące pytanie ze strony dziennikarza tygodnika „Angora”: „Jeżeli miałbym



mówić o żurnaliście z państwa ugrupowaniem związanym – Piotrze Semce, to co? Mam o nim mówić, że on jest szczupły inaczej albo że jego sylwetka oddaje wzrost PKB w Polsce w ostatnich latach? – zapytał nieoczekiwanie. – No chyba przecież czasami wypada nazwać rzecz po imieniu, tak?” – nie ustawał. Ozdoba był wyraźnie zaskoczony postawionym pytaniem. „Pan poważnie zadał to pytanie? – Tak!” – brnął dziennikarz. Wiceminister nie mógł ukryć oburzenia: „Wie pan, z całym szacunkiem, ale to jest niesłychane... Jeżeli pan uważa, że jako dziennikarz można podejść do drugiego dziennikarza i powiedzieć: »Pan jest gruby i z panem nie będę rozmawiał«, to jest już pana poziom, ale nie mój – powiedział wiceszef resortu klimatu i środowiska. – No naprawdę, jestem zdumiony. Z jakiej jest pan redakcji? [...] Powiem panu tak: w życiu publicznym, jak i w życiu prywatnym uwagi *ad personam* co do wyglądu i co do kwestii zdrowotnej nie mieszczą się w jakichkolwiek ramach cywilizacji czy jakiegokolwiek poziomu i naprawdę skończmy z takimi elementami” – zapelowała Ozdoba. I dodał: „I pan, nawet jak lubi pana redaktora czy nie lubi, nie zajmuje się jego wyglądem, tylko niech pan się zajmie jego pracą, merytorycznie się odniesie do jego artykułów. Na tym gruncie się spierajcie. Spierać się można pięknie, różnić się można pięknie, ale uwagi *ad personam*, szczególnie w kontekście czyjegoś wyglądu, są co najmniej nie na miejscu”.

Czy komuś z mediów liberalnych przyszedłby do głowy tego typu atak np. na Dorotę Wellman? Media te raczej z troską pochylają się nad jej wyglądem w kontekście choroby, o której dzien-

nikarka mówi otwarcie, a popularne portale chętnie ją cytują: „Dorota Wellman boleśnie o swej chorobie. »Choćbym stanęła na głowie, nie będę szczupła«”.

DEHUMANIZACJA

Gdyby zastanowić się, gdzie szukać źródeł tak brutalnych personalnych ataków w życiu publicznym i kto był pierwszy, to trzeba wskazać na polityczną działalność Janusza Palikota, który już w 2010 r. przyznał, że jego celem było „zdehumanizowanie Lecha Kaczyńskiego” i „całkowite odarcie go z godności”. Jego udział w przemyśle pogardy kierowanym w stronę Lecha Kaczyńskiego opisywała w książce „Moi Rodzice” Marta Kaczyńska. „Kampania nienawiści, złośliwości i oszczerstw, która ruszyła krótko po zaprzysiężeniu, była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ojciec zaczął być systematycznie niszczone. W styczniu przed katastrofą Janusz Palikot przyznał: »Trwale uszkodziliśmy liderów PiS-u i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni«. Chodziło o całkowite odarcie mojego ojca z godności, żeby w ten sposób osłabić jego szanse

na reelekcję czy też może szerzej: szanse na istnienie w polskiej polityce. Platforma Obywatelska wyznaczyła Januszowi Palikotowi specjalną rolę polegającą na niszczeniu Lecha Kaczyńskiego. Do Palikota dołączył jeszcze Stefan Niesiołowski” – wspominała Marta Kaczyńska. Czy w akcji Krzysztofa Hetmana chodzi o coś innego?

Na koniec przywołajmy jeszcze raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Wynika z niego, że postawy zwolenników partii opozycyjnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec zwolenników opozycji – wyborcy partii opozycyjnych żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż wyborcy partii rządzącej. Wspomniany raport wskazuje, że niechęć do oponentów przybiera formę dehumanizowania ich, czyli „odmawiania przedstawicielom grup obcych cech ludzkich”. „Jak pokazują badania psychologów społecznych, odczłowieczanie innych pociąga za sobą szereg konsekwencji, takich jak dążenie do izolacji dehumanizowanych grup czy agresja wobec nich. Jednym z rodzajów dehumanizacji jest dehumanizacja animalistyczna, polegająca na porównywaniu członków grup obcych do zwierząt” – napisano w raporcie.

Stąd obok pisowskich grubasów w publicznym dyskursie były watahy, szarańcza czy wieprze. Palikota od lat nie ma już w życiu publicznym, a jego widmo, niestety, wciąż nad nim krąży. ▀

Zagadka śmierci Prigożyna

Zainscenizowana śmierć, akt zemsty Putina, wymierzenie sprawiedliwości przez Ukrainę? Mnożą się spekulacje na temat katastrofy samolotu pod Twerem, w której miał zginąć właściciel Grupy Wagnera. Która z tych wersji jest najbliższa prawdzie?



MAREK BUDZISZ

Wśród 23 sierpnia, równo dwa miesiące po słynnym „buncie Prigożyna”, jego prywatny samolot lecący z Moskwy do Petersburga rozbił się pod Twerem. Jeszcze o godz. 18.10, jak wynika z danych opublikowanych przez serwis Flightradar24, wszystko było w porządku, samolot wznosił się, ale dziewięć minut później zaczął nagle tracić wysokość. Od razu pojawiły się dwie wersje wydarzenia. Jedni wypowiadający się dla mediów eksperci, tacy jak Jurij Fiodorow, mówili, iż na pokładzie

„musiało się coś wydarzyć”, sugerowali wybuch, w wyniku którego załoga straciła kontrolę nad szybko tracącym wysokość samolotem. Wersję o podłożeniu ładunku uprawdopodobniają słowa Kristiny Raspopowej, stewardesy, która napisała na swojej stronie w serwisach społecznościowych kilka godzin przed katastrofą, że ich lot opóźnia się nieco, bo samolot przed startem „zabrano po to, aby przeprowadzić jakąś krótką i niezrozumiałą naprawę”.

Od razu w kanałach sympatyzujących z Prigożynem na platformie Telegram pojawiła się odmienna wersja tego, co się stało. Grey Zone podał, że Embraer Legacy 600, na którego pokładzie miał znajdować się właściciel Grupy Wagnera, został strącony dwoma raketami systemu S-300 ochrony przeciwlotniczej Moskwy. Za tą wersją przemawia też opublikowane

nagranie świadka katastrofy – kobiety, która mówi o tym, że słyszała dwa wybuchy, i po analizie którego eksperci dostrzegli pozostawioną w powietrzu przez pociski raketowe charakterystyczną smugę. Inni tego nie widzieli, zagadką jest też, dlaczego miano oddać salwę.

ZAINSCENIZOWANA ŚMIERĆ?

Tych zagadek jest znacznie więcej. Oficjalne rosyjskie media w rodzaju Agencji TASS, które poinformowały o tym, że na liście pasażerów Embraera był Prigożyn, zaraz po tym zaczęły pisać o jego śmierci, choć z innych relacji, które pojawiły się publicznie, miało wynikać, że po upadku z wysokości ponad 6 km i po pożarze szczątki ofiar są w takim stanie, że do ich identyfikacji niezbędne będą badania DNA.

Ksenia Sobczak, pochodząca z Petersburga dziennikarka, której matka zasiada w Radzie Federacji, izbie wyższej rosyjskiego parlamentu, powiedziała mediom, że „jej źródła informacji potwierdzają, iż Prigożyn był na pokładzie” samolotu, który uległ katastrofie. Z kolei Aleksiej Wieniediktow, znany rosyjski dziennikarz, były redaktor naczelny zlikwidowanego w czasie wojny radia Echo Moskwy, zauważył, że w saloniku business lotniska Wnukowo-3, gdzie na swój lot czekają właściciele prywatnych odrzutowców, znajdują się kamery, a zatem bardzo łatwo sprawdzić, czy Prigożyn udał się w stronę swojego samolotu. To jednak, jak dodał, nie oznacza jeszcze, że był na pokładzie tego, który się rozbił, bo właściciel Grupy Wagnera korzystał z dwóch prywatnych maszyn. Obydwie znajdowały się w tym czasie w Moskwie i obydwie wystartowały, tyle że ten drugi samolot nieco później i udał się w zupełnie innym kierunku. Przypomniawszy też, że już raz, w 2019 r., pojawiła się informacja, jak się okazało – nieprawdziwa, że Prigożyn zginął w wypadku lotniczym w Kongo. Margarita Simonjan, kierująca propagandowym holdingiem Russia Today, skomentowała informację o katastrofie krótko – „insceniówka”.

Zakładając, że Jewgienij Prigożyn znajdował się na pokładzie samolotu i zginął, podobnie jak wojskowy komendant i faktyczny twórca Grupy Wagnera Dmitrij Utkin oraz Walerij Czekałow, odpowiadający za logistykę i zaopatrzenie, a także trzech ochroniarzy i troje członków załogi, trzeba postawić pytania o to, kto mógł być zainteresowany ich zgładzeniem i dlaczego.

AKT ZEMSTY?

Związany z Prigożynem kanał Grey Zone, który notabene potwierdził śmierć właściciela Grupy Wagnera i Dmitrija Utkina, napisał też, że to, co się stało, „będzie mieć katastrofalne skutki”, bo władze nie zdają sobie sprawy ze stanu nastrojów w siłach zbrojnych. Autorzy tego wpisu zdają się nie mieć wątpliwości, że za tym, co się stało, stoi Kreml, a z pewnością rosyjskie służby specjalne. Za tego rodzaju wersją przemawia zarówno zastanawiająca koincydencja – fakt, że katastrofa pod Twerem miała miejsce równo dwa miesiące



po puczu, jak i wiele innych wydarzeń ostatnich dni.

Dzień przed katastrofą samolotu Prigożyna pojawiła się w agencji RIA Novosti lakoniczna informacja, iż pełniącym obowiązki dowódcy rosyjskich sił powietrzno-kosmicznych został gen. Wiktor Afzałow, co jest ostatecznym potwierdzeniem odwołania jego poprzednika – gen. Siergieja Surowikina. Ten wysokiej rangi dowódca, uchodzący za zwolennika Prigożyna, uznawany był przez rosyjskich komentatorów za jednego z sympatyków puczu. Od dwóch miesięcy nikt go nie widział, a doniesienia potwierdzające jego odwołanie mają być świadectwem tego, że Kreml kończy operację czyszczenia swego zaplecza z tych, którzy opowiadali się za eskalacją wojny na Ukrainie. W Rosji wszyscy pamiętają słowa Putina, który jeszcze przed wojną powiedział w jednym z wywiadów, że jest w stanie przebaczyć wszystko prócz zdrady i sądzą, że właśnie dokonał się akt zemsty.

Tatiana Stanowaja, rosyjska politolog specjalizująca się w śledzeniu rozgrywek na szczytach rosyjskiej władzy, nie ma wątpliwości, że na śmierci Prigożyna skorzysta Kreml. Nie ma znaczenia – jak napisała – co się rzeczywiście wydarzyło, i tak wszyscy będą uważać, że to „zemsta” Putina, który w ten sposób „odplacił się” za upokorzenie jakim był pucz. Dodała też, że „z punktu widzenia Putina, a także

wielu funkcjonariuszy bezpieczeństwa i wojska, śmierć Prigożyna powinna być lekcją dla potencjalnych następców”.

Nie jest to pierwszy w ostatnich dniach sygnał, że Kreml nie chce zmian i gotowy jest przeciwstawić się żądaniom wewnętrznej „partii wojny”, której przedstawiciele w strukturach władzy chcieliby eskalacji konfliktu na Ukrainie. Kilka dni przed katastrofą Putin przyjechał w towarzystwie odpowiadającego za „operację specjalną” na Ukrainie gen. Walerego Gierasimowa do Rostowa nad Donem. Pojawienie się rosyjskiego prezydenta w sztabie Południowego Okręgu Wojskowego, tym samym, który dwa miesiące wcześniej opanował Prigożyn, zostało odczytane w Rosji jako wyraźny sygnał, czego popiera Putin. Sygnał ten był tym uważniej analizowany, że kilka dni wcześniej Bloomberg poinformował, powołując się na pięć niezależnych źródeł, iż część radykalnych przedstawicieli resortów siłowych postawiła Putinowi coś w rodzaju ultimatum. Mieli oni zażądać eskalacji wojny na Ukrainie, powszechnej mobilizacji i wprowadzenia stanu wojennego w Rosji, niezbędnego, ich zdaniem, aby przejść w realia gospodarki wojennej. W świetle takiej wersji zarówno odwołanie Surowikina, jak i pojawienie się Putina w towarzystwie Gierasimowa, ale także katastrofa pod Twerem miały być wyraźnym sygnałem, że turbopatrioci, jak

radykałów nazywa się w Rosji, nie mają poparcia Kremla.

ZAMKNIĘCIE UST?

Inna wersja interpretacji tego, co się stało pod Twerem, odwołuje się do wydarzeń sprzed dwóch miesięcy. Już wówczas obserwatorzy dostrzegli zastanawiającą bezczynność FSB, której oddziały nie tylko nie strzegły granicy, pozwalając na przemieszczenie się Prigożyna i jego ludzi w stronę Rostowa nad Donem, lecz także nie reagowały, kiedy ten zajmował miasto. Niektórzy rosyjscy komentatorzy sugerowali nawet, że służby mogły być zainteresowane inicjowaniem puczu, bo w ten sposób miały możliwość sprawdzenia, czy w środowisku dowódców wojskowych nie ma zwolenników uderzenia we władzę Putina, która zresztą też w wyniku tego, co się stało, ucierpiała. Ten scenariusz potwierdzają wydarzenia ostatnich tygodni, przede wszystkim odsunięcie od funkcji w siłach zbrojnych kilkunastu generałów i pułkowników, o czym pisali dziennikarze „The Wall Street Journal”. Paradoksalnie w świetle tego rodzaju narracji, służby specjalne stworzyły dla siebie sytuację typu win-win. Pokazały, że są niezbędne, aby utrzymać władzę obecnego lokatora Kremla, jednocześnie ją osłabiając, właśnie po to, aby był on bardziej uzależniony od siłowników. Jedyнным słabym ogniwem tej operacji mógł być sam Prigożyn, który zdradzając, że jego pucz to była „inscenizacja”, mógł pozbawić jego organizatorów owoców sukcesu. Należało mu więc zamknąć usta.

WYMIERZONA SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Konspiracyjologicznych wersji może być zresztą więcej. Zaraz po katastrofie rosyjscy korespondenci wojenni publikujący w Telegramie wiązali ją z działaniem ukraińskich sił specjalnych. Powodów może być kilka. Prigożyn to zbrodniarz wojenny, odpowiadający za śmierć wielu ludzi na Ukrainie. Wymierzenie mu sprawiedliwości mogło być pozytywnym akcentem mającego miejsce 23 sierpnia, w dniu katastrofy, ukraińskiego Święta Flagi Narodowej. Tym bardziej że Kyryło Budanow, kierujący wywiadem wojsko-

wym, kilka dni wcześniej zapowiadał „niespodzianki” i intensyfikację wojny na terenie Federacji Rosyjskiej i terenach okupowanych. Może miał na myśli zniszczenie rosyjskiej baterii S-400 na Krymie przez ukraińskich żołnierzy sił specjalnych, którzy wysadzili desant na półwyspie, a może sugerował coś jeszcze.

Kilka dni poprzedzających katastrofę lotniczą pod Twerem upłynęły pod znakiem nasilających się ukraińskich ataków dronowych na Moskę, ale nie tylko, bo uderzono również na lotniska pod Nowogorodem i w obwodzie kałuskim, gdzie bazują bombowce strategiczne Tu-22 M3. Strona ukraińska mówi o uszkodzeniu i zniszczeniu pięciu maszyn, wywiad brytyjski potwierdza, że z całą pewnością spłonął jeden z bombowców, ale i tak

Prigożyn skorzystał z dwóch prywatnych maszyn. Obydwie znajdowały się 23 sierpnia w Moskwie i obydwie wystartowały, tyle że ten drugi samolot nieco później i udał się w zupełnie innym kierunku

strata dla Rosjan jest bardzo bolesna. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie budują już tych samolotów, co oznacza, że odtworzenie zniszczonego potencjału nie będzie proste, a po drugie, co chyba jeszcze ważniejsze, obserwatorzy są zdania, że atak na lotnisko pod Nowogorodem, które znajduje się w odległości 600 km od granicy, musiał być przeprowadzony przez działające na terenie Rosji ukraińskie siły specjalne. Jeśli tak, to można zakładać, że przyczyniły się też one do tego, co stało się pod Twerem. Tym bardziej że katastrofa miała miejsce w odległości 50 km od i na trasie przelotu wiodącej do rezydencji Putina w Władaju, gdzie rosyjski prezydent często przebywa, latając tam z Moskwy. Z pewnością rosyjska obrona przeciwlotnicza wokół stolicy była w ostatnich dniach w stanie najwyższej gotowości, co uprawdopodobnia teorię o pomyłce.

UŚPIENIE POLSKIEJ CZUJNOŚCI?

Jest jeszcze jedna wersja wydarzeń, która winna nas najbardziej interesować. Otóż w dzień katastrofy Białoruski Gajun, opozycyjny kanał informacyjny, którego aktywiści śledzą ruchy wagnerowców, poinformował, że zaraz po tym, jak media podały pierwsze informacje o wydarzeniu, z Moskwy do Mińska wyleciał samolot transportowy Il-76. To pierwszy taki lot od miesiąca samolotu, który może zabrać na pokład nawet 200 ludzi. Dzień po katastrofie Radio Swoboda poinformowało, że obóz wagnerowców pod białoruskimi Osipowiczami jest likwidowany. Miało go już opuścić 2 tys. żołnierzy. Jednak zastanawia nie tylko zbieżność wydarzeń i tempo działania. Kilka dni wcześniej Łukaszenka mówił publicznie, że jest zainteresowany poprawą relacji z Polską, co sugerowałoby zmianę linii Mińska i Moskwy wobec kryzysu na granicy z państwami NATO. Ale jednocześnie niezależne media białoruskie odnotowały przybycie pierwszych rosyjskich oddziałów na manewry Zapad.

Informacje o śmierci Prigożyna i dowództwa Grupy Wagnera w połączeniu z doniesieniami o wyjeździe „muzykantów” z Białorusi miałyby na celu, w świetle jednej z możliwych interpretacji, uśpić czujność polskich obrońców granicy, przekonać nasze władze, że kryzys został zażegnany. Jeśli za jakiś czas stałoby się coś niepokojącego, to wówczas kogo można byłoby oskarżyć – nieżyjącego Prigożyna, wagnerowców, którzy się z Białorusi wycofali, czy „zielone ludziki” – ludzi, którzy wzięli się nie wiadomo skąd i uzbrojeni są w to, co w każdym rosyjskim sklepie z bronią można nabyć, jak w czasie inwazji Krymu mówił Putin?

Nie wiemy, która z tych wersji śmierci Prigożyna jest prawdziwa, nawet nie mamy pewności, czy właściciel Grupy Wagnera rzeczywiście zginął pod Twerem. Jedno nie ulega wątpliwości. Nie należy wierzyć naszym sąsiadom z Białorusi i z Rosji, a to oznacza, że musimy być nie tylko czujni, lecz także przygotowani na każdy, nawet najbardziej nieprawdopodobny zwrot wydarzeń.

Rewolucja na rynku węgla opałowego w Polsce

– Zmiany, których dokonaliśmy w niespełna rok, były rewolucyjne dla rynku. Nie ma drugiego podobnego e-sklepu w całej Polsce ani w Europie – mówi o detalicznej sprzedaży internetowej węgla do ogrzewania domów i mieszkań prezes Polskiej Grupy Górniczej S.A. Tomasz Rogala, pomysłodawca nowego systemu dystrybucji, który wdrożono po napaści Rosji na Ukrainę i wybuchu kryzysu paliwowego w 2022 r.



Fot. Materiały prasowe

Po węgiel opałowy kupujący od dekad jeździli do śląskich kopalni, w punktach drobnicowych ładowano ciężarówkę, a obok w kasie płacono za towar gotówką (korzystne było to praktycznie tylko dla mieszkańców regionu). Kilka lat temu ruszyła sprzedaż węgla przez internet, ale była niszowa, ograniczona do workowanych ekogroszeków. W 2021 r. e-sklep miał 26 tys. klientów. W 2022 r. po wybuchu paniki na rynku zarejestrowało się ich... ponad 1 mln. E-sklep sprzedał 1,5 mln t węgla dla 500 tys. gospodarstw domowych.

– Spekulacje pośredników sprawiły, że w prywatnych składach węgiel kosztował nawet 3,6 tys. zł/t i więcej. Dlatego pilnie w lutym 2022 r. bezprecedensowo rozszerzyliśmy ofertę e-sklepu o węgiel luzem. Zbudowaliśmy też od podstaw nową sieć Kwalifikowanych Dostawców Węgla. W rezultacie rynek węgla opałowego w Polsce zmienił się radykalnie, a ceny paliwa zaczęły spadać – wspomina Tomasz Rogala. – Na półkę e-sklepu dziennie trafiało nawet 100 tys. t węgla, który zniknął w kilka minut. W jednej chwili logowało się ponad 2 mln osób,

a 150 tys. próbowało jednocześnie dokonać transakcji. Sklep pod obciążeniem musiał podlegać ciągłej modernizacji, wzmocnieniu bezpieczeństwa, walczyliśmy z atakami hakerskimi – opisuje szef Polskiej Grupy Górniczej S.A.

Jacek Szutt, główny inżynier do spraw rozwoju i strategii IT w PGG S.A., dodaje, że spółka jako pierwsza firma w kraju przeprowadziła m.in. udaną integrację e-sklepu z tzw. węzłem krajowym (identyfikacja użytkowników w domenie login.gov.pl pomogła eliminować próby oszustw).

W czerwcu 2022 r. zaczęto budować nową sieć Kwalifikowanych Dostawców Węgla. Miała ona umożliwić klientom rozsianym po całej Polsce odbiór opału w składzie jak najbliżej domu.

– W ciągu kilku tygodni wyłoniliśmy ponad 100 firm partnerskich. Był to jeden z największych procesów przetargowych w historii spółki – wspomina Wiesław Zygmunt, dyrektor Biura Zakupów i Usług.

– Mamy już teraz 187 składów i nadal wiele firm chce nawiązać współpracę. Klienci są zadowoleni z najniższych w Polsce stawek transportowych, a partnerom zależy, aby pozostać w gronie KDW mimo wysokich wymagań, bo to dla handlowca pozytywna marka – ocenia Jolanta Smółka, dyrektor Biura Sprzedaży Węgla Opałowego PGG S.A.

– Teraz kupujący u nas są pewni, że węgiel jest polski, dobrej jakości, po cenie producenta, dostępny codziennie 24 godz. na dobę. Sklep pozwala na wiele form płatności (np. przelewy BLIK czy na raty). Zapewnia nowoczesną komunikację z klientem przez infolinię, formularz kontaktowy, chatbot czy voicebot – mówi Tomasz Rogala.

Nawet klienci z grupy wykluczonych cyfrowo mogą kupować w e-sklepie, wystarczy że dotrą do składu KDW, gdzie uzyskają wsparcie.

Dzięki letnim promocjom e-sklep zaczął wyznaczać ceny i wymusił na konkurencji dostosowanie ofert. Przykładowe hity PGG S.A. to upust o 400 zł/t przy drugim zamówieniu, darmowa dostawa, obniżka cen grubych węgli do ledwie 1100 zł/t. Nowe atrakcyjne propozycje i rozwiązania dla klientów e-sklepu PGG S.A. mają zostać przedstawione jesienią, na progu nowego sezonu grzewczego.

Nic podobnego dotąd się nie wydarzyło w ciągu długich dziejów zachodniej demokracji. A na naszych oczach zaczynają się właśnie rozgrywać zdarzenia precedensowe, o których w gruncie rzeczy nie wiemy, jak wpłyną na dalsze losy demokracji i całą polityczną przyszłość świata. Chodzi bowiem przecież nie o jedno z wielu państw demokratycznych, ale o Amerykę – czyli największą demokrację na naszym globie, a przy tym państwo, od którego losy świata zależą w nie mniejszym stopniu niżli dwa tysiące lat temu zależały od antycznego Rzymu.

Od czasu wyborczego zwycięstwa w Stanach Zjednoczonych alt-prawicy w 2016 r. obserwujemy pogłębiającą się kryzys demokracji amerykańskiej. Kryzys, który zwolenników ustroju demokratycznego na całym świecie musi niepokoić co najmniej od czasu, gdy lewicowa opozycja i wielkie media ogłaszały zawiązanie wewnątrz rządu USA konspiracji przeciw urzędującemu wówczas prezydentowi. Teraz wygląda na to, że w 2024 r. ów kryzys może osiągnąć swój punkt kulminacyjny.

Oto właśnie rozpoczyna się najbardziej niezwykła kampania wyborcza w USA, której kluczowe zdarzenia rozgrywać się będą nie na wiecach, konwencjach partyjnych i telewizyjnych debatach, ale w salach sądowych, gabinetach prokuratorskich i sławnych więzieniach, znanych nam często z hollywoodzkich filmów. Uważne obserwowanie wypadków tej kampanii, czy raczej zapowiadającego się serialu kryminalnego, jest nie tylko rzeczą samą w sobie fascynującą, bo fascynującą jest zawsze obserwacja zdarzeń wyjątkowych, a być może decydujących dla przyszłości świata. Ale, co ważniejsze, dla każdego z nas – obywateli demokratycznego Zachodu – jest

Kampania prezydencka jako serial kryminalny

Idea demokracji w Stanach Zjednoczonych znalazła się w głębokim kryzysie. A jak uczy doświadczenie, to, co dzieje się z demokracją amerykańską, zwykło rychło powtarzać się i u nas



JAN ROKITA

to przecież obserwacja symptomów głębokiego kryzysu, w jakim znalazła się dziś sama idea demokracji w USA. A jak uczy doświadczenie, to, co dzieje się z demokracją amerykańską, zwykło rychło powtarzać się i u nas.

SERIA PROCESÓW

15 stycznia 2024 r., wraz z pierwszymi prawyborami w stanie Iowa, ruszy oficjalnie amerykańska kampania wyborcza. Ale całkiem możliwe, że najbardziej spektakularne wydarzenia kampanijne zaczną się dwa tygodnie wcześniej, czyli 2 stycznia w Wa-



szingtonie. Na ten bowiem dzień prokurator Jack Smith żąda wyznaczenia początku procesu sądowego, w którym 77-letni Donald Trump jest oskarżony o zdradę i stanięcie na czele spisku przeciwko Stanom Zjednoczonym.

W chwili, gdy ten numer tygodnika znajdzie się w rękach czytelników, będzie już prawdopodobnie wiadomo, czy sędzia Tanya Chutkan – Murzynka z Jamajki, która przewodzić będzie w tym procesie – podzielił żądania prokuratora. Prawnicy Trumpa wnoszą bowiem o odłożenie procesu na czas po listopadowych wyborach, argumentując, iż muszą odnieść się do 11,5 mln stron akt, które przedkłada w oskarżeniu urząd prokuratorski. Ale jak wiadomo, to tylko jeden z czterech wielkich procesów karnych przeciwko Trumpowi, które w ciągu przyszłego roku będą tworzyć dynamikę kampanii wyborczej.

Na luty 2024 r. żąda wyznaczenia procesu Trumpa w Atlancie inna prokurator, Fani Willis (też Murzynka i córka aktywisty sławnego terrorystycznego ruchu Czarnych Panter z lat 60. XX w.). Tu z kolei Trump i liczna grupa jego współpracowników oskarżeni są z ustawy antymafijnej o to, iż zorganizowali gang kryminalny dla sfałszowania wyników wyborów w stanie Georgia.

Z kolei na 25 marca 2024 r. jest już wyznaczona pierwsza rozprawa sądowa w Nowym Jorku, gdzie sławny prokurator Alvin Bragg (o którym lewicowa prasa z zachwytem pisała jako o „najbardziej postępowym prawniku w Ameryce”, również Murzyn) oskarża byłego prezydenta o fałszerstwa podatkowe, a to w związku z zarzutem nieujawnienia fiskusowi faktu zapłaty prostytutce za milczenie o jej intymnej znajomości z Trumpem.



Wreszcie 20 maja 2024 r. startuje proces w Miami, w którym były prezydent jest oskarżony o kradzież dokumentów państwowych, znalezionych w jego prywatnej rezydencji na Florydzie. Tutaj, podobnie jak w głównym procesie o spisek przeciw USA, oskarżycielem jest specjalny prokurator Jack Smith, wyznaczony przez rząd Bidena. Smith to jedyny biały prokurator wśród oskarżycieli Trumpa, w przeszłości ścigający zbrodniarzy wojennych z Kosowa, a potem pracujący w rządzie Obamy jako szef tzw. PIN, czyli rządowej agencji odpowiedzialnej za uczciwość życia publicznego. W tej roli najbardziej znanym aktem Smitha było oskarżenie o korupcję bardzo popularnego i bardzo prawicowego gubernatora Wirginii Boba McDonnella, gdy Smithowi udało się doprowadzić do załamania kariery gubernatora i skazania go na dwa lata więzienia. Dopiero Sąd Najwyższy USA uniewinnił McDonnella, uznając bezpodstawność oskarżenia, co jednak wcale nie zachwiało dalszą wielką karierą Smitha pod rządami prezydenta Bidena.

SKAZANIE PRZED NOMINACJĄ

Jak spodziewają się znawcy amerykańskich sądów, każdy z tych procesów może potrwać mniej więcej cztery do sześciu tygodni, po czym w każdym z nich powinien zapadnąć wyrok. Z kalendarza wyborczo-procesowego jasno zatem wynika, że jeśli nie dojdzie do jakichś nadzwyczajnych opóźnień, to czwarty z kolei wyrok na Trumpa powinien zapadnąć właśnie wtedy, gdy 4 czerwca kończyć się będą ostatnie prawybory w stołecznym Dystrykcie Kolumbia oraz w Dakocie Południowej, Montanie, New Jersey i Nowym Meksyku.

Jeśli tak by się stało, to skazany – zapewne na kilkadziesiąt lat więzienia – Trump zaraz po swym czwartym z kolei wyroku triumfalnie odbierze prezydencką nominację Partii Republikańskiej podczas konwencji w Milwaukee w stanie Wisconsin, zaplanowanej na 15–19 lipca 2024 r. W każdym razie gdyby nawet któryś

Fot. Oli Corzo/Shutterstock.com

z czterech procesów nie wystartował przed konwencją w Milwaukee, to niemal z pewnością w którymś z nich Trump zostanie już wcześniej osądzony. Tym razem nominację prezydencką będzie zatem odbierał skazaniec, całkiem możliwe, że uznany winnym zdrady i spisku, czyli najcięższych przestępstw przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Po oskarżeniu Trumpa w waszyngtońskim procesie o zdradę i spisek, pojawiły się w USA liczne obawy, iż były prezydent może być w tym procesie skazany na karę śmierci. Co prawda w Dystrykcie Kolumbia kara śmierci jest zniesiona, ale dotyczy to tylko procesów stanowych, a nie federalnych. W procesach przed sądami federalnymi, w których oskarżycielem jest funkcjonariusz Departamentu Sprawiedliwości, kara śmierci może być orzekana, niezależnie od miejsca, w którym akurat toczy się proces. Nie wchodząc w szczegóły zawilej amerykańskiej praworządności, trzeba tylko zaznaczyć, iż prawnicy i prokuratorzy amerykańscy generalnie zaprzeczają, iżby zbrodnie, o które oskarżony został Trump, mogły podlegać karze śmierci. To zatem, co wygląda na realne, to sytuacja, w której startowi ostatniego etapu wyborów prezydenckich, zapewne pomiędzy Trumpem i Bidenem, towarzyszyć będzie emocjonalna debata o tym, czy skazany za najcięższe zbrodnie kryminalista może dalej prowadzić „normalną” kampanię, czy też raczej powinien ją już prowadzić z któregoś z ciężkich więzień amerykańskich.

LEWICA W ŚLEPYM ZAUŁKU

Prawdę mówiąc dziś trudno powiedzieć, co może się zdarzyć, jako że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, iż republika amerykańska znalazła się w głębokim kryzysie i utraciła zarówno zdrowy rozsądek, jak i instynkt państwowy. Jedno jest pewne: ta sytuacja to z premedytacją założona mina, mająca wstrząsnąć samymi fundamentami ładu demokratycznego.

Albowiem im więcej spraw sądowych i najcięższych zarzutów karnych spada na byłego prezydenta, tym wyraźniej rośnie jego poparcie wśród amerykańskich wyborców. I to jest największy paradoks i najgroźniejsze niebezpieczeństwo, przed jakim stoi demokracja w USA.

Po spektakularnym ogłoszeniu przez Wielką Ławę Przysięgłych w stanie Georgia, że Trump ma być sądzony za przynależność do gangu i w związku z tym ma się stawić do niesławnego więzienia w Atlancie w celu doprowadzenia go do sądu, sondaże

Im więcej spraw sądowych i najcięższych zarzutów karnych spada na Trumpa, tym wyraźniej rośnie jego poparcie wśród amerykańskich wyborców. I to jest największy paradoks i najgroźniejsze niebezpieczeństwo, przed jakim stoi demokracja w USA

Trumpa skoczyły do najwyższego od dawną poziom. W badaniu zleconym przez telewizję Fox News aż 54 proc. wyborców republikańskich określa Trumpa jako osobę godną najlepszej opinii i zaufania, co jest wzrostem o 11 proc. w ciągu półrocza 2023 r. Z kolei sondaż Ipsos dla stacji ABC News pokazuje, że ledwie 14–16 proc. Amerykanów uważa, że były prezydent powinien być oskarżony i stanąć przed sądem.

Zaś w ostatecznym starciu z Bidenem, które będzie mieć miejsce 5 listopada, szanse obu starców wydają się mniej więcej równe. Obaj mają dziś wśród swoich współobywateli więcej przeciwników, niżli zwolenników, a rzeczy miały się podobnie w 2016 r., gdy Trump wygrał wybory z Hillary

Clinton. Najbardziej antytrumpowe lewicowe media, jak choćby telewizja CNN, publikują ostatnio coraz częściej komentarze pełne paniki, wskazujące na to, iż w Ameryce narasta trend, popychający Trumpa do odzyskania prezydentury. Upatrują one jednak przyczyny tego trendu w widocznej dla Amerykanów starczej słabości Bidena i braku jakiegokolwiek poważnej lewicowej alternatywy dla 80-lletniego prezydenta.

Zdaje się jednak, iż amerykańska lewica z trudem przyjmuje do wiadomości główną przyczynę kryzysu,

który sama spowodowała. Dla każdego jako tako przytomnego Amerykanina (i nie tylko Amerykanina), nawet jeśli jest ideowym przeciwnikiem Trumpa, alt-prawicy i generalnie republikanów, musi być przecież jasne, że cała prokuratorsko-sądowa obława na Trumpa ma w pierwszym rzędzie motywy polityczne, a nie prawne. Zaś prawnicy z takim entuzjazmem uczestniczący w tej obławie są śmiertelnymi wrogami politycznymi Trumpa, o czym świadczą ich życiorysy, publiczne deklaracje, poglądy i sam przebieg ich karier. Nie od dziś na wszelkie sposoby próbują oni wyeliminować Trumpa z życia publicznego, a jeszcze bardziej pragną zamknąć usta jego znielowidzonym przez establishment,

prawicowym, głównie prowincjonalnym wyborcom. Zresztą nie sposób inaczej zinterpretować wyników wspomnianego sondażu ABC News, unaoczniającego wątpliwości i dylematy także lewicowych wyborców.

Wieloletni zausznik obojga Clintonów – dziennikarz i spin doktor Sidney Blumenthal, napisał ostatnio nie bez racji (na łamach „Guardiana”), że te wszystkie procesy i przyszłe wyroki to „paliwo raketowe, jakie zostanie wpompowane w ogień kampanii Trumpa”. Zdaje się jednak, że amerykańska lewica zbyt już daleko zabrnęła w ślepy zaułek, aby zachować zdolność wyciągnięcia politycznych wniosków z tego oczywistego faktu, spostrzeżonego przez inteligentnego Blumenthala.

KRYNICA FORUM 2023

13-15 września



em
po
wer
ing THE
REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata głów państw CEE – gości Prezydenta RP Andrzeja Dudy
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem delegacji wysokiego szczebla z Seulu
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- Dyskusje przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- 100 + paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- więcej na www.krynicaforum.pl

 MAŁOPOLSKA



Byki

– namiętność i powód kłótni

Ciekawe, czy gdyby pokusić się o zrobienie badań na temat ewentualnej chęci udziału Polaków w gonitwie byków, ktokolwiek miałby ochotę wystąpić w tym zatrważającym widowisku. Polacy przyzwyczajeni są jednak przelewać krew dla spraw wielkich, bo historia nauczyła nas, aby oszczędnie nią szafować. Co innego Hiszpanie. Dla nich tauromachia jest kultywowaniem starej tradycji, ale też okazją do wykazania się męstwem i fantazją, aby zyskać aplauz tłumów i namiętne spojrzenia kobiet. Tyle że w XXI w. już nawet kobiety biorą w obronę byki, więc czas pokaże, kto lub co ocaleje z tauromachii

**MAŁGORZATA WOŁCZYK**

Nasza łagodna, słowiańska natura nigdy nie miała ambicji podboju świata, chrystianizowania kontynentów, tym bardziej wzdryga się na myśl, że można odnaleźć przyjemność w walce lub gonitwie z bestią ważącą od 300 do 500 kg. Owszem, co innego wyzwania ho-

norowe, zwłaszcza po suto zakrapianym spotkaniu, gdy Polak chce udowodnić szwagrowi, że stać go na niejednego wyczyn. Pozostanie mu wciąż jednak zbyt wiele z chłopskiego rozumu, aby kręcić piruety wokół zwalistego byka, będąc na dodatek odzianym w błyszczące bolerko, koronki i podkolanówki. Już samo oglądanie zjawek z Hiszpanii, na których tłum mężczyzn ucieka przed rozpędzonym stadem bestii lub obrazek z krwawej korridy prowokuje do pytań: czy aby na pewno ten kto wymyślił tę narodową rozrywkę nie był agentem obcego wywiadu, próbującym pozbawić naród najodważniejszych mężczyzn?

Może jednak wręcz odwrotnie – znając temperament hiszpańskich macho, doskonale skanalizowali ich energię, aby nie brali się za lby podczas wojen domowych, których i tak stoczyli zbyt wiele w swej historii. José Ortega y Gasset twierdził wprost, że nie da się zrozumieć historii Hiszpanii bez tauromachii, obecnej na Półwyspie Iberyjskim od ponad trzech tysięcy lat.

TAUROMACHIA – CO TO JEST?

Na początek uporządkujmy jednak pewne pojęcia, o których przeciętny Polak wie raczej niewiele.



Hiszpanów

Tauromachia to sztuka walki z bykami w całym bogactwie odsłon. Najczęściej kojarzymy ją z korridą, czyli walką toreadora z bykiem na arenie. Może jednak polegać też na gonitwie z bykami, czyli encierros, których najsłynniejszym przykładem jest święto San Fermín z Pampeluny, ale obejmuje też mniej popularne rejoneo (walka z bykiem konno), recortes, czyli przeskakiwanie nad bykiem, drażnienie go oraz pętanie na sznurze i wiele innych regionalnych odmian festejos z bykiem lub jałówką w roli głównej.

Walka rozgrywa się nie tylko na specjalnie przeznaczonych do tego arenie, ale też na placach miejskich, zamkniętych ulicach miast i bardzo często w ramach obchodów świąt z kalendarza Kościoła katolickiego. Owszem, my, Polacy, możemy się krzywić z niesmakiem, że dręczenie zwierza odbywa się pod pretekstem czczenia świąt, ale jak wiadomo – co kraj to obyczaj.

To swoje teatrum między śmiałkiem a bykiem spopularyzował na świecie amerykański pisarz Ernest Hemingway. Ale nie musimy mu wierzyć, bo jeśli chodzi o korridę, to był neofitą, w dodatku tem-

peramentnym, na wzór hiszpańskiego macho i awanturnika. Lepiej więc poszperać w listach naszego Sienkiewicza z Hiszpanii albo poprzestać na sugestywnym opisie Marii Kuncewiczowej z książki „Don Kichote i niańki”: „Jeszcze raz czempioni dwóch różnych gatunków: mężczyzna i byk, walczyli ze sobą na równych prawach o śmierć heroiczną, a kobiety szczyły na siebie dwóch różnych samców, kochając mężczyznę za poezję i byka za prozę”.

O poezji i sztuce walki z bykiem mówią od zawsze obrońcy tauromachii, tyle że przekonuje to coraz mniej osób, nawet w Hiszpanii. Również rodzina królewska jest podzielona co do wartości tych przedstawień, bo król emeryt Juan Carlos owszem, uwielbia walki byków, ale już jego syn aktualnie panujący Król Filip VI niespecjalnie, asystuje niechętnie, tym bardziej że jego żona królowa Letycja wprost nienawidzi tej tradycji.

Od wielu lat trwa prawdziwa krucjata środowisk obrońców zwierząt, partii PACMA i stowarzyszeń weterynarzy, które nawołują do zakazania praktyk z bykami w roli głównej. Rozdźwięk między Hiszpanami na tle tauromachii jest nie tylko pokoleniowy, młodzi coraz częściej uważają, że to jest po prostu anachroniczny, okrutny zwyczaj polegający na torturowaniu zwierząt ku ucieście gawieździ. Według statystyk już ponad 80 proc. badanych z tej grupy pokoleniowej wstydzi się, że pochodzi z kraju o tej tradycji. Konflikt przebiega też bardzo często na linii podziału miasto-wieś, jak nie trudno zgadnąć, to tzw. młodzi, wykształceni i z wielkich miast odrzucają i gardzą tą tradycją w przeciwieństwie do rówieśników z prowincji. A już zupełnie ewidentnie podział narasta w ramach politycznych sympatii: prawica i skrajna prawica wszelkimi siłami bronią tauromachii, zaś lewica ją atakuje, a w niektórych regionach także znosi zupełnie (np. na Wyspach Kanaryjskich i w Katalonii). Lewica zamyka szkoły dla młodzików toreadorów i walczy o zaprzestanie finansowania tego przemysłu ze środków publicznych. Szacuje się, że chodzi nawet o 450 mln euro rocznie, które są kierowane przede wszystkim na hodowlę byka bojowego (toro de lidia), a następnie do samorządów, aby mogły organizować festyny z jego udziałem. Przyjrzyjmy się zatem argumentom obu zwalczających się stron.

ARGUMENTY ZA TAUROMACHIA

Hiszpański poeta Federico García Lorca pisał, że „walki byków są poetyckim i żywotnym bogactwem Hiszpanii. To najbardziej kulturalna impreza na świecie”. Chwalców i praktyków tego dziedzictwa jest wciąż mnóstwo, zresztą nie tylko w Hiszpanii, ale także w niektórych regionach Francji, Portugalii, Meksyku czy Kolumbii. Gdyby spytać hiszpańskich fanów o sens kultywowania tej „sztuki” dzisiaj, użyliby z pewnością następujących argumentów:

- 1) Tauromachia jest częścią historycznego i kulturowego dziedzictwa Hiszpanów i na całym świecie jest postrzegana jako znak rozpoznawczy ich kultury. Zostało właśnie uznane, że walki byków (zespół działań artystycznych i produkcyjnych, w tym hodowla i selekcja walczących byków) stanowią narodowe dziedzictwo, które trzeba chronić. Walczący byk jest nieodzownym elementem świat wielu miast.
- 2) Walka z bykiem to odwieczna konfrontacja między zwierzęciem, z jego siłą i instynktami, a człowiekiem, z jego inteligencją i sprytem, tyle że przeprowadzona wedle reguł pewnej gry i w wymiarze widowiska. Widowiska, które zresztą ma swoje korzenie w igrzyskach w starożytnym Rzymie i na Krecie, ale które Hiszpanie podnieśli do rangi artystycznej, kulturalnej i świątecznej ekspresji. Przypominają nam, że człowiek pozostaje myśliwym, wciąż żywi się mięsem i że uczestniczy w odwiecznej walce z siłami natury, którą chce zdominować, niezależnie czy chodzi o polowanie, czy podbój kosmosu.
- 3) Jest oczywiste, że hipotetyczny zakaz walk byków oznaczałby koniec hodowli, a zatem wyginiecie gatunku walczących byków (toro bravo). Byk, który nie rodziłby się dla areny, po prostu nie miałby okazji, aby się urodzić.
- 4) Korrida pozostanie sztuką, i to jedyną na świecie, w której artysta ryzykuje swoje życie dla urody widowiska. Śmierć byka podlega surowym regułom, które gwarantują mu godność. Nie jest zadawana mu z nienawiści czy chęci zemsty. Zwierzę, choć zabijane z użyciem ostrych narzędzi nigdy nie cierpi, ponieważ walka na arenie zapewnia mu adrenalinę, dzięki której neutralizowany jest ból spowodowany ranami.

- 5) Tauromachia jako „festiwal narodowego zainteresowania turystycznego” otrzymuje ogromne fundusze z budżetu państwa, ale jednocześnie wytwarza ogromne zyski – szacowane na powyżej 1 mld euro rocznie. Pamiętać też trzeba, że ten bykowy przemysł utrzymuje tysiące rodzin w kraju. Zakaz walk z bykami oznaczałby utratę pracy przez ponad 200 tys. osób.
- 6) Tauromachia jest związana z historią Hiszpanii. Nie ma w niej ideologii, po prostu należy do narodu i przenika nawet jego codzienny język i wyrażenia potoczne. Walczący byk jest symbolem Hiszpanii, której geograficzny kształt też w pewnym uproszczeniu określany jest jako „skóra byka”.
- 7) Byk inspirował twórców ze wszystkich dziedzin artystycznych, wszystkich epok i nurtów estetycznych. Od Goi po Picassa znajdujemy wielu wielbicieli walk byków, którzy nie wahali się przekazać piękna i wyjątkowości tej tradycji za pośrednictwem swego talentu.
- 8) Zgodnie z ustawą o dziedzictwie historycznym obowiązkiem państwa jest zagwarantowanie jej trwania i promocji, a także ochrona prawa Hiszpanów do dostępu i swobodnego korzystania z tej tradycji. Bez walk byków naród hiszpański poniósłby potrójną stratę: ekologiczną, ekonomiczną i kulturową.

Darujmy sobie jednak wcale nie tak rzadkie uzasadnienia mistyczne, że oto ofiara byka ma przypominać nam, że jesteśmy śmiertelni. Według amatorów duchowej strony tego widowiska (które, powiedzmy sobie szczerze, czasem żaluje rzeźnię), człowiek musi uświadomić sobie, jak piękne jest życie, gdy wygrywa ze śmiercią. Korrida jednak musi kończyć się czyjaś śmiercią, bo inaczej byłaby kłamstwem.

ARGUMENTY PRZECIW TAUROMACHII

Zajmijmy się jednak argumentami drugiej strony, których nie sposób lekceważyć.

1) Każdego roku z powodu tych widowisk ginie od kilku do kilkudziesięciu ludzi. Wiadomo, że od 2000 r. śmierć poniosło ponad 130 osób. Rok 2022 zamknięto liczbą 23 ofiar śmiertelnych

w Hiszpanii. Rannych zapewne można liczyć na setki, jeśli nie na tysiące.

- 2) Każdego roku poświęca się średnio 12 tys. byków we wszystkich imprezach związanych z tauromachią. Takie są przynajmniej dane hiszpańskiego ministerstwa kultury, które według stowarzyszeń PACMA i FAADA są zaniżone, a bliższa prawdzie byłaby liczba 60 tys. (w prasie częściej można przeczytać, że rocznie poświęca się do 30 tys. byków). Dla porównania w innych krajach Ameryki Łacińskiej (z kręgu kultury hiszpańskiej) ginie ponad 250 tys. osobników. Tauromachia

Korrida, gonitwy z bykami i inne widowiska z udziałem tych zwierząt otrzymują w Hiszpanii dotacje z budżetu państwa, ale jednocześnie wytwarzają ogromne zyski – szacowane na powyżej 1 mld euro rocznie

to wbrew pozorom także śmierć wielu koni, których w samej Hiszpanii pada średnio 12 rocznie na arenie.

- 3) W korridzie zawsze celem matadora jest zabicie byka, a walkę uważa się za udaną tylko wtedy, gdy kończy się ona śmiercią zwierzęcia. W ostatnim akcie matador ma 10 min. na śmiertelnycios między łopatki, aby przeciąć mu rdzeń kręgowy. Po zabiciu byk jest ściągany z areny, zostaje powieszony do góry nogami, aby się wykrwawił. Nie jest też prawdą, że waleczny zwierzę, który zabija toreadora, zawsze miał szansę na ulaskawienie. Najczęściej hodowca zabija całą jego linię z matką włącznie, aby nie dopuścić do rozrodu tak bojowych osobników.
- 4) Tauromachia to nie kultura, ale tortura, wystarczy obejrzeć niektóre filmiki z korridy lub festynów z udziałem drażnionych, poniewieranych, otumanionych zwierząt. Przygotowanie byka do walki obejmuje też techniki wznecania

w nim agresji, strachu przez uciążliwe praktyki, tak aby hodowca owego byka nie usłyszał gwizdów publiczności i nie stracił na honorze. Zestaw narzędzi używanych do korridy obejmuje m.in. harpuny, banderille, czyli różnokolorowe patyki wbijane w byka, dziurkacz do „pikowania”, szpadę, rapier. Czerwona płachta – la muleta – też jest narzędziem tortury, bo wabi na śmierć.

- 5) Powód istnienia tauromachii to ogromny biznes i lobby, które wciąż chce utrzymać walkę byków jako Marca España. W Hiszpanii dzięki walkom byków nadal legalne jest torturowanie tych zwierząt, czerpanie rozrywki i jednocześnie zysków z ich cierpienia. Mówi się wiele o związkach polityków, zwłaszcza prawicy, z tym „elitarnym” widowiskiem.

Sprawa jest więc skomplikowana, choć nie dla nas, Polaków, którzy wypadają w europejskich statystykach na ponadprzeciętnych miłośników zwierząt. Nad Wisłą nawet cierpienie karpia przed wigilijną wieczerzą stało się już parę lat temu problemem niemal wagi państwowej i okazją dla różnych celebrytek do podejmowania krucjat w obronie świątecznej ryby (choć już zupełnie inne zdanie mają na temat zabijania nienarodzonych dzieci). Hiszpanie reprezentują tu jednak inną wrażliwość. Gdy wytknąć katolikom z Półwyspu Iberyjskiego ich nieco okrutną tradycję, potrafią cytować różnych księży, zaklinających: „Toreador wyraża wielką prawdę wiary, że święta godność życia ludzkiego jest radykalnie różna od godności wszystkich stworzeń”. Prawda jest jednak taka, że nawet watykańskie ekskomuniki i bulle nie zdołały zwalczyć tej hiszpańskiej namiętności.

Dla przykładu św. Pius V ogłosił w 1567 r. bullę „De salutis gregis dominici”, w której walki byków określił jako przedstawienia „właściwe nie dla ludzi, ale dla diabła”. Bulla ustanowiła również ekskomunikę dla książąt, królów lub cesarzy, którzy zezwolą na tauromachię, a duchownym zabroniono wstępu na te pokazy. Walka Kościoła z tym rytuałem to zresztą temat na oddzielny artykuł. Dość powiedzieć, że nikt nie zdołał przekonać Hiszpanów do porzucenia tej kontrowersyjnej tradycji. No cóż, chyba mają na to zbyt rogalną duszę.

Poczta Polska – wiarygodny i zaufany partner, na którego można liczyć

W perspektywie kilku najbliższych lat Poczta Polska ma szansę stać się liderem na rynku usług kurierskich i paczkowych. Jest to możliwe dzięki setkom milionów złotych, jakie firma inwestuje w nowoczesne rozwiązania. Jednocześnie narodowy operator pocztowy to przedsiębiorstwo, na które można liczyć w każdej sytuacji. Od 465 lat jest blisko Polaków, sumiennie służąc państwu i obywatelom

Poczta Polska intensywnie nadrabia dług technologiczny, który narastał przez pierwsze półtorej dekady XXI w. Setki milionów złotych, które są inwestowane w nowoczesne maszyny do sortowania przesyłek, modernizację i rozbudowę nowych hal, pozwolą skutecznie powalczyć poczcie o miano lidera na rynku usług paczkowych.



– Z punktu widzenia rynkowego i możliwości zyskania przewagi konkurencyjnej bardzo istotne jest posiadanie właściwie zaplanowanej sieci połączeń, optymalnie zlokalizowanych hal dostosowanych do lokalnych potrzeb oraz ich wyposażenie w nowoczesne sortery. Tego typu inwestycje odczują klienci, którzy mogą liczyć na dalszą poprawę najistotniejszych param-

etrów, takich jak terminowość – mówi Krzysztof Falkowski, prezes Poczty Polskiej.

Obecnie największe inwestycje spółki to umaszynowienia hal logistycznych. Wartość inwestycji w trzech sortowniach sięga 220 mln zł. Realizacja tego przełomowego przedsięwzięcia możliwa jest dzięki wsparciu Ministerstwa Aktywów Państwowych, które w 2021 r. dokapitalizowało Poczta Polska kwotą 190 mln zł.

ELEKTRONIZACJA KORESPONDENCJI ODPOWIEDZIĄ NA REGRES NA RYNKU LISTÓW

Na rynku tradycyjnych usług listowych obserwuje się stały trend spadkowy, co odpowiada tendencjom europejskim determinowanym rozwojem e-substytucji i ograniczaniem skali korespondencji przez masowych nadawców. Proces digitalizacji jest strategicznym kierunkiem rozwoju spółki.

Stopniowo wszystkie instytucje publiczne będą korzystać z tego wygodnego i szybkiego rozwiązania, które zrewolucjonizuje komunikację.

TRUDNA SYTUACJA OPERATORÓW POCZTOWYCH NA ŚWIECIE

Sytuacja operatorów pocztowych jest trudna w ujęciu globalnym. Austriacy dokonali redukcji liczby placówek. Występuje również trend corocznego zmniejszania liczby pracowników i placówek pocztowych w Niemczech. Poczta w Czechach podjęła decyzję o zamknięciu ponad 10 proc. oddziałów. Aby uniknąć bankructwa poczty, rząd Czech za-inwestuje równowartość 1 mld zł, a operator kolejną połowę tej kwoty ma pozyskać z kredytów. W Danii konwencjonalne placówki pocztowe w zasadzie nie istnieją, z uwagi na cyfryzację usług.

NA POCZTOWCÓW MOŻNA LICZYĆ

– *Sz szczególnie w mniejszych miejscowościach listonosz bardzo często jest najważniejszym łącznikiem instytucji publicznych z obywatelem. Nasi doręczyciele codziennie dostarczają skutecznie ok. 4 mln przesyłek. Polacy zamieszkujący każdy zakątek kraju mogą na nas liczyć, niezależnie od sytuacji.*

Wyплаты emerytur oraz świadczeń, takich jak 13 czy 14 emerytura, są i będą realizowane w terminie, ponieważ priorytetem jest dla nas zaufanie i wiarygodność – zaznacza Andrzej Bodziony, wiceprezes Poczty Polskiej, odpowiedzialny za logistykę.



Poczta Polska, zgodnie z obowiązującym prawem, jako jedyny taki podmiot zobligowany jest do utrzymywania placówek w całym kraju, których duża część przestała być rentowna. Nie są one likwidowane, ponieważ odgrywają ważną rolę dla lokalnych społeczności, szczególnie w małych miejscowościach i na wsiach.



Na jednym ze zjazdów PPS Leon Wasilewski mówił o konieczności „łagodnej rewolucji”. Replikę dostał od własnej córki Wandy Wasilewskiej, która zapowiedziała, że rewolucja będzie, ale krwawa. „I będzie czerezwyczałka, towarzyszu Wasilewski” – oświadczyła. Wyniesione z domu idee potraktowała z pełną konsekwencją

Fanatyczka



MACIEJ WALASZCZYK

Słuchając dzisiejszych – jak chcą o sobie mówić – progresywnych inteligentek okupujących uniwersytety i syconych finansowymi grantami, zastanawiamy się, ile spośród nich to dzisiejsze Wasilewskie lub Brystigierowe. Co znaczą forsowane przez nie reguły politycznej poprawności i „kultury unieważniania”, ale też wprowadzane do języka feminatwy i genderowy żargon?

Gdy Wanda Wasilewska znalazła się w Związku Sowieckim, państwo Stalina wznowiło w wielosettyśięcznych nakładach jej książki. Wasilewska, zgodnie z wymogami dzisiejszej cancel culture, gorliwie je cenzurowała, dodawała i usuwała nawet całe rozdziały. „Polskę” zastępowała słowem „kraj”, znikaly określenia „pan” i „pani”. Boże Narodzenie zastępowała „choinka”, „wesoła piosenka” „wesołą kolędą”. Z czasem zmieniła nawet swój styl literacki, nasączając go rosyjską składnią i rusycyzmami. Kiedy Stalin taktycznie odwoływał się do narodowej symboliki, polskich komunistów drażniły nawet takie nazwy jak Polska Partia Robotnicza czy Związek Patriotów Polskich.

Piotr Lipiński napisał nową, interesującą biografię komunistki, która marzyła, by Polska stała się sowiecką republiką. Ale

najciekawsze jest to, co robiła, zanim dała się poznać jako przewodnicząca Związku Patriotów Polskich.

DZIECKO REWOLUCJONISTÓW

Rozumiała tylko dwa uczucia: miłość lub nienawiść, była – jak pisał Aleksander Wat – jedną z „świętych Teres komunizmu”, fanatycznie wierzącą w sowiecki eksperyment. Jak mówiło o niej potem szef Związku Pisarzy Radzieckich Aleksander Fadiejew, „była radziecka w najgłębszej swej istocie, jeszcze zanim runęła Polska”.

Już podczas studiów imponuje jej ariński teolog Marcin Czechowicz swoją – jak pisała – „głębią wiary przechodzącą w fanatyzm”. Jest postacią absolutnie jednoznaczną, przykładem kobiety, którą konsekwentnie realizowane lewicowe idee

zaprowadziły do komunizmu, narodowej apostazji i uznania Związku Sowieckiego za swą ojczyznę. Tymczasem niepodległa Polska, z którą tak walczyła, nawet nie wsadziła jej do więzienia, choć kilkakrotnie była aresztowana. Jeden z przywódców PPS Adam Ciołkosz śmiał się, że „strzegły ją dobre wróżki”. Jej rodzice byli przecież dobrymi znajomymi wielu członków sanacyjnej elity, a ona córką Leona Wasilewskiego, współpracownika towarzysza „Wiktora” – Józefa Piłsudskiego.

Ojciec, działacz PPS, w czasie I wojny światowej kierował pionem propagandy w Naczelnym Komitecie Narodowym. Był też posłem z ramienia PPS, wiceprzewodniczącym Rady Naczelnej, szefem Instytutu Józefa Piłsudskiego, wykładowcą w Szkole Nauk Politycznych w Krakowie, działaczem ruchu prometejskiego. Podobnie jej matka Wanda, przez całe życie aktywistka PPS, a w czasie I wojny żołnierz Żeńskich Oddziałów Strzeleckich, kurier Oddziału Wywiadowczego i Brygady Legionów.

Wanda odebrała postępową edukację w szkole Marii Ramułtowej, różniącej się od każdej innej ówczesnej placówki nowoczesnym podejściem do wychowania. Wasilewscy nie darzyli szacunkiem Kościoła, a córkę dla formalności ochrzczili w obrządku ewangelicko-reformowanym. Chrzestnymi zostali wolnomularz i pisarz Andrzej Strug i Anna Jędrzejewska, żona Stanisława, znanego działacza socjalistycznego. Jak pisze Lipiński – sprawa oczywiście była czysto formalna, a nie duchowa, „w urzędach występowali jako kalwiński, w domu pozostali ateistami”. Od małego świadoma, że jej rodzice angażują się w działalność rewolucyjną, szybko uznała, że w nowej Polsce wyzwyskiwaczami i krzywdzicielami są... Polacy. Ojca, zajętego działalnością polityczną, nie było w domu. Kiedy miała 16 lat, napisała do niego list, w którym ostrzegała, że gdy urośnie i pójdzie w świat, on zostanie w jej pamięci jako ktoś strasznie daleki. „Jakby Tatus był, może i ja byłabym inna” – pisała.

BOJOWY CHRZEST

Polityczną inicjację przeszła w wieku 18 lat w listopadzie 1923 r., gdy w Krako-

wie wybuchły zamieszki przeciwko prawicowemu rządowi Witosa. W książce biograf Wasilewskiej pisał o krwawo stłumionym proteście robotniczym. Ona sama w specjalnym wierszu o ofierze jako „siewie, rzuconym w ziemię z którego kiedyś wyrośnie Wielka, szczęśliwa, radosna Proletariacka Ojczyzna”. Ale wśród ofiar było też 11 żołnierzy z 8. pułku ułanów, do których strzelali bojówkarze PPS, a stawką obalenie rządu i powrót Piłsudskiego do władzy.

Na studiach polonistycznych rzuciła się w wir działalności politycznej Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej,

Do Rady Najwyższej ZSRR kandydowała z plakatem „Ja, bywuszaja Polka”, bo z kraju „posepnego życia niewolników” trafiła do ojczyzny „swobody i życia”. Ale po przybyciu do Lwowa szybko upomniała się o zaległe honoraria za książki

gdzie poznała swojego pierwszego męża Romana Szymańskiego, studenta z rodziny kolejarskiej. Szymański zmarł po kilku latach. Szybko zastąpił go murarz Marian Bogatko, z którym długi czas żyła w bardzo egalitarnym konkubina-cie, uznając ostatecznie, że małżeństwo, podobnie jak Kościół, szkoła, praca są instytucjami, gdzie „władza patriarchatu spleta się z kapitałem”. Leonowi jednak brak formalnego małżeństwa przeszkadzał. „Z całego mojego świata Tatus okazał się najbardziej zacofaną osobą” – pisała. Wspierała organizowany przez męża strajk murarzy w 1932 r., który potem zainspirował ją do napisania czegoś w rodzaju powieści socrealistycznej, w której obok „świętych proletariuszy” żyją złe i zepsute majstrowe, damy i nauczycielki. W opinii Czesława Miłosza jako pisarka stała się proletariacką wersją Heleny Mniszkówny.

Jej powieści przypadły jednak do gustu Stalinowi.

Ciekawym epizodem jest jej udział w działalności teatru robotniczego w krakowskim oddziale Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, gdzie do spółki z Józefem Cyrankiewiczem (po wojnie przez prawie ćwierć wieku komunistycznym premierem) i Bolesławem Drobnerem wystawiono „Cjankalie” Friedricha Wolfa – rzecz o dziewczynie oskarżonej o dokonanie aborcji. Krakowska inscenizacja wystawiona w uniwersyteckiej auli wywołała skandal, bo w wypełnionej po brzegi sali odbył się symboliczny sąd nad obowiązującym wówczas w Polsce 231. paragrafem Kodeksu karnego zakazującym przerywania ciąży. W postać prokuratora wcielił się Drobner, obrońcami byli Wasilewska i Bogatko, a sędzią (to chyba nie przypadek) Cyrankiewicz.

Prowadziła odczyty w poradniach świadomego macierzyństwa, włączając się w działalność na rzecz legalizacji aborcji, którą faktycznie umożliwił w Polsce Stalin i Hitler. W 1926 r. jako studentka brała udział w manifestacji lewicy popierającej zamach majowy Piłsudskiego. Obok niej z podobizną naczelnika szła Lidia Ciołkoszowa. Zamach, poparty również przez komunistów i radykalne organizacje lewicowe, okazał się dla niej rozczarowaniem.

Skonfliktowała się wtedy z Adamem Ciołkoszem, który przeciwstawiał się lansowanej przez nią koncepcji współpracy PPS z komunistami.

Również dziecięca fascynacja ojcem przerodziła się w otwarty bunt. Leon stał się dla niej przeciwnikiem politycznym, tym bardziej że coraz mocniej fascynował ją Związek Sowiecki. Ojciec całe życie był wrogiem Moskwy, zarówno carskiej, jak i sowieckiej. Na jednym ze zjazdów PPS mówił o „łagodnej rewolucji”, ale gdy Wanda weszła na trybunę zjazdową ostro oświadczyła, że rewolucja będzie, ale krwawa. „I będzie czerezwyczajka, towarzyszu Wasilewski” – dodała.

W STRONĘ BOLSZEWIZMU

Jej zbliżenie do komunistów nastąpiło po przeprowadzce do Warszawy w 1934 r., gdzie zamieszkała, dzięki pomocy ojca,

Przewodnicząca Związku patriotów polskich Wanda Wasilewska przemawia do żołnierzy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki

Fot. PAP / C.A.F.



w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu. Również z PPS nikt nie miał odwagi jej usunąć – z uwagi na to, czyją była córka. Otoczenie robotników zamieniła na towarzystwo lewicowej inteligencji, podejmując pracę w Wydziale Wydawniczym Związku Nauczycielstwa Polskiego. W Warszawie została również wprowadzona w szczelne środowisko Komunistycznej Partii Polski, choć nigdy nie została jej członkiem. Zbiegło się to z nową strategią Kominternu, polegającą na infiltracji organizacji lewicowych, a działalność w ZNP, wydającym dziecięce pisma, okazała się do tego idealna. Organizacja była przeciwna chrześcijańskiemu wychowaniu, atakowała Kościoł i władze. W numerze 25 „Płomyka” z marca 1936 r. postanowiła przedstawić jeden z krajów świata – wybór padł na Związek Sowiecki. Co zresztą zbiegło się z ociepleniem relacji między Polską a państwem Stalina. Zarówno okładka, jak i zawartość okazały się peanem na część komunizmu i Związku Sowieckiego. Wybuchł skandal, słusznie zarzucano ZNP powielanie kalek propagandowych z sowieckiej prasy. Część nakładu skonfiskowano, a rok potem władze postanowiły przejąć kontrolę nad ZNP przy pomocy kuratora Piotra Musioła, równocześnie działacza RNR Falanga. Wasilewska zorganizowała strajk nauczycielski. Premier Sławoj Składkow-

ski zarzucił organizacji popieranie komunizmu, pacyfizmu i podważanie zaufania do władz państwowych, a manifestacje rozpędziła policja. Jednak pod presją m.in. lewicowej inteligencji (legionistki prowadziły pochód nauczycielski pod Belweder), sfer artystycznych, władze wycofały się z walki z ZNP.

Autor biografii Wasilewskiej przypomina ciekawe epizody z jej życia np.



Piotr Lipiński, „Wasilewska. Czarno-biała”, wyd. Czarne 2023

udział w odbywającym się w 1936 r. we Lwowie Zjeździe Pracowników Kultury w Obronie Wolności i Postępu, który przygotowała wspólnie z Julią Brystygierową, wtedy Preiss. „Pozdrawiam ukraiński Lwów w imieniu Warszawy” – wołała do delegatów. „Ukraiński” w jej ustach znaczył tyle co „sowiecki”. Obradujący, a wśród nich np. Maria Dąbrowska czy Tadeusz Kotarbiński, odpowiadali hasłami „Niech żyje twierdza pokoju – ZSRR”. Ale uczestników zjazdu dobrano w ten sposób, by nie pojawili się na nim – używając dzisiejszych pojęć – symetryści. Tacy jak np. Antoni Słonimski, który zwracał uwagę, że za pozwoleniem władz polskich można protestować przeciw „obozom koncentracyjnym” i „brunatnemu terrorowi”, ale nie wolno nawet wspomnieć, że w Sowietach też są „obozы koncentracyjne” i „brunatny terror”. Jak wspominał Ciołkosz: Polska trzęsła się z oburzenia na Berezę i tamtejsze metody, a w tym samym czasie w łagrach sowieckich osadzonych było 14 mln ludzi. Lecz Wasilewska milczała na ten temat. Na zaproszenie do Związku Sowieckiego nie wyjechała, bo rząd nie dał jej paszportu, a w 1937 r. Stalin rozwiązał KPP i wymordował większość jej działaczy, zamykając ostatecznie możliwość wstąpienia do partii.

SIECI

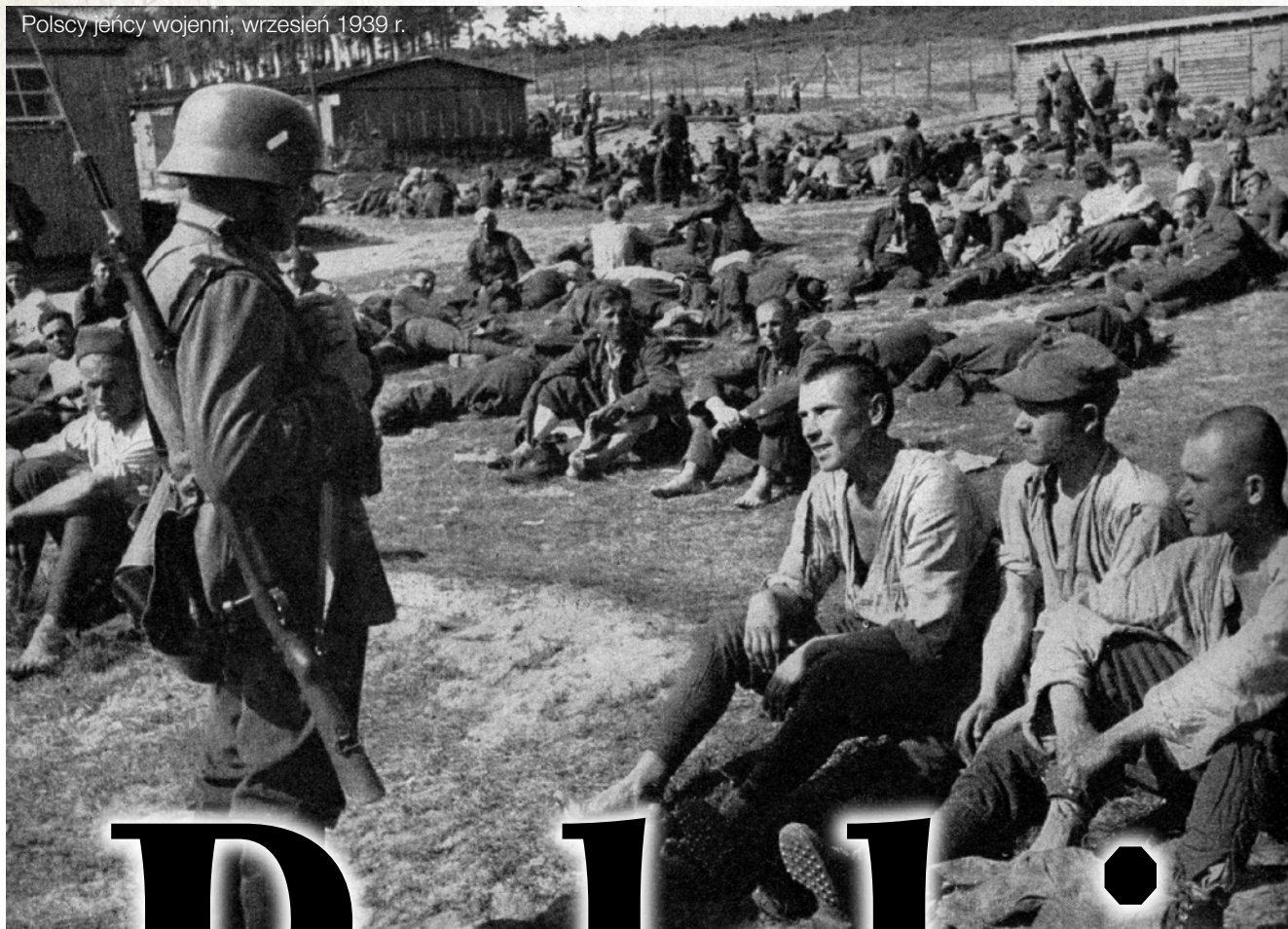
rocznica wybuchu
II wojny światowej

A photograph of a family visiting a memorial at night. A young girl in a blue hoodie stands on the left, looking at a dark stone memorial. A woman in a light blue shirt and a man in a blue jacket are kneeling in front of the memorial, lighting candles. A young girl in a blue and white patterned jacket stands between them. The memorial is inscribed with names and dates. The scene is lit by the warm glow of the candles.

Polska pamięć, NIEMIECKA NIEPAMIĘĆ



Polscy jeńcy wojenni, wrzesień 1939 r.



Fot. EAST NEWS

Polski miało nie być

Ikoniczna jest liczba 6 mln zabitych polskich obywateli. Mówimy o ogromnych liczbach, ale proszę pomyślmy o tych ofiarach bardziej indywidualnie, zobaczmy w nich naszych krewnych, bliskich, przyjaciół. Tego nie można zapomnieć

FOT. NA OKŁADCE DODATKU: EAST NEWS, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Z dr. hab. Grzegorzem Berendtem, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, rozmawia Marcin Wikło

Czy w możliwej do wyobrażenia przyszłości możemy spodziewać się, że II wojna światowa zostanie w końcu uznana za historię tak odległą, że zostanie odłożona na archiwalną półkę, czy będzie to wciąż wspomnienie bardzo żywe?

Grzegorz Berendt: Na pewno z momentem, gdy odejdzie pokolenie osób, które osobiście pamiętają II wojnę światową, konflikt ten zacznie być postrzegany tak, jak dzisiaj I wojna światowa czy wojny napoleońskie. To zawsze będzie wydarzenie istotne, ale już niebudzące takich emocji jak w opowieściach jego uczestników, którzy są w stanie oddać jego tragedię. Bo tak naprawdę to kontakt ze świadkami wojny wywiera największy wpływ na pokolenie powojenne.

A nie będzie nam trudno przyjąć, że te miliony zabitych ludzi staną się kiedyś wyłącznie statystyką?

Gdy bierzemy pod uwagę informacje o skali strat wynikających z wojny trzydziestoletniej w XVII w. w przypadku wielu części Europy (Czech czy ziem niemieckojęzycznych), to było one porównywalne do skali następstw II wojny światowej. A dzisiaj uczymy się o tym konflikcie sprzed 400 lat w szkołach i nie wywołuje on tak wielkich emocji. Podobnie stanie się z pamięcią o wydarzeniach z lat 1939–1945.

Czy emocje związane z II wojną światową są spowodowane przede wszystkim skalą tragedii, czy też tym, że dotknęła ona praktycznie cały świat?

Myślę, że jest różnie w różnych krajach. Na pewno w Polsce i w państwach ościennych to wspomnienie jest wyjątkowo dotkliwe, co wynika ze skali cierpień, strat osobowych i materialnych doznanych w czasie tego krótkiego jednak okresu. Ale np. Australia, Nowa Zelandia czy Stany Zjednoczone uciertały poprzez śmierć czy inwalidztwo żołnierzy, którzy na wojnę pojechali, ale te kraje

nie doświadczyły zagłady ludności cywilnej czy zniszczeń. Siłą rzeczy więc ten kontekst będzie inny niż w przypadku Polski, Ukrainy, Litwy czy Białorusi.

A może by domknąć ten temat brakuje rozliczenia sprawców? Może bez wypłacenia przez Niemcy Polsce reparacji, bez wyrównania tej krzywdy także materialnie, ta historia będzie się za nami ciągnęła przez lata i przeloży na kolejne pokolenia?

Mówi pan o sytuacji idealnej, której domaga się państwo polskie, a która absolutnie powinna mieć miejsce. Bo biorąc pod uwagę to, jak długotrwałe i dalekosieczne były dla nas konsekwencje tej wojny, ofiary powinny po prostu doświadczyć zadośćuczynienia. Tak się nie stało. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość, ale myślę, że sprawcy strat i tragedii będą starali się unikać odpowiedzialności do ostatniej chwili.

Niemcy mogą nas tak po prostu zbyć i powiedzieć, że nie ma tematu?

Na pewno mogą sprawę przeciągać. Dopiero niedawno Republika Federalna Niemiec wypłaciła odszkodowanie potomkom ofiar zbrodni w Namibii za dokonane w latach 1904–1907 ludobójstwo ludów Herero i Namaqua. Trwało to ponad 100 lat i skończyło się wypłatą na poziomie 1 mld euro. W przypadku Polski ta kwota musiałaby być oczywiście wielokrotnie wyższa.

Nasz raport, który został sporządzony bardzo ostrożnie, mówi o kwocie 6 bln 200 mld zł, które Polska powinna otrzymać od Niemiec.

Praktycznie każda polska rodzina doznała strat osobowych i materialnych. I musiała często od początku budować swoje powojenne życie. To także hi-



storia moich przodków. Tam, gdzie było gospodarstwo rodziców mojej mamy, została tylko spalona ziemia. Ta rodzina zaczynała niemal od zera. Niemal, bo mieli te parę hektarów gruntu, ale cały majątek musieli wypracowywać na nowo.

A przecież mówimy nie o jednostkowym przypadku, tylko o doświadczeniu setek tysięcy polskich rodzin i milionów osób. Do zmarnotrawionego prywatnego dorobku materialnego dodajmy zagrabiony lub zniszczony narodowy majątek w postaci dzieł sztuki i kultury. Ponad 67 tys. obiektów nadal jest poszukiwanych.

W zasadzie odpowiedział pan na pytanie, dlaczego nie powinniśmy Niemcom pozwolić na to, by poprzestali na dosyć rytualnych przeprosinach za wojnę i by nie poszły za tym dalsze, konkretne kroki, czyli wypłata pieniędzy.

Mamy oczywiście prawo się tego domagać, ale proszę zwrócić uwagę, na czym tak naprawdę polega podstawowy problem Polaków, jak i innych najejchanych państw w tej sprawie. Otóż przeciętny Niemiec nie ma najmniejszego pojęcia o skali okrucieństw zadanych przez jego rodaków innym narodom w latach 1939–1945. Ani w realiach powojennej okupacji, ani w czasie dwudzielnosci kraju, ani dzisiaj, aż do 2023 r., Niemcy nie uświadamiali swoich obywateli, ile milionów Polaków, Ukraińców, Białorusinów czy Rosjan zostało zamordowanych w czasie II wojny światowej. Znana jest im natomiast skala strat ludności żydowskiej i od ok. 40 lat mają świadomość, że zagłady dokonano także na ludności Sinti i Romach. W przekazie szkolnym i w mediach niemieckich, tych o szerokim zasięgu, nie ma żadnych danych o innych ofiarach okupacyjnych formacji niemieckich.

Bez tej wiedzy Niemcy nie mają więc poczucia konieczności wypłacania jakichkolwiek odszkodowań.

Rzeczywiście, patrząc na przestrzeń miejską współczesnego Berlina, pomnik ofiar Holokaustu jest, upamiętnieni są Sinti i Romowie, nieco ukryty w parku, ale jednak w centrum stoi monument pomordowanych członków mniejszości seksualnych. A pomnika niemieckich ofiar innych narodowości, w tym Polski, nie ma. Doczekamy się tego?

Żeby być precyzyjnym, strona niemiecka nawet wszczęła działania zmierzające do upamiętnienia w Berlinie polskich ofiar wojny, tyle że prace nad tym idą bardzo powoli. Nie spieszy im się.

Dlaczego dla nas, Polaków, historia II wojny światowej jest tak ważna i tak bardzo walczymy o tę pamięć?

Pierwszą i najważniejszą sprawą jest skala polskich strat, obok tego nie można i nigdy nie będzie można przejść obojętnie. Ikoniczna jest liczba 6 mln zabitych polskich obywateli. Dodajmy do tego 800 tys. osób, które doznały inwalidztwa fizycznego lub psychicznego w wyniku tego, co przeżyły w czasie wojny. To sprawiało, że w społeczeństwie polskim A.D. 1945 nie było rodziny, która nie mogłaby się określić jako ofiara II wojny światowej. Mówimy o ogromnych liczbach, ale proszę pomyślny o tych ofiarach bardziej indywidualnie, zobaczmy w nich naszych krewnych, bliskich, przyjaciół. Tego nie można zapomnieć.

Jaka byłaby Polska, gdyby nie II wojna światowa?

To ciekawe ćwiczenie dla wyobraźni. W tym miejscu nie można nie powiedzieć o skali wyniszczenia naszych elit społecznych. Odwiedzający Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku goście z zagranicy często nie mogą uwierzyć, że w Polsce zdecydowana większość osób z wyższym wykształceniem została zamordowana albo zmuszona do pozostania na emigracji.

Najpierw Hitler, a potem Stalin pozabawili Polskę przyszłości, mordując polską inteligencję.

Tylko w międzywojniu polskie uczelnie ukończyło z dyplomem ok. 80 tys. osób. Ten proces przyspieszał. W jednej z propagandowych książek niemieckich z 1940 r. zawarto informację, że w momencie niemieckiej agresji było 120 tys. Polaków z wyższym wykształceniem i są to dane z grubsza właściwe. Zestawmy je teraz z liczbą ok. 30 tys. Polaków po studiach, które odnotował pierwszy powojenny sumaryczny spis ludności na początku 1946 r. Ogrom tych strat, zadanych bardzo celowo przez okupantów niemieckich i potem sowieckich, jest porażający. Nie było przypadku w tym, że oni najpierw uderzali w elity. Chodziło o zamordowanie liderów oporu, ale też kilkudziesięciu tysięcy osób o wyższej kulturze umysłowej, z doświadczeniem państwowym, samorządowym. To był istotny etap na drodze do wynarodowienia tych pozostałych ponad 20 mln Polaków. Celem ostatecznym, częściowo tylko zrealizowanym, było to, by Polska przestała istnieć, już nie tylko jako podmiot państwowy, lecz także jako kategoria kulturowa.

Po 1945 r. obowiązywało hasło: „Nigdy więcej wojny” widoczne choćby na Westerplatte. Mija ileś lat i możemy się tylko zastanawiać, czy to hasło było utopijne, czy pamięć ludzka jest tak bardzo zawodna?

Bardzo dawno temu poznałem taką myśl, że na tym leż padole nie stworzymy raj, ale nie zwalnia nas to z obowiązku dbania o podnoszenie jakości życia i bezpieczeństwa. Nie sposób się z tym nie zgodzić. „Nigdy więcej wojny” to szlachetny postulat, którego co prawda nie udaje nam się laboratoryjnie wypełnić, ale jestem głęboko przekonany, że jednak pewne wnioski z II wojny światowej wyciągnęliśmy. Wiemy, że należy stawiać na drodze totalistom, agresorom, imperialistom. Wolny świat sprzeciwiał się Związkowi Sowieckiemu i jego akolitom po 1945 r., wolny świat także jednak się zmobilizował po 24 lutego 2022 r. i dlatego Ukrainą uzyskuje pomoc oraz skutecznie się broni.

Dzisiejsze sojusze są więcej warte niż te z 1939 r.?

Reakcja głównych graczy wolnego świata na rosyjską napaść na Ukrainę jest jednak inna niż polityka wobec Niemiec z 1938 czy 1939 r. Uważam więc, że lekcja przynajmniej w części została odrobiona, z pożytkiem dla naszych sąsiadów, ale też i dla nas.

Czy osoby, które dzisiaj odwiedzają Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, łatwiej przyswajają pokazywaną tam historię, widząc krwawe oblicze wojny na Ukrainie w zasadzie codziennie we własnym telewizorze?

Być może to jest wytłumaczenie faktu, że nie maleje zainteresowanie zarówno naszą placówką, jak i innymi muzeami zajmującymi się wydarzeniami z okresu tego konfliktu. Już dawno wróciliśmy do frekwencji sprzed pandemii, odwiedza nas coraz więcej osób z zagranicy. Odnotowujemy kolejne rekordy, jednego z lipcowego dnia odwiedziło nas ponad 4,5 tys. gości. Łączę oczywiście zwiększone zainteresowanie tematyką wojenną z obecnymi dramatycznymi wydarzeniami na Wschodzie.

Muzeum II Wojny Światowej to także Westerplatte, gdzie rozpoczęła się niemiecka agresja w 1939 r. Obiecano Polakom w tym miejscu nowoczesne muzeum pola bitwy z prawdziwego zdarzenia. Jak postępują te prace?

Mamy zamkniętą twardą budowę w dawnych pomieszczeniach elektrowni Wojskowej Składnicy Transytowej i wkrótce rozpocznie się tam montowanie wystawy stałej, prezentującej wybór zabytków archeologicznych odnalezionych podczas prac ziemnych na półwyspie od 2016 r. Jesteśmy w procesie wylaniania wykonawcy biura obsługi ruchu turystycznego i wyboru wykonawcy wystawy głównej, czyli aranżacji terenu. Drugie posiedzenie sądu konkursowego będzie miało miejsce w październiku i zwycięzca przystąpi wówczas do prac szczegółowych, wykonawczych. Wydaje się więc, że terminy, które zakresłono w programie inwestycyjnym, zostaną dotrzymane i do 2027 r. to nowoczesne muzeum plenerowe na Westerplatte powstanie.

1 września
nie zaczął się
rok szkolny.
Zaczęła się
wojna.



1939

84. rocznica wybuchu II wojny światowej

*PZL.37 Łoś
był bezsprzecznie
najnowocześniejszym
samolotem w polskim
lotnictwie wojskowym we
wrześniu 1939 r. On sam
i jego przewagi bojowe
do dziś są owiane legendą.
Ile jest w nich zasługi naszych
konstruktorów i lotników, a ile
wlewania otuchy w serca narodu
walczącego z niemieckim najeźdźcą?*

Szturmujący bombowiec

Lotnictwo niepodległej Rzeczypospolitej powstawało w oparciu o plany opracowane przez francuskiego płk. François Leveque'a. Został on oddelegowany do Polski w grudniu 1922 r., w ramach Francuskiej Misji Wojskowej. Objął funkcję szefa Departamentu IV Żegluga Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych. Jako dowódca polskiego lotnictwa zamierzał wzorować je na francuskim, ściągając sprzęt z Francji, adaptując tamtejsze regulaminy oraz wywodzący się z I wojny światowej system szkolenia.

W myśl doktryny Leveque'a polskie siły powietrzne miały tworzyć dwa typy samolotów – myśliwskie oraz liniowe, czyli lekkie konstrukcje pełniące jednocześnie funkcje rozpoznawcze i bombowe. Poza siłami zasadniczymi nasze lotnictwo powinno dysponować jeszcze 18 ciężkimi bombowcami. Te wielosilnikowe maszyny miały odstraszać agresorów możliwością ataku na ich miasta.

Koncepcja Leveque'a, uwzględniająca ograniczone możliwości odradzającego się państwa, została przyjęta i była realizowana przez Wojsko Polskie.



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

W 1926 r. na dowódcę polskiego lotnictwa został powołany płk Ludomił Rayski. Świadomy nie najlepszych właściwości francuskich aeroplanów postanowił wyposażać polskich pilotów w maszyny krajowej produkcji. Za jego kadencji powstały i zostały przyjęte do służby m.in. myśliwiec P.11 (1935 r.) i rozpoznawczo-bombowy PZL.23 Karaś (1936 r.).

Były to samoloty udane jak na swoje czasy i zgodnie z doktryną Leveque'a służące do obrony obszaru powietrznego Polski oraz bezpośredniego wsparcia pola walki na ziemi. Jednak w epoce szybkiego rozwoju lotnictwa w 1939 r. samoloty te należałoby zastąpić już nowocześniejszymi.

W spadku po swoich poprzednikach płk Rayski dostał przestarzałe i niemieszczące się w żadnym z polskich hangarów francuskie Farman F-68 Goliath. Te ciężkie bombowce nigdy nie zostały wprowadzone na wyposażenie polskich jednostek bojowych. Doraźną próbę stworzenia ofensywnych sił powietrznych stanowiło kupno licencji na budowę holenderskich Fokkerów F.VII. Wprawdzie była to maszyna pasażerska, ale w 1929 r. w Lublinie skonstruowano jej 20 wersji bombowych.

NARODZINY LEGENDY

W latach 30. XX w. w kręgach wojskowych całego świata bardzo popularna stała się teoria wojny powietrznej włoskiego gen. Giulia Douheta. W jej myśl potężne lotnictwo bombowe miało być w stanie niszczyć całe miasta, burzyć przemysł i dezorganizować komunikację przeciwnika, rzucając go tym samym na kolana i wymuszając kapitulację.

Płk Ludomił Rayski był gorącym zwolennikiem nowej koncepcji. Udało mu się przekonać przełożonych, że II RP nie powinna odstawać od światowej czołówki i idąc szlakiem wyznaczonym przez mocarstwa – znacząco rozbudować flotę bombowców z białą-czerwoną szachownicą. Oznaczało to odejście od obowiązującej doktryny, ale nie od samolotów polskiej produkcji. Z tym że rodzimy przemysł lotniczy nie produkował maszyn będącej typowym bombowcem. Nie produkował, ale...

Wczesną wiosną 1934 r. do warszawskich Państwowych Zakładów Lotniczych (PZL) wpłynęło zamówienie na projekt dwusilnikowego samolotu o zasięgu 1200 km z ładunkiem 20 bomb po 100 kg (z możliwością przenoszenia bomb o wadze do 300 kg). Miał osiągać prędkość ponad 350 km/h, dzięki czemu w założeniu byłby w stanie uciec wrogim myśliwcom.

Realizację zamówienia powierzono inż. Jerzemu Dąbrowskiemu, mającemu doświadczenie w konstruowaniu samolotów wyścigowych, i jego zastępcy inż. Piotrowi Kubackiemu. Pierwszy z nich miał ponoć rozmyślać nad projektem w kawiarni, gdzie jego uwagę przykuła skapująca z łyżeczki kropla kawy. Wzorując się na jej opływowym kształcie, opracował pierwsze na świecie skrzydło o przekroju laminarnym i zastosował je w powstającym prototypie.

Jeszcze w grudniu tego samego roku z desek kreślarskich PZL na biurka departamentu aeronautyki Ministerstwa Spraw Wojskowych (MSW) trafił projekt bardzo starannie dopracowanej aerodynamicznie maszyny. Awangardowy bombowiec, wykorzystujący nowatorskie rozwiązania – chowane podwozie, całkowicie metalowa konstrukcja, bomby przenoszone w lukach w centralnych częściach płatów i kadłubie – znalazł uznanie władz MSW, które przyznały fundusze na jego realizację. Rok później – 13 grudnia 1935 r. – pierwszy prototyp PZL.37 Łoś odbył swój dziewiczy lot.

W połowie 1937 r., po wprowadzeniu niezbędnych usprawnień wykrytych w trakcie oblatywania bombowca, ruszyła seryjna produkcja Łoś. Pierwsze z nich trafiły do służby w Wojsku Polskim w październiku 1938 r. – do eskadry treningowej, a jednostki liniowe wyposażano w nie od marca 1939 r.

POWSTAŁY Z POPIOŁÓW

Jak sprostać zadaniu zmierzenia się z legendą polskiego lotnictwa, nigdy nie widząc jej na oczy? Wojny nie przetrwał żaden z ok. 100 wyprodukowanych Łoś. Jedyne, czym dysponujemy, to jego silnik Pegaz XX, eksponowany w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Latem 1939 r. był on prezentowany w polskim pawilonie na światowej wystawie w Nowym Jorku. Po wybuchu II wojny światowej trafił w ręce prywatne, a do Polski powrócił dopiero w 2006 r.

W Dłutówku pod Łodzią, w miejscu awaryjnego lądowania strąconego 4 września 1939 r. Łoś, wprawdzie pasjonaci lotnictwa zbudowali pomnik-makiętę bombowca, jednak zastosowane w nim uproszczenia nie pozwoliły na idealne odwzorowanie maszyny, ale też nie taki cel przyświecał jego twórcom. W aktualnym wydaniu „wSieci Historii” (9–10/2023) opisuję historię związaną z tym miejscem.

Wciąż żywa i rozpalająca wyobraźnię legenda polskiego bombowca nie pozwala popaść mu w zapomnienie. Gdy trafia na odpowiedni grunt, potrafi wydać zadziwiające owoce. Idąc jej tropem, trafiłem do Mielca, drugiego po Warszawie miasta, w którym produkowano te samoloty. Na terenie tamtejszych Polskich Zakładów Lotniczych (PZL) dokonano czynu wręcz niebywałego – w 2012 r. Łoś powstał tam z popiołów.

Dopiero stojąc przed repliką samolotu, można w pełni docenić jego piękno. Smukła sylwetka i opływowe kształty o wiele bardziej kojarzą się z rączką wyścigówką niż ocieślałym bombowcem. Wrażenie pogłębia przyjemnie czekoladowe, błyszczące malowanie zgrabnej i mniejszej niż można by się spodziewać maszyny. Na żywo widoczny jest też szczegół najczęściej ginący na archiwalnych fotografiach. Cała powierzchnia poszycia jest gęsto usiana równomiernie rozłożonymi i idącymi wzdłuż kadłuba rzędami nitów. Mocują one wręgi i podłużnice z aluminiowymi pokryciami tworząc półkorupową konstrukcję płatowca. Pokrycie Łośa powstało przez łączenie mniejszych elementów, co uproszczało ich wykonanie i wymianę w razie uszkodzenia.

Na terenie PZL, gdzie stoi odtworzony Łoś, dzięki uprzejmości władz firmy spotkałem się z inż. Jakubem Skrzyptkiem, inicjatorem powstania repliki oraz jednym z jej konstruktorów – Tworząc nasz model sylwetkowy, bo do stworzenia repliki powinniśmy dysponować planami, oryginalnymi materiałami i wykonać ją na tych samych urządzeniach co oryginał, staraliśmy się odzwierciedlić kształty, gabaryty, wagę oraz wszystkie elementy zewnętrzne, tak by efekt finalny jak najbardziej oddawał wygląd przedwojennego Łośa. – mówił. – Planów nie mieliśmy, bo te się nie zachowały. Odtwarzając je, ponieważ korzystaliśmy z opracowań modelarskich i dokumentacji zdjęciowej z książki dr. inż. Andrzeja Glassa. Jako budulec posłużyły nam wycofane z produkcji materiały lotnicze, a oryginalne obrabiarki i inne urządzenia zostały utracone w trakcie wojny, stąd jedynie model sylwetkowy, a niestety nie replika.

Naiwnie spytałem, czy replika, cały czas mając nieodparte wrażenie, że stoję przed prawdziwym bombowcem, byłaby w stanie polecieć, gdyby zamontowano w niej silniki. Niestety, współczesny Łoś nie został aż tak dokładnie odtworzony – jego konstrukcja nie wytrzymałaby takich obciążeń.

– Nasz model swoją finalną formę w dużej mierze zawdzięcza ówczesnemu dyrektorowi Tadeuszowi Skubiszowi, który zgodził się na jego budowę, ale nie tak jak planowaliśmy z kolegą inż. Kazimierzem Nowakowskim w skali 1:4, tylko w rozmiarze rzeczywistym – opowiadał Jakub Skrzyptek, pytany o sam proces budowy Łośa. – Prace trwały dwa lata, z czego połowę zajęło projektowanie. Poza nami nad konstrukcją pracowało





W 1938 r. Łoś odbył serię lotów m.in. do Jugosławii i Francji. Dały one początek legendzie samolotu, ale też pozwoliły na pozyskanie zamówień z krajów południowej Europy. Ich realizację uniemożliwił atak Niemiec na Polskę w 1939 r.

Pomysłodawca powstania modelu Łoś inż. Jakub Skrzypek



ok. 70 osób. Pewne kontrowersje wzbudził jego kolor, a szczególnie błyszczące wykończenie, ale malowanie zostało odtworzone na podstawie blach wydobytych z miejsca rozbicia się Łośa w 1939 r., a przy określaniu ich oryginalnej barwy uwzględniliśmy czas i warunki, w jakich przeleżały one pod ziemią.

DZIECKO NA WOJNIE

Z inż. Jakubem Skrzypkiem rozmawialiśmy również o wojennych dziejach naszych bombowców. Z zamówionych do września 1939 r. 124 Łośi fabryki w Warszawie i Mielcu wyprodukowały ok. 100 płatowców. Nie były to jednak gotowe do lotu samoloty. Należało je jeszcze wyposażać, uzbroić, a przede wszystkim zamontować w nich silniki, co leżało po stronie wojska, które nie do końca sobie z tym radziło.

W momencie wybuchu wojny w pełni gotowych do boju miało być jedynie ok. 40 Łośi – z punktu widzenia inżynierii lotniczej konstrukcji znajdującej się nadal w dziecięcej fazie rozwoju i cierpiącej na typowe dla tego okresu przypadłości. Na skutek różnych usterek lub błędów pilotażu do tego czasu utracono osiem maszyn. Z każdego wypadku wyciągano wnioski i wprowadzano usprawnienia, ale na wyeliminowanie wszystkich wad zabrakło czasu. Wojna nie zamierzała jednak czekać. Piloci musieli latać na takim sprzęcie, jaki był dostępny. Część maszyn nie została wyposażona w przewidziane dla nich lotnicze karabiny maszynowe „szczeniaki”, zastępowane starszymi vickersami, inne nie miały sprawnych radiostacji, dla kolejnych zabrakło głównych zbiorników paliwa i musiały korzystać jedynie z tych zamontowanych w skrzydłach. Mimo wszystkich tych niedoskonałości do 16 września Łośie codziennie wzbijały się w powietrze, wykonując misje bojowe i rozpoznawcze.

Wydana w ostatnich dniach sierpnia dyrektywa Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych nakazywała używanie lotnictwa bombowego jedynie przeciwko niemieckim kolumnom wojskowym, lotniskom, składom bomb i liniom komunikacyjnym, jednocześnie zakazując atakowania fabryk, miast czy nawet składów paliw. Tym samym została zaprzeczona idea lotnictwa bombowego, którego głównym celem miało być przeniesienie wojny na teren przeciwnika i niszczenie na nim dużych, waż-

nych strategicznie obiektów. Średnie bombowce PZL.37 Łoś decyzją władz wojskowych w wojnie obronnej 1939 r. miały być wykorzystywane niezgodnie z ich przeznaczeniem – jako samoloty szturmowe. Poza wyjątkiem z 2 września, kiedy pojedynczy Łoś doleciał pod Opole i tam, na terenie Rzeszy, zrzucił bomby na transporty wojskowe na stacji kolejowej Vossowska (obecnie Fosowska, dzielnica miasta Kolonowskie), działania eskadr Łośi ograniczały się do bombardowania i ostrzeliwania przemieszczających się po centralnej Polsce jednostek Wehrmachtu.

Nową rolę pełniły ze zmiennym szczęściem, choć nie bez sukcesów. Choć zadanie ciężkich strat kolumnie czołgów i jej zatrzymanie 4 września w okolicach Wielunia było zwycięstwem jedynie propagandowym, nieznanym potwierdzenia w niemieckich dokumentach, to już dzień później o nadinterpretacji nie mogło być mowy. Pod Włoszczową klucz Łośi obficie obsypał bombami spore zgrupowanie wrogich czołgów, pozostawiając za sobą ich płonące wraki, a na północ od Warszawy, na drodze Maków–Różan, trzy PZL.37 sprawiły krwawą łaźnię zaskoczonych kolumnie haubic ze zmotoryzowanej dywizji SS „Kempf”.

W walkach powietrznych pozbawione myśliwskiej osłony polskie bombowce często padały ofiarą messerschmittów, ale w pojedynkach z nimi nie były bezbronne. – Tylni strzelcy dzięki zastosowaniu podwójnego usterzenia mieli wygodne pole ostrzału i uzyskiwali strącenia głównie myśliwców Me Bf 109 i Bf 110 – mówił Skrzypek. Znane są też przypadki ataku Łośi na niemieckie bombowce oraz balony obserwacyjne i ich strąceń.

Przytłaczającej przewadze Wehrmachtu nie mógł się przeciwstawić jeden nowy typ samolotu, szczególnie wymagający jeszcze usprawnień, trudny w obsłudze i pilotażu, obsługiwany przez nie do końca obeznane z nim załogi. Powiększający się wraz z upływającymi dniami wojny chaos działał wyjątkowo niekorzystnie na możliwości bojowe Łośi. Dyslokacje na małe polowe lotniska, w rzeczywistości będące trawiastymi łąkami, dla przystosowanych do takich warunków samolotów nie były problemem. Ale dla bombowców logistyka to podstawa. W efekcie zdarzały się sytuacje, kiedy Łośie startowały na misje z ograniczonymi możliwościami atakowania Niemców,

Pod modelem samolotu leżą dwie repliki 300 kg bomb, jakie przenosił on w lukach w umieszczonych w kadłubie



PZL.37 B Łoś

SIĘCI

Rozpiętość skrzydeł: 17,93 m
Długość: 12,92 m
Masa z wyposażeniem: 5 t
Udźwig bomb: 2 t
Prędkość maks.: 412 km/h
Pułap: 5900 m
Pułap bez bomb: 9250 m
Zasięg: 1000 km
Uzbrojenie: 3 karabiny maszynowe (przód, góra tył, dół tył)
Załoga: 4 osoby – strzelec, strzelec radiotelegrafista, pilot, dowódca pełniący też funkcje obserwatora, strzelca i bombardiera

bo nie wystarczało bomb. Nie dojeżdżało także paliwo, a nawet kiedy trafiało na czas, nie zawsze dało się go wlać do baków. Bo do tankowania Łosi konieczna była pompa ciśnieniowa – wlew benzyny konstruktorzy umieścili od spodu – a jej też czasami brakowało. Znany jest jeden przypadek zatankowania bombowca pompą pożyczoną od staży ogniowej. Najgorzej, kiedy na lotnisko polowe nie docierali mechanicy. Bez ich pomocy niemożliwe było usuwanie nawet nieskomplikowanych, ale uniemożliwiających latanie awarii, co skutkowało koniecznością porzucenia czy niszczenia możliwych do naprawy maszyn.

Zdradziecki atak ze strony ZSRS właściwie zakończył szlak bojowy polskich Łosi. Od 17 września piloci realizowali rozkaz ewakuacji wraz z maszynami do Rumunii, w której zostali internowani, a bombowce przejęła rumuńska armia.

W OBCEJ SŁUŻBIE

Wrześniowa klęska oznaczała dla Polski utratę m.in. całego sprzętu wojskowego, ale nie jego zniszczenie. Nasza broń, w tym ocalałe Łosie, miała teraz służyć obcym panom. Niemcy zdobyli dwa sprawne bombowce, wiele wraków i niedokończonych kadłubów w fabrykach w Warszawie i Mielcu. Najednej z maszyn zamalowali biało-czerwone szachownice swoimi czarnymi krzyżami i wystawiali ją w Rzeszy na wystawach sprzętu zdobycznego.

Sowieci przejęli trzy bombowce, które wylądowały na zajętych przez nich terenach. Oznakowali je czerwonymi gwiazdami i zabrali do Moskwy. Na miejscu zostały dokładnie przebadane, obfotografowane, rozebrane na drobne części, a każdą z nich zważono i opisano. Być może ta dokładna, pisana cyrylicą dokumentacja jest jeszcze do odnalezienia w jednym z kremlofskich archiwów. Niektóre z technicznych rozwiązań Łosi zostały wprowadzone do czerwoarmijnych konstrukcji.

Najwięcej, bo ponad 20, polskich bombowców przejęli Rumuni i wprowadzili na stan własnych sił powietrznych. Latanie samolotami bez osprzętu naziemnego, wyszkolonych mechaników i pilotów oraz bez dokumentacji technicznej sprawiało poważne problemy – najtrudniejszy do opanowania był ręczny system kierowania poborem paliwa ze zbiorników. Nieumiejętne sterowanie nim prowadziło do gaśnięcia silników w trakcie lotu i katastrofy. W Rumunii doszło do kilku.

W 1941 r. Łosie przemalowane w rumuński laciaty kamuflaż wzięły udział w ataku III Rzeszy i jej sojuszników na ZSRS, m.in. bombardowały Odesę. Piloci wystawili polskim maszynom

bardzo niepochlebne recenzje, skutkiem czego zostały one odsunięte od udziału w misjach bojowych. – Rumuni wykorzystywali je później do celów szkoleniowych jako ciągniki celów dla adeptów artylerii przeciwlotniczej – wyjaśniał Jakub Skrzypek.

Ostatnie Łosie zostały zniszczone na lotniskach przez niemieckie myśliwce po przejściu Rumunii na stronę aliantów w lipcu 1944 r. Według innej, mniej potwierdzonej wersji dwie polskie maszyny przetrwały wojenną zawieruchę. W latach 50. XX w. rumuńskie władze miały nawet zaproponować ich zwrot Polsce, ale PRL-owska wierchuszka odmówiła przyjęcia „relikwii miniojściwej epoki”, skazując je tym samym na zezłomowanie.

– Czy nie niszczy pięknej legendy Łosia, mówiąc, że jednak nie był on najlepszym bombowcem na świecie? – spytałem Jakuba Skrzypka. – Łosie są i bez względu na ich niedoskonałości legendą pozostaną. Legendą na tyle przekonującą, by skłonić wielu ludzi do podjęcia pracy nad przywróceniem samolotu do życia – zakończył konstruktor, wskazując na zbudowany pod jego kierownictwem model sylwetkowy.

* * *

Patrzmy na Łosia nie jak na samolot, ale jak na marzenie. Marzenie niepodległej Rzeczypospolitej o wielkości. Odrodzona po 123 latach niewoli Polska w krótkim czasie potrafiła zunifikować ziemie wydarte trzem zaborcom, odeprzeć bolszewicki najazd i wejść na ścieżkę błyskawicznego rozwoju. Jej przemysł wyprodukował samolot z powodzeniem mogący konkurować z maszynami ze światowej czołówki. Niestety, marzenie to zostało brutalnie podeptane przez dwa krwiożercze reżimy.

W innych okolicznościach Polska miałaby czas na rozwój i dopracowanie nie tylko PZL.37 Łoś, lecz także na wyprodukowanie jego następcy – PZL.49 Miś, który był już w zaawansowanej fazie projektowej, oraz zrealizowanie innych, nie tylko lotniczych projektów.

Marzenie naszych przodków jest nadal aktualne i tylko od nas zależy, czy je spełnimy.

Czy powstanie replika PZL.23 Karaś?

Po skonstruowaniu makiety PZL.37 Łoś inż. Jakubowi Skrzypkowi zaproponowano, by w ten sam sposób przywrócić do życia inną przedwojenną konstrukcję – PZL.23 Karaś, która również nie przetrwała do naszych czasów. Powstały wstępne plany budowy repliki, jednak prywatny inwestor się wycofał. By Karaś stanął przed jednym z muzeów, potrzebna jest wizja i fundusze, bo od strony technicznej przeszkód nie ma.

Witold Pilecki, bohater prawdziwy

Przypatrzmy się kilku obrazom z życia wielkiego Polaka. One pokazują, jak kształtował się jego charakter

„Średniego wzrostu, skromny, pogodny, dobrze ułożony, mówił mało, więcej słuchał. Miał zamiłowanie do rysunków; posługując się ołówkiem, węglem i kredkami, szkicował niezłe pejzaże” – tak Witolda Pileckiego zapamiętał mjr Włodzimierz Budarkiewicz, dowódca 4. szwadronu 26. Pułku Ułanów Wielkopolskich, w szeregach którego był przyszły ochotnik do Auschwitz.

DZIECIŃSTWO W CIENIU CHOROBY

Witold Pilecki urodził się w Ołońcu w północnej Rosji 13 maja 1901 r. Polska była wówczas pod zaborami. Wychowywał się z rodzeństwem w cieniu choroby ojca Juliana Pileckiego, leśnika po studiach w Instytucie Leśnym w Petersburgu. Ze wspomnień siostry Witolda Marii, spisanych w rodzinnej sadze, dowiadujemy się, że „życie w Ołońcu mogło się układać pogodnie, gdyby nie ciężki i trudny charakter ojca. W towarzystwie był lubiany i szanowany, odznaczał się ogładą i elegancją, przyjemnym sposobem bycia, prawością charakteru i dowcipem. W rodzinie natomiast przejawiał wszystkie złe humory, złość w sprzeczkach z mamą, przechodzącą w straszliwe krzyki i wściekłość. Dziecko nie miało prawa płakać, krzyknąć, powodować hałasu ani się nawet skrzywić”. Maria po latach podsumowała: „że życie nas nie zadeptało i nie zepchnęło poniżej poziomu, na którym

utrzymaliśmy się zawdzięczamy tylko szczęśliwym okolicznościom i ludziom dobrej woli, którzy przychodzili nam z pomocą, radą w chwilach załamывania się”.

Matka, Ludwika z domu Osiecimska, była przeciwwagą dla charakteru męża. Łagodna i dobra zajmowała się z troską domem i pięciorgiem dzieci. Budziła w rodzinie ducha patriotycznego, wynikało to z jej wychowania i tradycji powstańczych. „Mama czytała nam wieczorami bajki z »Bajarska polskiego«, a gdy podrośliśmy, wyjątki z »Trylogii« Sienkiewicza. Słuchaliśmy tej lektury z zapartym tchem, uzupełnianej wyjaśnieniami i komentarzem mamy” – wspominała siostra Witolda Pileckiego. Życie rodziny zmieniło się, gdy mama, chroniąc dzieci przez rusyfikacją, przeprowadziła się z nimi do Wilna.

CZŁOWIEK SILNEJ WIARY

„On do końca wierzył, że to wszystko jest w rękach Boga. To jest człowiek wielkiej wary. Tę wiarę wszczepił także nam. Wiara pomaga w życiu, rozwiązuje przeróżne problemy, także te życiowe” – mówiła o swoim ojcu Zofia Pilecka-Opułowicz. Za przykład może posłużyć wydarzenie z 31 grudnia 1918 r., kiedy swój chrzest bojowy miał 17-letni Witold Pilecki, żołnierz 2. batalionu piechoty dowodzonego przez



kpt. Mikołaja Zujewicza, w którego skład wchodziła 2. kompania harcerska, złożona z wileńskich skautów: „Odbieranie miasta Niemcom następowało dzielnicami. Najbardziej podniosłą dla mnie chwilą była noc sylwestrowa, gdy jako polski żołnierz i dowódca placówki pełniłem straż w Ostrej Bramie. Dostałem tego szczęścia, że pod polskimi znakami trwałem w miejscu, o którym Mickiewicz pisał tak tkliwie...”.

Wincenty Gawron wspominał, że Pileckiemu (jako Tomaszowi Serafińskiemu), kiedy opowiadał mu to wydarzenie w obozie w Auschwitz, „zadrgało serce, głos się załamał”: „Rozumiałem to dobrze, gdyż zdarzenie było wzniosłe, a służba święta. O Tomku, wierny polski żołnierz, nie na próżno w tym miejscu i w tym dniu pełniłeś wartę”. Bez wątplenia Witold Pilecki zapamiętał doświadczenie bliskości i obrony Matki Miłosierdzia do końca życia.

CHCIAŁ, ABY WSZYSTKO BYŁO PRAWDZIWE

Jak Witold Pilecki wychowywał z żoną dzieci w majątku w Sukurczach? „Wiedzieliśmy, że bez modlitwy nie można siadać do śniadania. Co rano trzeba było ojcu zdać raport: Pacierz zmówiony, łóżko posłane, zęby wymyte. Tatusiu, czekamy na śniadanie” – wspomina Zofia Pilecka-Optułowicz, która dodaje też, że rodzice w majątku w Sukurczach byli przykładem gościnności: „Nasz dom był zawsze otwarty dla ludzi, rodzice byli bardzo gościnni. Każdy, kto nas odwiedzał był gorąco witany, karmiony i mógł do woli odpoczywać, zachwycając się pięknem sukurczowskiej przyrody”. Andrzej Pilecki, zapytany, jakie przesłanie pozostawił mu ojciec, mówił: „Aby służyć innym. Kochaj wszystkich, wszystkim służyć. Ojciec chciał, aby wszystko było prawdziwe”.

TYLE CZŁOWIEK MÓGŁ I ZNACZYŁ, ILE BYŁ TEGO WART...

Witold Pilecki podejmował w swoim życiu działania wymagające wiele poświęcenia i odwagi. Po aresztowaniu kolegów z Tajnej Armii Polskiej we wrześniu 1940 r. dał złapać się niemieckim żołnierzom podczas łapanek na Żoliborzu, stając się dla kolejnych pokoleń legendarnym ochotnikiem do Auschwitz. Trafił do piekła, jakie stworzyli Niemcy. Rotmistrz utworzył tam jednak siatkę konspiracyjną Związku Organizacji Wojskowej, liczącą blisko 500 osób. Przesyłał stamtąd raporty do przełożonych – informując jako pierwszy – o masowej zagładzie Żydów i więźniów innych narodowości. Pracował tam również nad swoim charakterem, „przekuwając się wewnątrz”: „Jedni stacali się w bagno moralne. Inni rzeźbili w charakterach własnych jak w kryształach. Różniło nas ostrym narzędziem. Ciosy ostrzeżenie boleśnie wrzynały się – w ciała, w dusze, jednak znajdując pole do przeorania... To przerażanie się, kolejno przechodzili wszyscy. Jak pługiem rżnięta ziemia, częścią już przeoraną odkłada się na prawo w skibę uro-

dzajną – na lewo zostawała jeszcze ziemia, która w skibę dopiero w następnym cięciu przejść miała. Czasami tylko pług wyskakiwał na jakimś kamieniu wewnętrznym i zostawał kawał roli nieprzerobiony – jałowy – nieużytkujący skrawek, co całość roli psuł dysonansem... [...] Opadły z nas wszystkie tytuły... Dystynkcje, dyplomy zostały hen, tam daleko na ziemi... Staliśmy się tylko nagą wartością. Tyle człowiek mógł i znaczył, ile był tego wart” – pisał w słynnym „Raporcie Witolda” z obozu, w którym spędził dwa lata i siedem miesięcy.

RAPORT DO 2. KORPUSU O DUSZY NARODU

Witold Pilecki stworzył po wojnie siatkę konspiracyjną, która funkcjonowała w Warszawie przez 1,5 roku. O czym raportował do przełożonych z 2. Korpusu Polskiego? Z jednego z zachowanych meldunków widać było jego głęboką przenikliwość i troskę o przyszłość komunizowanej Polski i jej mieszkańców: „Jesteśmy pod całkowitą władzą sowieńców i nie trzeba się ludzić, że wszystkie ich sposoby i elementy akcji ujarzmiania mas wrogich ich systemowi będą zastosowane u nas. W interesie Narodu, a bezpośrednio Rządu RP jest ratowanie tych, których dosięgła łapa UB, a których ratować się da jeszcze. [...] Jeżeli proces niszczenia najlepszej części Narodu odbywać się będzie w tym tempie jak teraz przez okres kilkuletni, to w chwili obejmowania władzy w Polsce Rząd RP stanie wobec braku ludzi rozumiejących swe obowiązki w stosunku do państwa i przedstawiający odpowiedni poziom umysłowy i moralny. Obecnie masy Narodu, wtłoczone w system szalbierstw, zakłamania, gwałtu, oszustwa i panicznego lęku przed terrorem bezpieki – szybko się degeneruje, szybciej niż pod okupacją niemiecką. Trzeba będzie pracy lat i wysiłku, by Polak odnalazł swój właściwy stosunek do państwa”.

„Przez całe życie pracowałem dla Polski” – tymi słowami rozpoczął rotmistrz swój list do prezydenta Bolesława Bieruta z prośbą o ulaskawienie od wyroku śmierci. Napisał go 7 maja

1948 r., opisując na kilku stronach całe swoje aktywne życie na rzecz polskiej wspólnoty i bronił się przed bezpodstawnymi oskarżeniami: „Nigdy w świadomości mojej nie powstała myśl, że działanie moje jest szpiegostwem, gdyż nie działałem na rzecz obcego mocarstwa”. Torturowany Pilecki zachował lojalność wobec rządu londyńskiego, do końca trzymając się swoich zasad: „Oficer, który oczernia swój oddział macierzysty, zasłużył sobie u każdego na pogardę – nawet u samych oficerów śledczych”. Ważne w tym liście jest również świadectwo prawości charakteru i prawdomówności: „W ciągu roku nie wynikła żadna okoliczność, która by dowodziła, że mówiłem nieprawdę lub wprowadziłem w błąd oficerów śledczych”.

Żona rotmistrza Maria, prosząc prezydenta o łaskę dla męża, podsumowała jego życie: „Mieliśmy nie tylko miłość do jego osoby, ale i kult. Kochał Polskę i ta miłość przesłaniała wszystkie inne”. Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski i 25 maja 1948 r. 47-letniego Witolda Pileckiego zamordowano strzałem w tył głowy. Do dziś nie odnaleziono jego ciała.

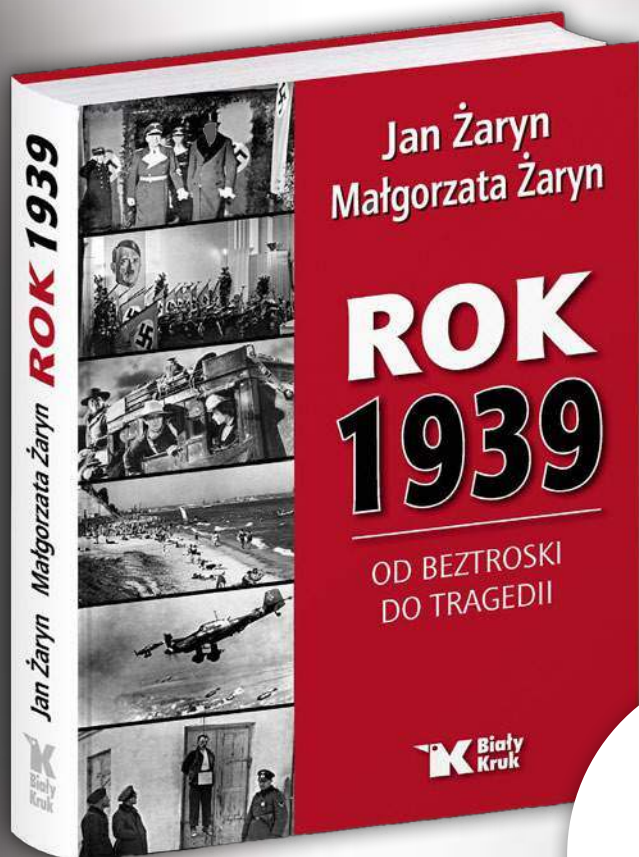


Jarosław Wróblewski
autor biografii Witolda Pileckiego
„Rotmistrz”, pracownik Muzeum
Żołnierzy Wyklętych i Więźniów
Politycznych PRL

**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ**

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Dla Polski rok 1939 był przedziwny. Naznaczony przez tragedię wybuchu II wojny światowej, a wcześniej pełen pozytywnych wydarzeń wpływających na dynamiczny rozwój II RP.

Jan i Małgorzata Żarynowie w wartkiej literackiej narracji rekonstruują tamten czas, pozwalając czytelnikom zrozumieć kontekst epoki, w której Polska odegrała główną rolę.

312 STR. | HISTORYCZNY BESTSELLER |
BOGATE ILUSTRACJE | TWARDA OPRAWA

125
książek
w prezencie

Książkę „Rok 1939. Od beztroski do tragedii” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **wSIECI HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Masz już wykupioną prenumeratę, a chcesz otrzymać tę książkę w prezencie?
Zamów kolejną prenumeratę pakietu Sieci + wSieci Historii na 12 miesięcy.
Uruchomimy ją, gdy skończy się Twoja obecna prenumerata, a książkę wyślemy już teraz.

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Niezlomny

Myślę, że on naśladował Chrystusa, zarówno w chęci poświęcenia się dla innych, jak i w postawie wobec zadawanych mu przez niemieckich, a potem ubeckich oprawców cierpień – mówi Krzysztof Łukaszewicz, reżyser filmu „Raport Pileckiego”

**Z Krzysztofem Łukaszewiczem, reżyserem filmu „Raport Pileckiego”,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadźworna**



„Staralem się tak żyć, abym w godzinie śmierci mógł się raczej cieszyć niż lękać”. W jakich okolicznościach Witold Pilecki powiedział te słowa? Czy były one kluczem do myślenia o bohaterze filmu?

Krzysztof Łukaszewicz: To z jednej strony credo, pod którym powinien podpisać się każdy chrześcijanin. Z drugiej – patrząc na czas, w jakim żył Pilecki, czas pogardy, zmagania ludzkości z dwoma najbardziej zbrodniczymi systemami w jej dziejach, faszyzmem i komunizmem – jego słowa odnoszą się do postawy żołnierza, niezłomnego bohatera. I czy się to będzie krytykom podobać, czy nie, takim był i chciał być Pilecki. Tego niezłomnego bohatera budował w sobie z pełną świadomością.

Powstaje pytanie o motywacje.

Naturalnie, było w tej postawie trochę próżności. Z tej pobudki w imię ocalenia członków jego siatki Pilecki podejmuje z UB rodzaj rozgrywki.

Także pewien rodzaj egoizmu – Pilecki przekładał służbę ojczyźnie ponad rodzinę – co w tamtych czasach było normalne. Dziś oceniamy już taką postawę nieco inaczej. Jednak walka o kraj jest bardziej efektowna, ciekawsza niż zmagania z codziennością na rzecz rodziny. Stąd w filmie scena, gdy jeszcze przed wojną Pilecki, choć ma uczucia ambiwalentne, to jednak zostawia żonę Marię w zaawansowanej ciąży i wyjeżdża na manewry do Łucka. Później ta sama postawa w przypadku decyzji pójścia do Auschwitz – Maria i dzieci przedzierają się przez sowiecki kordon, docierają do Pileckiego, aby być razem, a on jednak wybiera piekło kacetu kosztem zaopiekowania się rodziną. Można więc te cechy, próżność i egoizm, uznać za paliwo, którym nakręca się Pilecki... Jednakże przy ocenie postaci trzeba uznać także specyfikę czasów, w których funkcjonuje – w międzywojniu ojczyzna była najważniejsza, odzyskanie jej po latach zaborów stanowiło powód

do szczęścia dla milionów Polaków. Także jej utrata po katastrofie wrześniowej, jaką zgotowali nam do spółki agresorzy, jak i sojusznicy, była motywacją dla tych samych milionów Polaków do przedłożenia walki o odzyskanie niezawisłości ponad inne sprawy, w tym życie osobiste.

W jakich okolicznościach poznawał pan historię Witolda Pileckiego?

W 2004 r. asystowałem Ryszardowi Bugajskiemu przy realizacji spektaklu TV pt. „Śmierć rotmistrza Pileckiego”. Scenariusz wiernie odtwarzał mechanizmy śledztwa UB, rozprawy „niezawisłych” sądów, a także motywacje i życiorys samego Pileckiego.

Co pana szczególnie w tym życiorysie poruszyło, zainspirowało jako filmowca?

Jedna fotografia, odkryta w Wilnie, wpadła podczas tamtej realizacji w nasze ręce. Pozwana, w atelier, z bodaj 1919 r., przedstawiająca młodego Pileckiego, już w polskim mundurze, jego ówczesną narzeczoną i jeszcze jedną osobę, jakiegoś przyjaciela.

Pilecki zapatrzony w dziewczynę – czym w obraz, czemu ciężko się dziwić, bo dziewczyna naprawdę urodziwa, nawet jak na dzisiejsze standardy. Nie udało nam się odkryć, co się stało, że to narzeczeństwo się rozpadło. Ale może to ta młodzieńcza, niespełniona miłość ukształtowała w Pileckim wiecznego ryzykanta, idącego z jakąś dziwną determinacją na śmierć czy to w boju, w wojnie polsko-bolszewickiej, czy potem podczas II wojny w konspiracji? Jak już wspominałem, postawy patriotyczne wśród podobnych Pileckiemu zbudowała Polonia Restituta. Acz te dodatkowe motywacje, o których wcześniej mowa, są dla filmowca zdecydowanie bardziej pociągające.

Podczas ostatniego widzenia z żoną rotmistrz miał powiedzieć: „Ja już żyć nie mogę, mnie wykończono, Oświęcim to była igraszka”. Jak pokazaliście w filmie oprawców z Rakowieckiej?

Mamy tu por. Chimczaka (Mariusz Jakus) i plk. Różańskiego (Karol Wróblewski). Traktują oni Pileckiego jako kolejne zadanie do zrealizowania. Nie szukaliśmy w nich ludzkich odcieni. Oni w pracy się takimi uczuciami nie afiszowali. Byli elementami bezdusznej maszyny represyjno-śledczej władzy „ludowej” i tak zostali w filmie ukazani.

Dlaczego Bolesław Bierut, Józef Cyrankiewicz nie zgodzili się na ułaskawienie rotmistrza?

Ułaskawienia były wtedy niewygodne dla ludzi u władzy, w większości zaszczepionych przez sowieckichzydentów konformistów. Potem trzeba byłoby się tłumaczyć... Tak samo nie ułaskawiono generała „Nila”. Paragraf spiskowania przeciw władzy

...i właśnie jemu tę pewność realizacji zawdzięczam. Już w „Karbali” dzięki jego wsparciu mogliśmy uzyskać to, co forsuje każdy producent: maksimum efektów przy minimum czasu. Efekty były, sądząc po ówczesnych recenzjach i opiniach z branży, niezłe. To Arek namówił mnie na traktowanie scen batalistycznych masterowo – a więc układanie jak najdłuższych, obejmujących akcję zawartą w opisie sceny ujęć, z aktorami, kaskaderką i możliwą pirotechniką zamiast dzielenia scen z uwagi na efekty. Tę metodę stosuję do dzisiaj i uważam, że z niezłym skutkiem. Batalistyki takiej nie sposób porównać z tą z kina amerykańskiego, o budżetach także nieporównywalnych, a jednak na ekranie to się broni.

Wróblewskiego (Józef Różański) i Pawła Paprockiego (Józef Cyrankiewicz).

Paulina otrzymała przestrzeń jako postać niemal równoważna Pileckiemu, podejmująca beznadziejną, ale jednak walkę o wyrwanie męża z rąk bezpieki. Absolutnie poruszająca. Mariusza Jakusa poprosiłem o ekspresję fizycznego znużenia śledztwem. Karola Wróblewskiego – o podejście w kontrze, przyjazne, jego bohater powinien darzyć Pileckiego nutą empatii. Paweł Paprocki trzyma emocje na wodzy, jednak subtelными środkami okazuje strach, bo nie wie, co też Pilecki mógł na jego temat napisać w raporcie, czy to zburzy wizerunek Cyrankiewicza jako nieustraszonego przywódcy ruchu oporu w Auschwitz...



„ludowej” z bronią w rękę wystarczał do potraktowania skazanego z całą bezwzględnością.

Biografia rotmistrza – tu nikt nie ma wątpliwości – to materiał na wiele filmów o hollywoodzkim rozmachu i niemałych producenckich ambicjach. Co okazało się najtrudniejsze realizacyjnie?

W rodzinnych warunkach produkcyjnych zrealizowałem wojnę w Iraku („Karbala”), obronę Grodna („Orleń”), bitwę pod Grunwaldem (serial „Jagiellonowie”) i w tym roku bitwę o Monte Cassino („Czerwone maki”). Nie ma rzeczy najtrudniejszych realizacyjnie.

Miał pan u boku znakomitego autora zdjęć Arkadiusza Tomiaka...

Nie byłoby tego filmu bez rtm. Pileckiego i aktora, który gra tę postać, niemal nie schodząc z ekranu.

Przemek Wyszyńskiego uważam za trafny wybór. Włożył w tę rolę dużo wysiłku, fizycznego i psychicznego. Dał się pięknie poprowadzić, jako postać, która wchodzi w rozgrywkę z bezpieką, nie spodziewając się, jak bezwzględny to przeciwnik. I potem, raz za razem, jego Pilecki staje się niezłomnym wyklętym. Im mocniej go gnębią, tym silniejszy się staje.

Kluczowi w tej historii są też bohaterowie grani przez Paulinę Chapko (Maria Pilecka) oraz wspomnianych już Mariusza Jakusa (Eugeniusz Chimczak), Karola

Brytyjski historyk prof. Michael Foot zaliczył Witolda Pileckiego do grona sześciu najodważniejszych ludzi ruchu oporu podczas II wojny światowej. Jak by pan scharakteryzował rotmistrza?

Myślę, że on naśladował Chrystusa, zarówno w chęci poświęcenia się dla innych, jak i w postawie wobec zadawanych mu przez niemieckich, a potem ubeckich oprawców cierpień. Stąd też w filmie pasywne ujęcie scen katowania Pileckiego w UB.

„O naśladowaniu Chrystusa” Tomasz à Kempis – to książka, która trzymała Pileckiego przy życiu zarówno w Auschwitz, jak i potem, w więzieniu UB. Książkę tę podczas ostatniego spotkania z Marią nakazał czytać swoim dzieciom. ▶

Łatwo być katem? Zobaczcie „Eksperyment Belko”

Eksperyment Belko”, amerykański film z 2016 r., chodził za mną od jakiegoś czasu. Nie pamiętam, aby wszedł kiedykolwiek do polskich kin, widziałem go już kiedyś w telewizji. Teraz wrócił dzięki kanałowi TV6, jednemu z narzędzi medialnych Zygmunta Solorza.

Niby takich filmów klasy B jest na pęczki. Grupę ludzi poddaje się okrutnemu eksperymentowi, ciemne siły bawią się ich losem. Niektóre są dla mnie nie do zniesienia, jak kolejne produkcje z cyklu „Piła”. Żadnej nie obejrzałem w całości – są ponad moją wrażliwość i mój żołądek. Nie odrzucam przemocy w kinie, ale z wiekiem staję się nią coraz bardziej zmęczony. Popisy sadyzmu na ekranie są może substytutem przemocy realnej, swoistym odgromnikiem. Ale ani nie wiem, czy naprawdę ją zastępują, ani nie mam ochoty...

Dlaczego więc ten obraz akceptuję i jakoś się nim przejmuję. To dzieło speców od kina popularnego: Jamesa Gunna („Strażnicy galaktyki”, „Legion samobójców”), który napisał scenariusz, i Grega McLeana („Wolf Creek” „Duchy kanyonów”), reżysera. Schemat jest prosty: w Kolumbii tajemnicza korporacja instaluje odosobniony biurowiec z grupą korpuludków sprowadzonych z USA. W odpowiednim momencie odcięci od świata pracownicy dowiadują się, że grozi im śmierć. Żeby się ratować, mają zabijać kolegów z biura. Groźba jest realna...

Pomysł naturalnie fantastyczny, a jednak pokazuje się nam tę sytuację z pewną troską o logikę i realia. Tych ludzi jest aż 70, ale autorzy znajdują sposób, aby nie rozciągając nadmiernie wstępu, zaprezentować całkiem sugestywnie charakterystykę niektórych z nich. Pytanie jest naturalnie proste: kto wybierze los kata zamiast ofiary? Z filmu wynika, że większość staje się ofiarami. Ale czy nie dlatego, że nie umieją zabijać? Garstka z powodu wcześniejszych umiejętności lub szczególnych skłonności zaczyna „polować”. Są nawet tacy, którzy się wahają, co do wyboru swojej roli.

Dotykamy nieśmiertelnych pytań o ludzką naturę.

O to, jak dalece człowiek jest w stanie poświęcić własne zasady, żeby ratować siebie. To nie tylko dylemat takich popularnych, zwawych fabulek. Na przykład wojny obfitują w sytuacje graniczne. Czasem tak potworne, że są przed nami po trosze skrywane. Gdybyście opowiedzieć prawdziwą historię Auschwitz, i nie chodzi tu o okrucieństwo esesmanów, a o decyzje więźniów, najrozmaitsze, czasem wręcz odruchowe... Na ekrany wejdzie lada dzień film o rtm. Pileckim. Zaglądamy tam w głąb potworności obozu koncentracyjnego, ale nie tych największych.

W „Eksperyment Belko” paradoks polega na tym, że pokazuje się nam ludzi nieotrzaskanych na ogół ani z zabijaniem, ani z gwałtowną śmiercią. Znamy słynne doświadczenie, w którym zwykłych obywateli podzielono na więźniów i kławiszys. Ale tu podział musi być dokonany samoistnie i bardzo prędko. Mamy konfrontację zwolennika świętości życia Mike’a (John Gallagher), który robi wszystko, aby zachować swoje zasady. Na koniec też będzie zabijał, ale tych złych. Jego antagonistą jest dawny oficer Norris (Tony Goldwyn), który zmienia się w głównego kata. Może to przeciwstawienie jawi się jako zbyt proste. A jednak dreszcz nas (mnie) przechodzi na myśl o takich wyborach.



Wyborach, których w pokojowych czasach, powtórzę, kompletnie nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Także w stosunku do samych siebie. Czy odezwałyby się skrupuły mimo zagrożenia własnego życia? Czy to tylko kwestia umiejętności? Film kończy się cokolwiek fantastycznie. Dowiadujemy się, że komuś zachciało się eksperymentować. Ale czy dowiemy się komu? To zarazem zakończenie otwarte. Bo nie ma dobrej odpowiedzi? Bo potrzeba dalszego ciągu?

Piotr Zaremba



„Raport Pileckiego” trafia do kin

We wrześniu na ekrany kin trafi „Raport Pileckiego” w reż. Krzysztofa Łukasiewicza – jeden z najbardziej wyczekiwanych filmów polskiej kinematografii. Za produkcję dzieła odpowiedzialna była Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przy koprodukcji Telewizji Polskiej, a wśród podmiotów, które wsparły produkcję, największy wkład finansowy miała Polska Fundacja Narodowa

Cztery lata temu PFN zaangażowała się w produkcję filmową »Raport Pileckiego«, ponieważ jego idea wyraża nasze główne cele – włączanie historycznych, fundamentalnych zagadnień, do istotnego, międzynarodowego dyskursu publicznego. Rtm. Witold Pilecki w polskiej świadomości jest bohaterem równym antycznym herosom. Jego niezwykła biografia, człowieka walczącego z dwoma totalitaryzmami XX w., dzięki polityce historycznej staje się rozpoznawalna w Polsce i za granicą. Film »Raport Pileckiego« to próba przedstawienia bohatera, męczennika, także w prywatności, przez pryzmat kochającego męża i ojca. Naszym wspólnym celem jest ukazanie rotmistrza nie tylko jako patrioty, lecz także jako przykład miłości do rodziny. Innymi słowy film stanowi godną zapamiętania i refleksji opowieść o człowieku niezwykłym: ochotniku do Auschwitz” – mówi dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej, która wsparła powstanie obrazu. Produkcja otrzymała też dofinansowanie ze środków MKiDN oraz PISF. „Raport Pileckiego” to nie pierwsze dzieło filmowe sygnowane marką fundacji. PFN od lat wspiera polską kinematografię, stawiając na filmy historyczne. W tym gronie znalazły się takie produkcje jak „Filip”, „Śmierć Żygielbojma” oraz „Orlęta. Grodno '39” czy powstające „Czerwone Maki” i „Skarbek” (ang. „The Partisan”), jednak to właśnie „Raport Pileckiego” stanowi ukoronowanie dotychczasowych działań w sferze filmowej.

„Cieszę się z faktu, że taki film powstał i że mogliśmy jako Polska Fundacja Narodowa przyczynić się do jego realizacji. Nie wątpliwie jest to film bardzo potrzebny i oczekiwany. Z jednej strony to dobrze, ponieważ nadaje to sens naszej pracy i temu, czym zajmujemy się w Fundacji, z drugiej jednak wiadomo, że

dużym oczekiwaniom towarzyszą z reguły też duże wymagania. Z pewnością nie jest to obraz lekki, łatwy i przyjemny, bo i nie taka jest jego tematyka. „Raport Pileckiego” porusza tematy trudne, niejednokrotnie takie, które dziesięciolecia przeleżały zamiecione pod dywan. Warto przy tym pamiętać, że historia Pileckiego to gotowy materiał na nie jeden, ale kilka filmów akcji. Zamyśl towarzyszący produkcji filmu był taki, by pokazać Pileckiego nie tylko jako osławionego rotmistrza i bojownika za wolność, lecz także jako człowieka z krwi i kości, czułego męża i ojca” – podkreśla wiceprezes PFN Michał Góras, który ze strony fundacji odpowiadał za nadzór realizatorski nad filmem.

Tytułowy raport to nawiązanie do jednego z najbardziej brawurowych czynów rotmistrza – przeniknięcia w charakterze ochotnika do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz i jego dokładnej infiltracji, zwieńczonej następnie spektakularną ucieczką. Zgromadzone przez Pileckiego podczas trwającej 947 dni niewoli dowody pozwoliły na upublicznienie niewyobrażalnej skali zbrodni, jaka działa się za murami obozu. W filmowego rotmistrza wcielił się Przemysław Wyżyński, któremu na planie towarzyszyli m.in. Paulina Chapko, Marek Jakus, Karol Wróblewski i Paweł Paprocki. Za zdjęcia do filmu odpowiadał Arkadiusz Tomiak PSC, za scenografię – Joanna Macha i Anna Anosowicz. Całości dopełnia niesamowita muzyka Michała Lorenca. 25 maja br., w 75. rocznicę śmierci Witolda Pileckiego z rąk komunistycznych oprawców, w Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie odbył się przedpremierowy pokaz filmu. We wrześniu obraz powalczy o nagrodę główną podczas 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

A po wyborach potop?

Zbliżające się wybory zadecydują o istnieniu polskiego państwa. Suwerenności chcą nas pozbawić unijne elity, równie groźne byłoby zdobycie władzy przez środowiska polityczne dążące w niedawnej przeszłości do resetu z „Rosją taką, jaka ona jest”. Jednak w mojej perspektywie jeszcze gorsze konsekwencje może przynieść atak na rodzinę i wiarę. Bez państwa potrafiliśmy przetrwać nawet przez sześć generacji, spełnienie w Polsce postulatów rewolucji obyczajowej, która zmiażdżyła już społeczeństwa zachodnie, doprowadzi w ciągu jednego, może dwóch pokoleń do rozbitcia naszej wspólnoty.

Wojnie politycznej towarzyszy równie ważna wojna kulturowa, ale o naszych losach zadecyduje zwycięstwo w konflikcie cywilizacyjnym. Nad wszystkimi tymi zmaganiem toczy się bój duchowy, więc w walkę o przetrwanie Kościoła zaangażowane są moce, o których niewiele wiemy.

Październikowe wybory są tak istotne, ponieważ wyraźnie widać, iż rewolucja kulturowa słabnie. Zyskanie kolejnych czterech czy ośmiu lat może być kluczowe dla istnienia Polski jaką znamy. Rewolucja pożera swoje dzieci. Niegdysiejsi jej bohaterowie, jak J.K. Rowling, są dziś bezwzględnie zwalczanymi wrogami. Na jaw wychodzą sprzeczności pomiędzy różnymi rewolucyjnymi nurtami. Kolejne państwa wycofują się z masowej promocji operacji zmiany płci ze względu na rosnące koszty społeczne tych działań. Na Węgrzech przyjęto ustawę zakazującą udostępniania nieletnim jakichkolwiek treści przedstawiających lub promujących homoseksualizm, a także operacji korekty płci. Sąd Najwyższy USA przyznał rację katolickiej organizacji z Filadelfii: zgodnie z konstytucją może

odmawiać parom homoseksualnym adopcji dzieci. Parlamenty kilku krajów pracują nad prawnymi ograniczeniami dostępu do pornografii. Są szanse, że Wielka Brytania stanie się pierwszym krajem na świecie, który wprowadzi prawną ochronę dzieci w tej dziedzinie. Rząd Francji ogłosił blokadę czołowych stron pornograficznych, jeśli nie wprowadzą one weryfikacji wieku. Wcześniej taką decyzję podjęli Niemcy. Działająca na Węgrzech Fundacja dla Tęczowych Rodzin została ukarana za

Bez państwa potrafiliśmy przetrwać nawet przez sześć pokoleń, spełnienie w Polsce postulatów rewolucji obyczajowej, która zmiażdżyła już społeczeństwa zachodnie, doprowadzi w ciągu jednego, może dwóch pokoleń do rozbitcia naszej wspólnoty

dystribucję książki dla dzieci prezentującej kłamliwy obraz rodziców jako dwóch mężczyzn. Planned Parenthood, największa organizacja aborcyjna w USA, nie będzie mogła prowadzić zajęć z edukacji seksualnej w szkołach stanu Iowa. Kolejne państwa ogarnia rozpoczęta w Polsce kontrrewolucja prawna, owocująca zwiększoną ochroną poczętych dzieci. Dogmat nieuchronnego postępu został zakwestionowany, każdy może dostrzec, że nie ma żadnego ducha czasów, jest zaś rewolucyjna socjotechnika.



ROBERT TEKIELI

Co stanie się, jeśli w październiku wybory wygrają środowiska polityczne uważające Polskę za zaścianek, który trzeba przebudować na wzór zdechrystianizowanych społeczeństw zachodnich? W ciągu dwóch, trzech lat po wyborach zostaną prawnie usankcjonowane wszystkie zdobycze rewolucji, których wprowadzanie zajęło europejskiej i amerykańskiej lewicy ostatnie pół wieku. Na wszelki wypadek. Edukatorzy seksualni wejdą do szkół i przedszkoli. Ruszy przemysł aborcyjny i tranzycyjny, a swoje fantazje zaczną realizować ludzie tacy jak Michael Swift, który w 1987 r. w artykule zatytułowanym „Gay Revolutionary” wieszczył: „Będziemy sodomizować waszych synów, emblematy waszej kruchej męskości, waszych płytkich marzeń i wulgarnych kłamstw. Będziemy ich uwodzić w waszych szkołach, w waszych internatach, w waszych siłowniach, w waszych szatniach, w waszych halach sportowych, w waszych seminariach, w waszych grupach młodzieżowych, w toaletach sal kinowych, w barakach waszych armii, na waszych przystankach dla ciężarówek, we wszystkich waszych męskich klubach, w waszych domach Kongresu, gdziekolwiek mężczyźni są razem z mężczyznami. Wasi synowie staną się naszymi podwładnymi i będą wykonywać nasze rozkazy. Zostaną oni przekształceni na nasz obraz”.

Ta wojna idzie na poważnie. 

Warte Lubię, gdy autora stać na frazy ozywające wyobraźnię. „Karuzela stanowiła najefektowniejszy punkt na zaniedbanym i obskurnym deptaku przystani. Deptak był zniszczony i obskurny od czasów, gdy moi dziadkowie byli dziećmi. Powietrze lepiło się od mdłego zapachu waty cukrowej, aromatu, który nie istnieje w naturze i można tylko opisać go jako »różowy«”. Któż w dzieciństwie nie czuł tego różowego zapachu?

„Gaz do dechy” Joe Hilla to zbiór 13 opowiadań fantasy, w tym dwóch napisanych wspólnie ze Stephenem Kingiem. Warto go przeczytać choćby dla jednego z nich zatytułowanego „Spóźnialscy”, w którym Hill, korzystając z pretekstu, jakim jest motyw podróży w czasie, tworzy gęstą, słodko-gorzką prozę, po prostu pierwszorzędą literaturę. Pełna emocji, zmuszająca do refleksji i do spojrzenia na siebie i swoje relacje, te trwające jeszcze i te zawalone. Pozostałe opowieści proponują mniej lub bardziej oryginalną fabułę, jednak nigdy nie dają powodów do czytelniczego zniecierpliwienia. Istnieje oczywiście pewien schemat w doborianiu wątków kolejnych nowel, ale Hill nigdy nie spuszcza z tonu. Nie nudziłem się, czytając, ani przez chwilę.

Zbiór „Gaz do dechy” warto przeczytać nie tylko, a może nawet: nie głównie ze względu na Kinga. Trzeba jedynie z wyrozumiałością zlekceważyć dwie czy trzy skrajnie głupie frazy Hilla, takie jak ta: – „Wietnam nauczył go, że wojsko będzie palić napalmem nagie dzieci, żeby zwalczać polityczną ideologię opartą na koncepcji, by ludzie dzielili się z innymi tym, co mają” – mając na uwadze jednak, że pamiętając o 100 mln ofiar komunistycznych oprawców, nie mamy prawa wybaczać ani zbrodni, ani głupoty. Jednak to jedyne drobne potknięcia. Opowiadania Hilla mają własny klimat i starczą na kilka miłych wieczorów.

Ewentualnie „Paradise” to niemieckie science fiction. I tu właściwie można by tę notę zakończyć. Film jest toporną alegorią burżuazyjnego wyzysku, ukazuje świat bezkarnej medialnej manipulacji i bezrad-



ności zwykłych ludzi. W filmowej rzeczywistości życie ludzkie jest walutą. Żona bohatera, by spłacić dług ubezpieczeniowy, musi oddać 40 lat swojego życia. Mężczyzna zaczyna walkę o odwrócenie tego procesu. Niestety, aktorstwo głównych bohaterów nie powala, sensacyjna fabuła opowiadana jest w tempie sitcomu, a concept, wokół którego toczy się akcja, był już wielokrotnie używany. Od pewnego momentu oglądałem już tylko po to, by cieszyć się bezpłodnością lewicowej teologii.

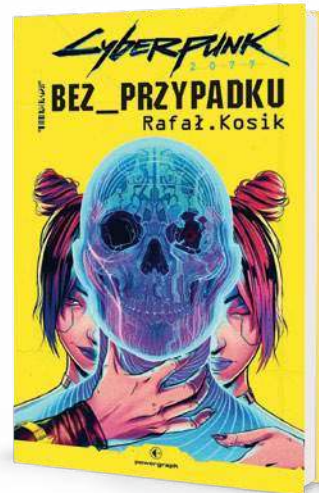
Może być Stalkerzy w uszankach, czyli kolejna odsłona rosyjskiej postapo. Paweł Kornew w „Lodowej cytadeli” głównym bohaterem uczynił jasnovidza, którego kapryśny dar pomaga mu w zarabianiu na życie przemitem.



Skrytobójcy, narkotyki, mutanty, anomalie, nadnaturalne artefakty i lodowe pustynie, a nad wszystkim tym walka o władzę pomiędzy potężnymi instytucjami Pogranicza. Akcja toczy się żwawo i choć mamy tu mnóstwo schematów oraz kalek, magiczne wątki czynią sprawę wystarczająco nieoczywistą. Mówiąc krótko: kolejna przyswoita potrawa z postapokaliptycznego fast foodu, podlana krwią jak keczupem i doprawiona solidną porcją ołowiu. Dla fanów.

Ewentualnie Powieść SF „Bez przypadku” Rafała Kosika rozgrywa się w uniwersum gry Cyberpunk 2077. Zatarcie granicy pomiędzy człowiekiem a technologią, główna cecha tego świata, nie determinuje jednak fabuły tej książki. Ciekawym wątkiem jest historia przypadkowo dobranej grupy osób, z różnych środowisk i klas społecznych, która ma dokonać przestępstwa na zlecenie. Przez ponad 400 stronic odkrywamy, że przypadek jest nieprzypadkowy, a ukryty scenariusz wcale nie musi być zrealizowany. Pesymizm, smutek, brzydota, zdeterminowane losy bohaterów, to przypadłości gatunku, zostały jednak dobrane w smacznych proporcjach. Mimo wszystko jest to jednak powieść jedynie dla graczy.

Robert Tekieli,
Polskie Radio





Wojciech Stanisławski

Ciemne lustro Białorusi

Autobiografia Wasila Bykau brzmi miejscami jak zapis praktykowania ketmanu. Ale jego dzieło stanowi oparcie dla dzisiejszych twórców białoruskiej kultury – tych, którzy jeszcze nie siedzą w łukaszenkowskich łagrach

Jeszcze w latach 90., już w wolnej Polsce, jego powieści wydawano pod nazwiskiem Wasil Bykow. I może tak naprawdę o tym jest przede wszystkim ta sążnista, blisko 400-stronicowa autobiografia – o próbie obrony przez Wasila Bykaua tego, co było dlań najważniejsze – białoruskości?

Jest autentyczna, szczegółowa, co nie znaczy, że bez drobnych przemilczeń, i – nie w każdym szczególe błyskotliwa. Może będzie to znak rozpoznawczy nowej biograficznej serii wydawniczej Kolegium Europy Wschodniej, z okładkami projektu Katji Niklas? Ale w przypadku tej książki na zamysł wydawniczy nałożyła się, mam wrażenie, osobowość autora: solennego. Niespiesznego. Aż chciałoby się sięgnąć po frazę piętnowaną dziś pewnie przez tropicieli klasystowskich stereotypów: „po chłopsku rzetelny”.

Nie obruszyłby się na nią pewnie sam Bykau, rozpoczynający swą epopeję, pisaną rok przed śmiercią, w 2002 r., od zdań w rodzaju: „Nasze domostwo przycupnęło na skraju wsi. Za podwórkiem rozciągały się pola,

przecinał je zarośnięty olszyną i leszczynami jar” czy: „O swoich przodkach wiem mało, wiem tylko, że jeden dziadek był zagorzałym rybakim...”. To opowieść o Białorusi, która jest jak podszywka, jak negatyw polskich, a właściwie „kresowych” wspomnień: o tamtych czasach, tamtej formule Bykaua ma do powiedzenia jedno: „Niegdyś nad jeziorem rozciągał się majątek pana Rudomina, potomka słynnego rodu z czasów Wielkiego Księstwa”. Ale siedzibę Rudominów „rozebrano na belki i przewieziono pod budowę rejonowego ispolkomu [komitetu wykonawczego]” – i tyle tamtej przeszłości. Rodowód Bykaua i jego droga do wielkości są bez reszty chłopskie. Ale nie w formule, jaką znamy ze wspomnień polskich „Andrzejów Radków” – Pigoniów czy Kasprowiczów: to los wychowanka wsi białoruskiej najpierw – przemielonego niemal na śmierć przez sowiecką wojenną maszynkę do mielenia mięsa, a po cudem przeżytej wojnie – w równie bezwzględny sposób formatowanego przez maszynki do kształtowania karier.

Z tej pierwszej wyszedł niemal cudem. Jego czteroletnia epopeja rozpoczyna się na Ukrainie, gdzie siedemnastolatek trafił za chlebem – i prowadzi przez chaos odwrotu z lata 1941 r. (w szeregach naprędce tworzonych i równie szybko rozpraszanych przez niemiecki ogień stoj batalionów, oddziałów budowlanych, wśród głodu, chaosu i oskarżeń o dezercję), przez głębokie, nadwołżańskie tyły – i z powrotem, przez kolejne pola bitewne Ukrainy, Mołdawii, Rumunii, Węgier, Austrii... Ten fragment wspomnień pisany jest z rzetelnością i szczegółowością sowieckiego frontowca, toteż warto go czytać nie tyle dla zaznajomienia się z opisami kolejnych potyczek, zasadzek, porażek i drobnych awansów, ile dla przypomnienia tej manieri, a bardziej jeszcze – dla uświadomienia sobie głębi fatalizmu Bykaua. Bezmiar upokorzeń, rzucania podwładnych na oczywistą i daremną śmierć, szpitale frontowe, gdzie rannym chlasta się kończy i smaruje rany dziegiem, brak służb sanitarnych na polu walki, głód żołnierzy, zło dziejstwo położonych, wszechmoc



Wasil Bykau, „Długa droga do domu”,
tłum. Joanna Bernatowicz,
Kolegium Europy Wschodniej, 2023

ort ekstremalny

Smierszu, „znikającego” oficerów i szeregowych za byle przewinę – wszystko to Bykau opisuje bez słowa komentarza, z doskonałą wiernością niespiesznego, chłopskiego świadka. Można niemal wyobrazić sobie narratora, wyliczającego te fronty, ofensywy i aresztowania na sękach palcach. „Tak było” – mówi pisarz, a obraz sowieckiej armii ukazuje się wierny i ciemny jak w wypolerowanym w ołoiu lustrze.

Do takiego obrazu Armii Czerwonej zdążyły nas jednak trochę przyzwyczaić wielkie powieści rosyjskie, od Solżenicyna po Wadimowa. Większym wyzwaniem dla autora wspomnień (chwilami pewnie i dla czytelnika) jest szczegółowy opis „karier pisarskiej” w powojennej, sowieckiej Białorusi.

Cudzysłów przy terminie „kariera” jest potrzebny nie tylko dlatego, że to banalne sformułowanie, ale przede wszystkim dlatego, że nie sposób właściwie mówić o karierze pisarskiej w rozumieniu kogoś z wolnego świata: o tym splocie talentu, szczypty szczęścia, życzliwości czy faworów wydawców i zachwytu czytelników, który sprawia, że do wczoraj nieznanymi debiutanci pojawiają się na kolejnych łamach, jest komentowany i zapraszany, a bestsellery z jego nazwiskiem trzepocą w szybach księgarń, albo i na stacjach benzynowych. Nie: naturalny, chociaż niesprecyzowany jeszcze talent chłopskiego syna, iskra Boża, która próbuje się objawić (Bykau marzył po wojnie o karierze grafika i malarza, rysował do końca życia – wiele jego szkiców ilustruje tę książkę) zostaje wtłoczona w toporną i scentralizowaną w sposób trudny do wyobrażenia maszynę produkcyjną literatury radzieckiej. Na sowieckiej prowincji wszystko poddano nakazom planu, kultura zarządzana jest w równie szczegółowy sposób jak produkcja obraberek czy buraków cukrowych: na szczeblu republikańskim należy powołać określoną liczbę czasopism literackich i organizacji pisarskich, podobnie na szczeblu prowincjonalnym (Bykau przez długie lata mieszkał w Grodnie, które upodobał sobie jako położone bardziej na uboczu). Prozaikowi przysługuje przydział papieru, w dalszej perspektywie – ciasne mieszkanko w komunalce, a po ćwierćwieczu, jeśli się zasłuży – odznaczenia. Przewidziane są gatunki literackie, harmonogram spotkań z czytelnikami, wakacje w resortowych uzdrowiskach – i skromny odsetek środków na literaturę w językach narodowych, zanim ustąpią miejsca pierwszemu wśród równych – rosyjskiemu. Bykau? Może być i Bykau, brakuje nam w tym kwartale jeszcze dwóch prozaików frontowych.

Przerysowuję, ale tylko trochę. Jest rzeczą zdumiewającą, jak coś tak autonomicznego i niepodległego jak talent pisarski, pisarska iskra, mogły się realizować, rozwijać i doskonalić w takim konwejerze, sztancującym i formatującym twórczość i osobowości autorów. „Długa droga do domu” jest wspomnieniem innej rzeczywistości niż tej, do jakiej przyzwyczaili nas rosyjscy pisarze-dysydenci, od Wojnowicza po Sacharowa. Owszem, Bykauowi już jako uznanemu pisarzowi przyszło spotykać się z Solżenicynem, a legendarny Aleksandr Twardowski, wspierający odwil-

żową literaturę redaktor naczelny „Nowego Miru”, był jego protektorem (i namawiał go do samodzielnego przekładania białoruskich oryginałów na rosyjski). Ale oznaki niezależności Bykaua to ironiczna karteczka: „Dalego zajdziesz!” do czynowników, krytykujących go za brak optymizmu na rytualnych naradach produkcyjnych. To odmowa złożenia podpisu pod kolejnym listem otwartym potępiającym Solżenicyna (i bezsilność, gdy jego nazwisko zostanie tam – ot tak, z rozdzielnika – dopisane). To wykręcanie się od przyjęcia legitymacji partyjnej, ćwiartka wypita z kolegami, nie z naczałstwem (sporo tych ćwiartek zwilża strony „Długiej drogi”), odmowa złożenia donosu, niekończące się boje z cenzurą o to, by w kolejnym opowiadaniu oficer wywiadu mógł zachować bodaj jedną niesympatyczną cechę, np. być obcesowy wobec podwładnych...

Brzmi to jak zapis pół wieku praktykowania ketmanu, jak groteskowy zapis praktyk pisarza bez reszty lojalnego wobec władzy. Ale okazuje się, że taka była dla Bykaua jedyna możliwa droga – po chłopsku uczciwa, po chłopsku uparta. Ta droga przyniosła najwierniejszy opis koszmaru wojny na Białorusi, jaki istnieje. Stworzyła białoruską noblistkę Swiatłanę Aleksijewicz, która nie przez kurtuazję podkreśla, że wychowała się na prozie Bykaua. I stanowi oparcie dla dzisiejszych twórców białoruskiej kultury – tych, którzy jeszcze nie siedzą w lukaszenkowskich łagrach.

REKLAMA



Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

56/0723/F



Historia jednej zbrodni

Film „Historia jednej zbrodni” po kinowym debiucie będzie miał również swoją premierę w telewizji. **8 września obraz Mariusza Pilisa zostanie wyemitowany jednocześnie na antenie TVP 1 i TVP Info o godz. 21.30.** Ważne, aby ta historia trafiła do jak największego grona odbiorców i edukowała o tym, jak okrutnych zbrodni dopuszczali się Niemcy.



Przed II wojną światową podkarpacka wioska Markowa była jedną z największych wsi II Rzeczypospolitej. To właśnie tam 24 marca 1944 r. rozegrały się wydarzenia, które na zawsze stały się symbolem niemieckiego bestialstwa, ale też polskiej ofiarności. 79 lat temu niemieccy żandarmi z zimną krwią zamordowali rodzinę Ulmów za to, że ci zdecydowali się udzielić pomocy Żydom

Praktycznie od września 1939 r. Niemcy prowadzili na ziemiach okupowanej Polski politykę terroru, która miała na celu złamanie polskiego oporu i zniechęcenie Polaków do konspiracji. Z wielką determinacją Niemcy karali również tych, którzy decydowali się na udzielanie pomocy Żydom. Miłosierną postawą w tych okrutnych czasach wykazało się małżeństwo Józefa i Wiktorii Ulmów. Na co dzień

swój czas poświęcali nie tylko pracy na roli i wychowywaniu sześciu córek, ale również takim pasjom jak fotografia, ogrodnictwo czy teatr. W momencie próby nie zawahali się i przysparzali Żydów pod swój dach. Od początku zdawali sobie sprawę, że w przypadku, kiedy ta pomoc wyjdzie na jaw mogą zapłacić wysoką cenę. Niemieccy oprawcy nie mieli dla nich litości i rozstrzelali wszystkich, łącznie z maleńkimi dziećmi. Chcieli, aby pamięć o Ulmach przepadła na zawsze. Tak się jednak nie stało.

ZBRODNIĄ, KTÓRA MIAŁA ZOSTAĆ ZAPOMNIANA

Ulmowie dali schronienie aż ośmiorgu Żydom. Według historyków o fakcie ukrywania tych osób przez polską rodzinę najprawdopodobniej doniósł Niemcom Włodzimierz Leś – granatowy policjant z pobliskiego Łañcuta. Rankiem 24 marca 1944 r. przed dom Ulmów przybyło pięciu niemieckich żandarmów oraz kilku granatowych policjantów. Dowodził nimi por. Eilert Dieken. Najpierw zamordowano Żydw, potem Józefa i Wiktorię – kobieta była w zaawansowanej ciąży. Następnie porucznik Dieken podjął decyzję o zabiciu dzieci, a jeden z żandarmów uczestniczących w egzekucji miał pokazywać na Ulmów i wyrażać zebranym innym mieszkańcom wioski: „Patrzcie, jak giną polskie świnie, które przechowują Żydw”.

Historia ta przez wiele lat była znana głównie wąskiej grupie historyków. Co więcej, dowodzący egzekucją Dieken po wojnie nie poniósł żadnej kary, piastując urząd komendanta policji w jednym z niemieckich miast. Sami Ulmowie dopiero w 1995 r. zostali uhonorowani przez Yad Vashem w Jerozolimie tytułem Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, a Muzeum Polaków Ratujących Żydw Podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej zostało otwarte dopiero w 2016 r. Jesienią tego roku rodzina Ulmów ma zostać wyniesiona na ołtarze przez papieża Franciszka.

PRZYWRÓCIĆ PAMIĘĆ O ULMACH

Nad historią tej zbrodni postanowił pochylić się jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów dokumentów – Mariusz Pilis. Planował on swój projekt w 2013 r., ale wówczas trudno było uzyskać środki na produkcję, które demaskowałyby niemieckie bestialstwo. Ostatecznie reżyserowi udało się zebrać potrzebne środki i obraz trafił do kin. Co ciekawe Pilis dotarł do żyjącej córki Eilerta Diekena, która przez całe życie nie wiedziała, czego dopuścił się jej ojciec.

– Kiedy się z nią skontaktowaliśmy i poprosiliśmy, by przekazała nam informacje o jej ojcu była przekonana, że Muzeum chce



upamiętnić jego działania. Przesłała list, z którego wynikało, że spodziewa się, że jej ojciec będzie przedstawiony jako postać pozytywna. Nie wiedziała nawet, że rodzina Ulmów nie żyje, że została eksterminowana, a rozkaz wydał jej ojciec.

Przesłała zdjęcia, na których widzimy Diekena w dobrze skrojonym mundurze niemieckiej żandarmerii, ale też fotografie powojenne, z jego pracy jako inspektora w jednym z niemieckich miasteczek – Esens w Dolnej Saksoni. Postanowiliśmy udać się do niej do Niemiec i porozmawiać z nią na ten temat. Stwierdziliśmy, że musimy opowiedzieć tę historię skoro nawet najbliższa rodzina zbrodniarza nie wiedziała o tym, czym się „wsławił” – mówi Mariusz Pilis.

Zresztą to nie była jedyna osoba w Niemczech, która nie wiedziała o zbrodniach Diekena.

– W 2022 r. ponownie postanowiłem udać się do Esens. Co ciekawe burmistrz przyznał się, że dopiero tydzień przed moim zapowiadzianym przyjazdem zajrzał do Wikipedii,

by dowiedzieć się o co chodzi. Zaprosiłem go do Polski, do Markowej, zdecydował się przyjechać i był wstrząśnięty – dodaje reżyser.

Kiedy o zbrodni na rodzinie Ulmów zrobiło się głośno, do Instytutu Pileckiego zgłosił się człowiek, który chciał sprzedać archiwalia i pamiątki po Diekenie. Dziś te materiały najprawdopodobniej zostały przekazane do muzeum w Markowej, ale jeszcze kilka lat temu leżały u kogoś „na strychu”.

– Mam nadzieję, że ten film będzie ważnym świadectwem, także dla Niemców. Chcę żeby oni pamiętali o swojej roli, jaką odegrali podczas II wojny światowej, bo niestety odnoszę wrażenie, że w ostatnim czasie, już nawet nie tylko jako obywatele, ale wręcz jako państwo starają się przedefiniować tę historię, pokazać się jako ofiary, a nie sprawcy – zapewnia reżyser dokumentu.

Film powstał m.in. dzięki finansowemu wsparciu, jakiego udzielił jego twórcy KGHM Polska Miedź S.A., Fundacja Kasy Stefczyka, PKO Bank Polski, Totalizator Sportowy oraz Lasy Państwowe.

MECENASI FILMU:





Wyżej, szybciej, dalej – polska „królowa sportu” wciąż daje medale

Niespełna 11 miesięcy pozostało do rozpoczęcia XXXIII Letnich Igrzysk Olimpijskich, które w 2024 r. odbędą się w Paryżu. Do tej pory to „królowa sportu”, czyli lekkoatletyka, jest tą dyscypliną, która przyniosła Polsce największy medalowy olimpijski plon. Mając zatem na uwadze zbliżające się igrzyska olimpijskie, wyjątkowo uważnie śledziliśmy zmagania sportowców podczas zakończonych wczoraj mistrzostw świata w lekkoatletyce, których areną był Budapeszt. Wnioski? Powinniśmy w Paryżu cieszyć się z kolejnych sukcesów naszych lekkoatletów i lekkoatletek

O medale w konkurencjach lekkoatletycznych wielkich światowych imprez jest bardzo trudno. Lekkoatletyka, niezaprzeczalnie jedna z najstarszych i najbardziej wszechstronnych dyscyplin sportowych, stała się ulubionym zajęciem dla milionów ludzi na całym świecie. Bez względu na wiek, płeć czy poziom kondycji fizycznej przyciąga rzesze entuzjastów, co sprawia, że jest to sport powszechny jak żaden inny. Biegi, rzuty i skoki – to fundamentalne elementy lekkoatletyki, które sprawiają, że jest ona zarówno prosta w zrozumieniu, jak i jednocześnie niezwykle wymierna.

WSPÓLNY SPORT MILIONÓW

Podstawy lekkoatletyki, czyli biegi, rzuty i skoki, stanowią esencję ruchu ludzkiego. Kiedyś były to umiejętności niezbędne do przetrwania, dziś stały się fundamentem sportu. Bieganie, naturalna forma ruchu człowieka, przekształcone zostało w wyścigi na różnych dystansach,

które mierzą szybkość, wytrzymałość i determinację zawodników. Rzuty, wywodzące się z prymitywnych działań obronnych i łowieckich, przekształciły się w dyscypliny, takie jak pchnięcie kulą czy rzut oszczepem. Skoki zaś pozostały symbolem ludzkiego pragnienia sięgania wyżej, dosłownie i w przenośni, czego dowodem są skoki wzwyż i w dal.

Właśnie w prostocie leży jedna z największych zalet lekkoatletyki. To sport, który nie wymaga specjalistycznego sprzętu ani skomplikowanych zasad. Wystarczy para butów i otwarta przestrzeń, by cieszyć się bieganiem, rzucaniem czy skakaniem. To także sport, który pozwala na rywalizację zarówno na szczeblu amatorskim, jak i profesjonalnym. Wszystko to sprawia, że lekkoatletyka jest idealnym wyborem dla każdego, kto pragnie aktywności fizycznej bez zbędnych komplikacji.

MEDALE DLA NIELICZNYCH

Jednak pomimo swojej dostępności i prostoty, lekkoatletyka nie jest łatwym sportem do osiągnięcia poziomu mistrzowskiego. Wielu ludzi uprawiających lekkoatletykę odczuwa radość ze zdobywania osobistych osiągnięć i poprawy kondycji fizycznej, ale droga do zdobywania medali jest długa i wymagająca. Konkurencja jest zawsze silna, a nawet najmniejsza poprawa czasu, odległości czy wyniku wymaga ogromnego nakładu pracy i poświęcenia. Dlatego choć lekkoatletyka może wydawać się prostym sportem, osiągnięcie w nim szczytowych wyników to wyjątkowe wyzwanie.

Wyraźnie widać tę zależność zwłaszcza na imprezie rangi mistrzostw świata czy igrzysk olimpijskich. O ile na arenie europejskiej Polska kadra lekkoatletyczna jest zazwyczaj jedną z dominujących drużyn, o tyle po dołączeniu do rywalizacji państw afrykańskich, amerykańskich czy azjatyckich poprzeczka, nad którą zawieszono są trofea medalowe, idzie znacznie wyżej. Mimo tego występy Polaków w Budapeszcie przyniosły nam chwile wielkiego wzruszenia. Zauważalna była zmiana pokoleniowa w polskiej kadrze i powolne schodzenie ze sceny wielkich mistrzów konkurencji technicznych, takich jak młociarka Aneta Włodarczyk, która przez lata nie

miała godnych siebie rywali na świecie, czy pięciokrotnego mistrza świata jej kolegi po fachu Pawła Fajdka, który tym razem w Budapeszcie był czwarty.

POLKI CORAZ SZYBSZE

Kiedy zamykaliśmy ten numer tygodnika, polscy kibice żyli wciąż fenomenalnym występem zawodniczki Grupy Sportowej ORLEN Natalii Kaczmarek w finale biegu na 400 m, w którym Polka zdobyła srebrny medal, pierwszy w historii na tym dystansie dla naszego kraju podczas mistrzostw świata. Natalia powiększyła tym samym nasz dorobek medalowy do dwóch krążków, po wicemistrzostwie świata w rzucie młotem wywalczonym przez Wojciecha Nowickiego, czyli naszego mistrza olimpijskiego z Tokio.

Nie sposób nie wspomnieć o szóstym miejscu polskiej sprinterki Ewy Swobody w finale biegu na 100 m kobiet, a więc specjalności od dekad zdominowanej przez czarnoskórą biegaczkę spoza Europy. W kolejce po swoje sukcesy stoi wciąż nasza płotkarka Pia Skrzyszowska, którą odrobina pecha wyeliminowała z awansu do finału biegu na 100 m przez płotki.

Co zatem pokazały nam mistrzostwa w Budapeszcie? Przede wszystkim to, że wspierana przez ORLEN polska kadra nie osiada na laurach i nie liczy tylko na dawnych mistrzów, ale wciąż buzuje w niej entuzjazm i świeża myśli szkoleniowa, co jest widoczne zwłaszcza w niesamowitym postępie biegów sprinterskich kobiet. Widać wyraźnie, że za rok w Paryżu wcale nie będzie o medale łatwo, tak samo jak łatwo nie było teraz w Budapeszcie, ale że to właśnie lekkoatletyczna arena w stolicy Francji dostarczy nam przynajmniej kilka medalowych szans.

Najbardziej cieszy fakt, że do polskich specjalności powracają takie dyscypliny, jak wspomniane biegi sprinterskie kobiet, z którymi od czasu niezapomnianej Ireny Szewińskiej nie wiązaliśmy już większych nadziei. Czy powinien martwić nas lekki dołek w konkurencjach rzutowych? Faktem jest, że sukcesy ostatnich lat takich gigantów jak Tomasz Majewski, wspomniana Anita Włodarczyk, Paweł Fajdek czy właśnie medalista z Budapesztu Wojciech Nowicki nieco polskich kibiców rozpuściły. Wierzymy jednak, że sytuacja w Polskim

Związku Lekkiej Atletyki jest na tyle stabilna i dobra, a metody szkoleniowe na tak wysokim poziomie, że szybko doczekamy się następców.

NIEZAWODNE WSPARCIE

Z pewnością ogromne znaczenie ma także fakt, że polska reprezentacja lekkoatletyczna od lat korzysta ze sponsorskiego wsparcia ORLEN. Zapewnia ono stabilizację finansową związku i możliwość pełnego skupienia na przygotowaniach do kolejnych ważnych zawodów. To bardzo istotne, że polscy sportowcy mają pewne zaplecze finansowe dzięki polskiej firmie. Ostatnie lata w historii naszego sportu dowodzą, że partnerzy zagraniczni często uzależniali swoją współpracę z polskimi związkami sportowymi od koniunktury własnych biznesów czy osiągniętych wyników. Tymczasem by przygotować formę na taką imprezę, jak igrzyska olimpijskie, potrzebny jest pewny i niechwiejny w swoich decyzjach i zobowiązaniach partner. Dla największego polskiego koncernu multienerygetycznego wspieranie polskiego sportu jest ważną częścią misji z obszaru społecznej odpowiedzialności biznesu. Warto przypomnieć, że podobnie jak w przypadku innych dyscyplin sportowych, ORLEN nie tylko sponsoruje pierwszą reprezentację lekkoatletyczną, ale jest także mocno zaangażowany we wsparcie sportu młodzieżowego i dziecięcego, od którego zawsze zaczyna się wychowanie przyszłych mistrzów. Jest to więc model sponsoringu niezależny od presji wyniku, ale tworzący cały system wsparcia dla rozwoju sportu w Polsce.

Jednocześnie logo ORLEN, które widzieliśmy na koszulkach polskich lekkoatletów w Budapeszcie, jest coraz bardziej rozpoznawalne poza granicami Polski. W przypadku Węgier to o tyle istotne, że od niedawna mogą oni tankować paliwo na stacjach ORLEN także w swoim kraju.

PARTNER DODATKU



ALŻBETA LENSKA

AKTORKA

Jak wschód słońca na Malediwach

Urodziłam się i wychowywałam na Śląsku, ale jako dziecko, zwłaszcza latem, dużo jeździłam na Słowację, do Czech i na Węgry, gdzie mieszkała liczna rodzina mojego ojca. Tacie muzykowi zawdzięczałam też słowackie imię Alžbeta.

Ponieważ moja mama pochodzi spoza Śląska, w domu nie mówiło się gwara, ale ją rozumiem. Mam znajomych, którzy jej używają. Rozmawiam też po słowacku i czesku, tylko z węgierskiego znam niewiele słów.

Można też powiedzieć, że poza polskim moim drugim językiem jest angielski. To zasługa mamy anglistki, która pilnowała, żebym szlifowała język także w Wielkiej Brytanii. Jeździłam na wymiany, byłam w Londynie, ale najbardziej niesamowite okazało się studiowanie aktorstwa w Stanach Zjednoczonych w słynnym Lee Strasberg Theatre and Film Institute w Nowym Jorku.

Poza warsztatem nauczyłam się tam pozytywnego myślenia o naszym zawodzie. Bardzo mi się podobało podej-

Niektórzy śmieją się z Amerykanów, że są wiecznie uśmiechnięci, ale oni wychodzą z założenia, że to, co zaplanowali, uda im się, że nadchodzący dzień będzie dobry. Tej amerykańskiej mentalności czasem mi w Polsce brakuje.

Ostatni raz odwiedziłam USA, kiedy byłam w piątym miesiącu ciąży (dziś Zosia ma 12 lat). Polecałam, żeby zrezygnować ze stypendium, które tam dostałam. To była dla mnie bardzo trudna decyzja, ale podjęłam ją i chciałam tylko osobiście pożegnać się ze szkołą, zamknąć tamten etap, by móc przejść do kolejnego.

Teraz coraz częściej myślimy o tym, żeby już rodzinie – z Zosią i Antkiem – polecieć do Stanów.

Na pewno odwiedzilibyśmy znajomych i przyjaciół, których tak nam brakuje. A jeśli chodzi o zwiedzanie, to możliwości jest tam bardzo wiele. I Santa Monica z przepiękną plażą, i Hollywood ze słynnym napisem, Aleją Gwiazd i nie-

samowitym klimatem kina. To miejsce, gdzie aktorstwo jest bardzo doceniane i obecne na każdym kroku.

Stany Zjednoczone dają niewyczerpane możliwości tras, miejsc, spotkań z ludźmi. Na pewno się tam wybierzemy, ale doceniamy też inne kierunki. Bo choć przy dzieciach – i związanej z nimi nieustannej zajętości – najszybciej i najskuteczniej łapie się oddech na kanapie w domu, to jednak, jeśli tylko możemy, z tej kanapy rodzinie się ruszamy.

Najchętniej tam, gdzie można zobaczyć coś interesującego, poznać, usłyszeć ciekawe historie, ale też nacieszyć się urodą poznawanych miejsc. Bardzo lubiliśmy Grecję. W innych krajach też staraliśmy się uczyć dzieci otwartości na to, jak żyją inni, na poznanie nowych tradycji, kultury. Świat robi się wtedy szeroki.

Jakie mam podróżnicze marzenie? Malediwy. Z moim mężem. Kiedy się poznaliśmy, w pierwszym wywiadzie powiedział, że jestem dla niego jak wschód słońca na Malediwach. Mam więc nadzieję, że kiedyś się tam wybierzemy, żeby ten wschód razem zobaczyć.

Jolanta Gajda-Zadworna



ście, w którym każdy dzień, każde doświadczenie, każda obserwacja ludzi traktowana jest jak nauka budowania zawodowej bazy, z której potem czerpiemy. Podobnie jak z naszej codzienności. Dlatego właśnie z Rafałem [Cieszyńskim, mężem aktorki – przyp. red.] wprowadziliśmy do serialu „Ojciec Mateusz” dużo żartów, które towarzyszą nam na co dzień w prywatnym życiu.

Ze Stanów najbardziej brakuje mi Los Angeles i Kalifornii. Przede wszystkim z powodu stale obecnego tam słońca, ale też ludzi. Naprawdę pozytywnie nastawionych.

SŁODKO-SŁONY

Ciekawy ogórek

ANNA MONICKA

Zabrałam ostatnio córkę, zdruzgotaną faktem, że wakacje nieuchronnie dobiegają końca, na spacer po Warszawie. Mamy taki rytuał, że kiedy nam ciężko na duszy, idziemy do parku, dobrej księgarni, na koncert albo na jakieś ciekawe jedzonko, najlepiej orientalne, bo obie lubimy poznawać niecodzienne smaki. Tym razem łapałyśmy więc równowagę w Łazienkach, Zamku Ujazdowskim, a na koniec wylądowałyśmy przy Politechnice. W jej okolicach jest mnóstwo niewielkich knajpek, tym razem skręciliśmy w stronę Japonii, bo obie lubimy od czasu do czasu zjeść porządny ramen, a koleżanka zachwalała nam znajdujący się w suterenie przy ul. Lwowskiej Ganon, który znany jest właśnie z tej zupy.

Bulion tonkotsu był po prostu genialny, z mięciutkim boczkiem, jajkiem, szczypiorem i grzybami – idealne zwieńczenie wielogodzinnej włóczędzy. Wcinałyśmy, chociaż zasadniczo obie unikamy jedzenia mięsa. Ale najbardziej nasze serca i podniebienia podbił... zielony ogórek, którego postanowiłyśmy tym razem skosztować zamiast fasolki edamame. Przyzwyczajona do mizerni córka nie mogła się nadziwić, ile smaku można wycisnąć z tego mało wyrazistego warzywa, jeśli się je odpowiednio doprawi. Ogórek gomakyuri polany był przepyszny sosem sezamowym i posypany pieprzem koreańskim. Jest wprawdzie przystawką, ale potraktowałyśmy go jako deser. I to była dobra decyzja.

Jeszcze tego samego dnia powędrowałyśmy do azjatyckich delikatesów po olej sezamowy, ocet ryżowy, sos sojowy i przyprawy. I zaczęłyśmy kombinować, jak to cudo odtworzyć w domu. Przy okazji poszukiwań trafiłyśmy na ogórkową sałatkę po japońsku. Podstawą dania jest sos z posiekanej dymki, rozgniecionego ząbka czosnku, kawałka imbiru, łyżki octu ryżowego, dwóch łyżek sezamu, trzech łyżek sosu sojowego i odrobiny cukru trzcinowego. Trzeba nim polać poszatowanego ogórka (a najlepiej dwa duże ogórki), poczekać, aż się przegryzie i zjadać. Można posypać go na talerzu pieprzem koreańskim, który ma ciekawy, cytrynowy smak. Polecam spróbować, w ogórkach przyrządzanych na azjatycką modłę można się zakochać.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Płazy na drodze

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jechałem ostatnio samochodem wieczorem, tuż po deszczu, który nadszedł po upalnych dniach. Po jednej stronie drogi były łąki i zarośla, po drugiej, gdzieś dalej, staw. 300 m przejechałem w dwadzieścia parę minut. W tym czasie dziesięć razy zatrzymałem się na poboczu na światłach awaryjnych, łapałem żabę trawną lub ropuchę szarą, przeniosłem na stronę, w którą zmierzała, i jechałem dalej, aż do następnego płazu. W tym samym czasie na tym krótkim odcinku naliczyłem też ok. 20 rozjechanych żab i ropuch. To na pewno nie wszystkie – nie każdy płaz zostaje rozplaszczony na płacek na jezdni. Część, potrącona, doczołguje się do pobocza z obrażeniami wewnętrznymi i zdycha w trawie. A ile trafiło pod koła później, ilu nie zauważyłem, bo wielokrotnie rozjechane nie odróżniały się od jezdni?

W pewnym momencie, kiedy przenosiłem kolejną ropuchę (ropuchy giną najczęściej, niestety, są powolne, traszki też, ale ich nawet się nie zauważa, są zbyt drobne), obok mnie zatrzymało się auto. Myślałem, że dojedzie do jakiejś konfrontacji, że źle się zatrzymałem itp. Jednak nie – kierowca dużej terenówki otworzył okno, zapytał: „Uratowana?”, a kiedy potwierdziłem, podniósł kciuk i odjechał. Powoli. 100 m dalej zatrzymał się i stał minutę – pewnie przepuszczał ropuchę.

Większość gatunków płazów przebywa w zbiornikach wodnych tylko podczas rozrodu. Niektóre zimują na dnie. Jednak większość sezonu spędzają na terenach zielonych. Są skryte, ale deszcz, zwłaszcza nocą, pobudza je i skłania do wędrówek. Najintensywniej wędrują wiosną – złożyć skrzek do cieków i zbiorników – i jesienią, szukając miejsc na zimowanie, jednak opady wywabiają je z kryjówek przez cały sezon. I trafiają na drogi przecinające ich tereny.

Oczywiście na drodze trzeba patrzeć na innych uczestników ruchu, pieszych, znaki i jechać bezpiecznie – to najważniejsze. Oczywiście też, gdy mowa o ochronie płazów, najważniejsze jest chronienie wód, w których składają skrzek i ochrona przylegających do nich terenów zielonych, aby zachować ich odpowiedni obszar i dziki charakter – wysoką trawę, runo, leżące pnie, krzewy itp.

Mimo to warto pomyśleć o dziesiątkach, czasem setkach płazów, które giną jednej tylko deszczowej nocy na jednym tylko odcinku drogi: pomyśleć i przejeżdżając koło stawu, rzeki, łąki czy przez las, jechać ostrożniej i wolniej.

Wrzesień

Zbliżający się 1 września każdemu Polakowi zawsze kojarzyć się będzie z barbarzyńskim napadem Niemiec na nasz kraj. Nocą, ukradkiem, zaczęli od Wielunia, bombardowaniem małego śpiącego miasta, a potem całej Polski. Zrzucali bomby na dzieci idące do szkoły w pierwszy dzień po wakacjach, obalali szlabany na naszych granicach, zrywali i bezcześcili nasze symbole narodowe, Orla Białego i flagi biało-czerwone. Ile w tym niemieckiej nienawiści do naszej, z takim trudem po 123 latach odbudowanej niepodległości?

To właśnie marsz. Józef Piłsudski powtarzał: „Polska będzie silna albo Polski wcale nie będzie” – i realizował tę myśl z wielką determinacją, uporem, wbrew wszelkim spolegliwym doradcom.

Polska międzywojenna to do dzisiaj nasza duma. Prof. Bolesław Orłowski, który napisał blisko 60 książek na temat polskich wynalazców i odkrywców, podkreśla, że to nasze słynne przedwojenne przyspieszenie było wulkanem aktywności we wszystkich dziedzinach nauki, techniki, wynalazczości. Takiej liczby polskich patentów, które zmieniały oblicze Europy i świata, według prof. Orłowskiego, nie było jeszcze dotąd w historii. Aby się o tym przekonać wystarczy zobaczyć cykl kilkunastu filmów dokumentalnych na stronach Instytutu Pamięci Narodowej pt. „Giganci nauki”.

Bardzo się to nie podobало Niemcom i ich sowieckim sojusznikom. Razem we wrześniu w 1939 r. podzielili Polskę między siebie, podali sobie ręce i odebrali nam wolność. Mimo zawartych sojuszów Polska nie mogła liczyć na Europę Zachodnią. Mimo to byliśmy jej najwierniejszym sojusznikiem w czasie okupacji niemieckiej, walczyliśmy o Londyn, biliśmy się o miasta Holandii, Belgii, Francji. Tobruk, Monte Cassino, Bolonia – można by tak wymieniać długo. Ta pokonana polska armia, wyśmiewana przez Niemców, niszczone, mordowana haniebnie przez Rosję (symbolem doły katyńskie), zadziwiała świat swoją odwagą, walecznością i umiejętnościami bojowymi. A przecież należy tu pamiętać o tysiącach oficerów polskich, jeńców wojennych, zamordowanych strzałem w tył głowy. Polaków zabijanych przez Niemców i rosyjskie służby NKWD, partyzantkę sowiecką. I jeszcze wywózki. A mimo to walczyliśmy „za wolność naszą i waszą”, zasłynęliśmy na całym świecie odwagą, często trudną do pojęcia dla innych armii, ale właśnie gdyby nie ta zacięta walka, ten upór Polaków, inaczej potoczyłyby się losy Europy i świata.

Walczyli za wolność innych narodów, wierząc, że ta wolność przyjdzie do ich ojczyzny, niestety, tchórzliwi zachodni sojusznicy sprzedali nas w Teheranie, a potem w Jalcie. Ważniejszy był sojusz ze zbrodniarzem Stalinem.

Niektórzy mówią, że dzisiaj mamy w jakimś sensie powtórkę historii. Niemcom nie podoba się polski rozwój gospodarczy i obecny rząd, który broni naszej racji stanu,



**Alina
Czerniakowska**

naszej niezależności i niepodległości, stawiając na budowanie silnej armii i ochronę granic. Chętnie widzieliby w nas zbieraczy szparagów z ich pól i ponownie zbrataliby się z rosyjskim następcą Stalina – Putinem. Przecież Niemcy już nawet nie kryją swoich intencji, jasno mówi to Manfred Weber, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej, macierzystej partii Donalda Tuska. Już chyba dla wszystkich jest jasne, w jakim celu przysłali do Polski Tuska i grupę jego targowiczów, zdrajców, którzy szkalują na własną ojczyznę, ogłupiają społeczeństwo, przekupują ludzi, szokują chamstwem, wulgarnością, zachowują się w sposób urągający ludzkim wartościom. Słownictwo kryjące się pod tymi ośmioma gwiazdkami, które tak histerycznie rozśmiesza Donalda Tuska, to jest właśnie symbol tej całej totalnej opozycji.

Ktoś zapytał, czy nie jest im wstyd – bo przecież gdy człowiek pozbywa się już wszelkich ideałów, to czasami zostaje jeszcze taki zwykły ludzki wstyd. Ale tu nawet tego nie ma, jest tylko kłamstwo i wulgarność, rozpasane do granic niewyobrażalnych.

Nie trzeba być zwolennikiem PiS-u, wystarczy chwilę logicznie pomyśleć i popatrzeć na zachowanie jednych i drugich. Nareszcie pierwszy raz po 1989 r. w tak zwanej III RP mamy prezydenta, premiera, rząd pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego, których nie musimy się wstydzić. Często przywódcy państw zachodnich stawiający siebie za wzór europejskości, cywilizacji i demokracji, mówiąc wprost, nie dorastają nam do pięt, kultura bycia, wypowiedzi, logika myśli, godność. To całe zachowanie mogliśmy zaobserwować od dawna, a teraz podczas ostatnich wypowiedzi w związku z rocznicami powstania warszawskiego i Bitwy Warszawskiej.

Moja znajoma profesor powiedziała ostatnio: – Bóg nas wreszcie nagroził takimi właśnie ludźmi u władzy za naszą wierność w wierze. Wiadomo, również temu rządowi zdarzają się różne błędy, pomyłki, ale oni kochają Polskę i bardzo wiele robią dla nas, zwykłych ludzi. W przeciwieństwie do tej całej zgrai marnych sprzedawczyków. Mieszkam blisko placu, gdzie zbierali się przywożeni autokarami na Tuskową paradę, latem otwarte okna, przykro było słuchać ich rozmów, ohydne słownictwo, kłatwy, dogadywanie się, gdzie, kto i kiedy ma wykrzykiwać wulgarne hasła i kłamstwami namawiać niezdecydowanych, przywieźli o świcie na tę zbiórkę tak dużo dzieci, które to wszystko słyszały i widziały, Boże, co z nich wyrośnie. I na koniec moja pani profesor polonistyki dodała: – Jest nadzieja w Bogu, że dobro i prawda zwyciężą, bo przecież Bóg jest samym dobrem i prawdą.

Taka jest właśnie ta nasza pierwszorzeczniowa nadzieja. 

*Autorka jest reżyserem filmowym,
scenarzystką i dziennikarką*

PRZEZ ŚWIETLIK

Tusk 2

Idź złoto do złota – miał powiedzieć w XII w. komes Skarbek, wrzucając swój pierścień do szkatuły pełnej tego kruszcu, którą otworzył przed nim niemiecki cesarz, tym samym przecinając korupcyjną pułapkę. Człowiek nie wie, co z jego słowami zrobią potomni. Mnie te akurat przypomniały się, kiedy Michał Kołodziejczak połączył siły z Donaldem Tuskiem.

Co zabawne, nie było łatwo. Tuskowi. Otóż ten mocarz europejskości, światowości, znawca Gustava Mahlera i Oskara Kokoschki, musiał się trochę nabiegać. Nie było łatwo. Pan Kołodziejczak wahał się, hamletyzował, ale w końcu znany polityczny czarodziej z Wolina Artur Balazs go przekonał. Łaskawie się więc zgodził. To ciekawe jednak, że polityk, który kiedyś w swojej światowości czapkował Merkel i Putinowi, teraz czapkuję Kołodziejczakowi. Ciekawe, ale wytłumaczalne i wytłumaczenie to nie jest – jak mi się wydawało – tylko przejawem mojej fobii.

Otóż jeden z polskich naukowców, niezajmujący się na co dzień krajową sceną polityczną, sam zwrócił mi na to uwagę. A więc zauważyło to więcej osób. Tusk i Kołodziejczak są po prostu podobni. Złoto przyszło do złota.

Historia z Kornelem Morawieckim, który miał rzekomo tuż przed śmiercią ostrzegać przed swoim synem w rozmowie z Kołodziejczakiem (wyobrażacie sobie tę scenę?), umacnia mnie w tym przekonaniu. To nie jest takie zwykłe kłamstwo, manipulacja, półprawda, jakich w polityce pełno. To jest takie centralne łgarstwo, w żywe oczy, na chłama, takie, w które, wydawałoby się, nikt nie uwierzy. To jedno z politycznych odkryć Tuska, że można pójść kawałek dalej, w tym dalej niż inni..., a potem wielki kawał. A także, że jego elektorat kupi więcej niż inni. Choćby panią z Łodzi, która w pletwach ratowała Syryjczyków i przedzierała się nielegalnie do Jordanii, do której Polacy latają tanimi liniami. Nigdzie by to nie przeszło, a w Platformie tak. Kołodziejczak wychodzi dokładnie z tego samego założenia. Może iść dalej niż inni, także w kłamstwach, bo nikt go z nich nie rozliczy.

Oczywiście nie ma popularności Tuska, zaplecza, ale też jest dużo młodszy. Wszystko przed nim. W dodatku jest nawet fizycznie podobny.



**Wiktor
Świetlik**

REKLAMA

Rozwój współpracy pomiędzy szkołami, instytucjami a rynkiem pracy. Kolejny etap reformy szkolnictwa branżowego

Wojewódzkie Zespoły Koordynacji wesprą politykę edukacyjną, doradztwo zawodowe oraz promocję kształcenia zawodowego i idee uczenia przez całe życie. To kolejny etap działań, po utworzeniu Branżowych Centrów Umiejętności, w trwającym od 2019 r. procesie reformy szkolnictwa branżowego. Operatorem programu KPO w ramach Inwestycji A.3.1.1 o łącznej wartości ok. 1,8 mld zł jest Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji

Wojewódzkie Zespoły Koordynacji połączą podmioty związane z kształceniem branżowym, a także instytucje rynku pracy, wojewódzkie urzędy pracy i podmioty gospodarcze, tak aby wspólnie wypracowywać strategię rozwoju szkolnictwa branżowego – mówi Marzena Machałek, wiceminister edukacji i nauki.

W skład WZK będą wchodzić m.in. przedstawiciele organów wykonawczych samorządów województw zaangażowanych w działania w ramach pięciu filarów: oświaty, rynku pracy i gospodarki, zarządzania strategicznego, funduszy europejskich i dialogu społecznego. Budżet przewidziany na realizację projektów,

w ramach których będą funkcjonowały WZK, wynosi 344 mln zł.

– Reforma szkolnictwa zawodowego opiera się na mocniejszym powiązaniu szkolnictwa branżowego z rynkiem pracy. To m.in. ustawowy wymóg podpisywania umów pomiędzy szkołami a pracodawcami, nowe podstawy programowe kształcenia w zawodach, przygotowywane we współpracy z branżami – wylicza minister Machałek.

Przykładowe działania WZK będą obejmowały realizację badań i analiz w zakresie

systemu kształcenia zawodowego w poszczególnych województwach czy doradztwa metodycznego w szkołach. Realizowanym elementem reformy szkolnictwa zawodowego jest utworzenie 120 Branżowych Centrów Umiejętności. Pierwsze z nich już powstają. BCU są całkowicie nową propozycją w polskim systemie szkolnictwa. Stanowią zaawansowane technologicznie placówki kształcenia zawodowego, łączące szkoły, uczelnie, organy prowadzące i poszczególne branże, kluczowe dla rozwoju polskiej gospodarki.

Piosenka jest dobra na wszystko

Kończy się wakacyjny sezon koncertowy, a wraz z nim festiwale, pikniki muzyczne i niezliczone imprezy plenerowe organizowane przez większość polskich miast, miasteczek i gmin. Ze względu na skromność rubryki ograniczę się do podsumowania pewnych trendów w rozrywce masowej.

Wciąż dominuje nurt radosnej zabawy, czyli piosenka rytmiczna, taneczna, wręcz biesiadna. I nie ma co się na to obrażać, żyznać czy wyśmiewać. Stłamszeni pandemicznymi obostrzeniami i wystraszeni wojennym zagrożeniem ludzie muszą jakoś odreagować swój stres. Lato to również czas ważnych dla Polaków rocznic: Wołynia, Grunwaldu, powstania warszawskiego, cudu nad Wisłą itp., itd. Tematyka patriotyczno-historyczna stanowi ogromne wyzwanie dla talentu twórców. I tu ławeczka bardów, pieśniarzy czy zespołów muzycznych jest bardzo krótka. Z doświadczenia wiem, że budzenie w słuchaczach nostalgii (również euforii) wymaga od songwriterów szczególnej wrażliwości. Łatwo bowiem zinfan-



**Lech
Makowiecki**

tylizować temat Katynia, Auschwitz, rzezi Woli, a z nadgorliwości – zbanalizować wiktoryę 1920 r. To samo dotyczy tworzenia pieśni sacrosongowych; żarliwa wiara nie wystarczy do napisania współczesnego odpowiednika „Amazing Grace”.

Zauważyłem też pewną prawidłowość: organizatorzy godnych uroczystości „ku czci” coraz częściej proszą o nieepatowanie samą li tylko martyrologią. Nawet z tragedii o Maksymiliana Kolbe wywieść można optymistyczne przesłanie. Wszak jego śmierć ocaliła czyjeś życie, co dało początek kolejnym, wyrosłym z niego pokoleniom.

PS. Podobno muzyka łagodzi obyczaje. Ale chyba nie każda! Jesień – ze względu na wybory parlamentarne – stanie się znów areną estradowych, kabaretowo-muzycznych potyczek artystów związanych emocjonalnie bądź finansowo z obydwoma stronami politycznego sporu. Mój apel o kulturę wypowiedzi kieruję przede wszystkim do ludzi kultury: hasło ***** nie przystoi następcom Herberta (vide: wiersz „Potęga smaku”).

Radio gaga

Miałeś swój czas, miałeś moc. Musisz jeszcze mieć swą najlepszą godzinę...” – gdy Freddy Mercury nagrywał przebój „Radio gaga”, w naszym kraju trwał akurat stan wojenny. Znaczący, po rozróbie Solidarności wszystko znów wracało ku dobremu, w mediach też. Ilustruje to świetnie historia Radia Szczecin. W 1985 r. rozgłoszenia dostała nowe studio, z którego mógłby korzystać sam Freddy, ba, wicepremier rządzącej wtedy partii tzw. robotniczej, osobiście pofatygował się, aby wyróżnić szczecińskich radiowców za ich zasługi Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Potem była cofka. Jak to nad morzem. Przewodnia siła narodu – PZPR (dziś pod nazwą Nowej Lewicy) straciła władzę, ale wpływy niekoniecznie. Już w 1990 r. szefem Radia Szczecin został Zbigniew Kosiorowski. Praktykę miał. Pracował tam od dawna, w stanie wojennym był wicenaczelnym tej rozgłosni, a że dogadywać się potrafił także poza anteną, świadczą akta IPN: jeszcze w 1980 r. lokalna komenda milicji zarejestrowała go pod pseudonimem Konrad. Był „zaangażowany do prowadzonej przez Służbę Bezpieczeństwa operacji pod kryptonimem »Ośrodek« – o czym doniosła „Rzeczpospolita”. Widać dobrze rządził w Radiu Szczecin, bo aż 16 lat. Niestety, stracił prezesurę w 2006 r., tuż po pierwszym zwycięstwie wyborczym PiS. No, dramat!

Ale i potem zaczęło się dziać ciut lepiej, na przykład w latach 2010–2016, gdy za rządów PO/PSL prezesem ośrodka



**Piotr
Cywiński**

był Adam Rudawski. Ten też miał kontakty. Do dziś je ma. Obecnie jest kandydatem na posła Polski 2050 Szymona Hołowni. Wprawdzie był – jak kwitowały jego prezesurę przychylnie mu media – mały „smrodek sukcesu” Rudawskiego, bo ktoś oskarżył Radio Szczecin o nękanie i nawet Sąd Okręgowy przyznał nękanemu odszkodowanie, ale cóż, gdzie drwa rąbią, wióry lecą. Aliści, w kraju pisowcy znów przejęli władzę i w 2016 r. wymienili Rudawskiego na Artura Kubaję. I znów nastała ciemność.

Bardzo to boli Rudawskiego, tak bardzo, że – co obwieścił na portalu Polski 2050 – „napisałem dla naszego ugrupowania program naprawy publicznych spółek medialnych”. Bo – tu cytaty z... Wikipedii: „W stacji zaczęli pojawiać się prawnicy komentatorzy”. Czyż nie skandal?! Ten, za przeproszeniem, „Kubaj, popierający władzę PiS”, miał „nastawienie prorządowe połączone z dyskredytowaniem krytyków władzy”, co „przeczyło misji radia publicznego i łamało szereg zasad etyki dziennikarskiej”. Niby gorzej już być nie mogło, a jednak – odkąd Kubaj zrezygnował z prezesury, rozgłoszenia wręcz wali o dno, ba, z jej powodu ludzie umierają!

Jeśli ktoś chce wiedzieć więcej, niech zajrzy pod hasło: Radio Szczecin w Wikipedii, opracowane z wykorzystaniem tekstów z... „Gazety Wyborczej”. A tak było dobrze! „Miałeś swój czas, miałeś moc. Musisz jeszcze mieć swą najlepszą godzinę”, śpiewał Mercury.

**Michał Korsun prezentuje:
Jestem Ben. Big Ben**



ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

W polskim kalendarzu z początku XX w. znaleźliśmy taką poradę na szczęście w rubryce „Sekrety prababek”: „Lekarstwo na kołtuny na głowie. Weź dwie żaby ropuchy żywe, włóż je do garczka polewanego, oblep z wierzchu dobrze ten garczek i trzymaj przy ogniu póty aż żaby uschną zupełnie. Jak uschną i ostygną, utłucz je na proszek, natrzyj dobrze głowę chorą sadłem wieprzowem i tym proszkiem posypawszy, przykryj głowę pęcherzem i obwiąż, przez 24 godziny kołtun odpadnie”.

Nam od samej lektury kilka włosów wypadło! A poważnie, to czy głośne hasło powrotu do natury w każdej niemal dziedzinie nie niesie ryzyka powrotu i takich porad?

Ilustrujemy te wycinki reklamą, też z początków XX w. – sklepu z koronkami, jedwabiami, futrami, kapeluszami i innymi skarbami Bogusława Herse z Warszawy.

(mk)

Wybywam...

*Co się stanie z tym pokojem moim
Po mnie?*

*Kiedy ja już z niego wybędę
Kiedy wiekiście tylko po mnie
Wszędzie amen...*

*Rozstępują się już kąty
Widzę, słyszę,
Osuwają się już ściany
Już ucieczki, polowania,
Od sufitu po podłogi
Jeszcze jakieś szepty, piski
Ach te zbiory, holdy moje, dary
Kuratorem wszakże byłem
Przewodnikiem
(Sędzią pokoju w tym pokoju)
Teraz?*

*Co tam komu o mnie powie?
Cała masa ta spadkowa
Bez mojego głosu, wątku?*

*Rzeczy, wszakże z kruchej są materii
(Szkielko to od Czartoryskich?)
Trwać umieją ponad ludzką miarę
W ramach, w skrytkach
Ile komu się odezwą
Z tego
Po mnie życia
W książkach?
W płytach?*

*Nic innego
Będzie jak i to co zwykle
Nowy tytuł prawny stanie w progu
Zamykając wieko fortepianu
Sekwestrator –
Moi Państwo, powie
– Co być mogło, było...
Repertuar już przegrany?
Dalej cisza...*

*Co stąd poszło?
Tam za drzwiami...
Ręki tu już nie wyciągnie
Po cokolwiek
Żegnaj luby mi pokoju
Wybywamy
Każdy w jakieś „dalej” swoje?*



Leszek Długosz

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

High-end

High-endowe produkty przedstawiane są w tej książce refleksyjnie, z uwzględnieniem ważnych kontekstów kulturowych i historycznych

Autor Bartosz Pacuła podkreśla, że jego książka nie jest opracowaniem naukowym, a „eseistyczno-lifestyle’owym”. Dobrze, że robi to na końcu, bo gdybym od takiej uwagi zaczęła lekturę, pewnie rzecz wylądowałaby z powrotem na książkowej kupce. Ze sceptycyzmem podchodzę do licznych publikacji mających promować życie rozważne, ekologiczne, w otoczeniu produktów dobrej jakości, naturalnych, wytwarzanych z poszanowaniem przyrody. Często są to utopijne wizje. Przecież i tak decyduje stan zasobów, jakie ma przeciętna rodzina, a kapitalistyczne reguły gry bywają bezlitosne. Opowieści o firmach nastawionych na zrównoważony rozwój traktuję z rezerwą. Myślę, że nastawienie na zysk to wciąż podstawowy schemat funkcjonowania przedsiębiorstw.

Na szczęście książka zaczyna się nietypowym wstępem – „Kreda stworzona z łez aniołów”. Opowiada o miłości do kredy, którą pisze się po tablicy. Miłośnikami specjalnej kredy, produkowanej w Japonii, są światowej sławy matematycy. Niektórzy robią zapasy tego produktu, bo żadna inna kreda nie przelewa myśli na tablicę tak miękko i naturalnie. Są też uczeni, którzy, pisząc tą kredą, doznają wręcz mistycznych dreszczy. Można pomyśleć – dziwactwo. Ale z drugiej strony, w świecie powszechnego pisania na klawiaturze, używania tablic interaktywnych czy innych technologicznych gadżetów wykorzystywanych w edukacji, wyobrażenie sobie matematyków z prawdziwą pasją kreślących białą kredą niekończące się równania na zwykłej tablicy napawa jakąś otuchą.

Czym jest ów „high-end”? Słowo, które najczęściej może używane bywa do określenia wysokiej jakości sprzętu audio, gwarantującego dźwięki niemal doskonale. Bartosz Pacuła wyjaśnia, że stosuje je szerzej. Tym angielskim zwrotem, dla którego trudno znaleźć polski odpowiednik, określa zjawisko wytwarzania przedmiotów lub usług w sposób, który prowadzi do możliwie najdoskonalszej ich formy końcowej. Chodzi o wszelkie wyroby z tzw. górnej pulki: haute couture, specjality czy handmade.

Jednak książka nie jest prostą wylizanką ekskluzywnych przedmiotów lub serią egzaltowanych opisów w klimacie kolorowych pisemek. High-endowe produkty przedstawiane są refleksyjnie, z uwzględnieniem ważnych kontekstów kulturowych i historycznych. Autor pokazuje, że istnieje „uniwersum przedmiotów najwyższej próby” – jak choćby ręcznie wykonywane w Londynie globusy warte tysiące funtów, rowery dopasowane w każdym calu do indywidualnego użytkownika (oferuje je polska firma!), kawa, którą można delektować się w nieskończoność albo ręcznie tkane jeansy, które można nosić wiele lat. Słowem, książka odkrywa świat, o którym wielu z nas nie wie, bo... współczesna cywilizacja „z mentalnością nastawioną na jakość ma niewiele wspólnego”. Otaczają nas powielone w tysiącach egzemplarzy, maszynowo wytwarzane przedmioty – „ani angażujące, ani ciekawe, ani dobrze spełniające swoje funkcje”.

Autor uspokaja, że pewnych rzeczy „żaden algorytm nie opracuje, żaden robot nie wykona, żadna korporacja nie zrozumie”. Boję się, że tylko w ostatnim punkcie ma rację.

Katarzyna Zybertowicz

Każdy z nas ma swoje dziwactwa, a mówiąc delikatniej – słabości. Wiele niegroźnych dla otoczenia. Ot, maniackalne nabywanie książek. Mam przyjaciółkę, która kocha książki i bardzo lubi czytać. Ma ich tysiące, ale jednocześnie potrafi wśród tego książkowego świata utrzymać porządek: regały do sufitu, tomy porządnie poustawiane, te w bieżącym czytaniu leżą grzecznie na stoliku w sypialni.

Mój mąż też ma słabość do książek. Już tak bardzo brakuje na nie miejsca, że ogranicza kupowanie. Ale czasem mam wrażenie, że książki w naszym mieszkaniu mnożą się potajemnie, gdy nikogo nie ma w domu. O porządku nie ma mowy.

Pewnego popołudnia wśród paru kolejnych nowych pozycji kątem oka widzę tytuł: „High-end. Dlaczego potrzebujemy doskonałości” (2023). W pierwszej chwili wydawało mi się, że widzę: „HighTech-End...” (za dużo może myśleć o zagrożeniach technologii). Zaczęłam przeglądać i podczytywać tu i tam. Nawet nie zauważyłam, kiedy lektura mnie wciągnęła.

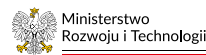
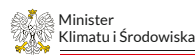
V Forum wGospodarcze.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych,
z udziałem ekspertów oraz liderów administracji i biznesu

V edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

JAK TWORZYĆ I UTRZYMAĆ DOBRE WARUNKI ROZWOJU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POLSKI I EUROPY?

PATRONAT
HONOROWY:



PARTNERZY
STRATEGICZNI:



PARTNERZY
GŁÓWNI:



PARTNERZY
WSPIERAJĄCY:



Więcej informacji na www.wGospodarcze.pl/sektory/forum-wgospodarcze



TOTALIZATOR
SPORTOWY



II EDYCJA

WYGRYWAMY ZACZYNA SIĘ OD WY

Kup dowolny produkt ,
zagłosuj na wybrany obiekt
sportowy lub kulturalny
i sprawdź, czy wygrałeś!

Szczegóły i regulamin loterii promocyjnej
na gramywygrywamy.pl

Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 17 sierpnia do 16 września 2023 r.
Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 17 sierpnia do
18 września 2023 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 0506

